

Colin Kapp

Broń Chaosu

Przekład: Stefania Szczurkowska

Pod niebem koloru ołowiu, nad planetą Monai zawisła groźba nieszczęścia. Od pół roku nieprzerwanie padał śnieg. Zmienił kształt gór, wznoszących się ponad stolicą, zwaną Edel. Miliony ton złowrogiej, białej masy czekały na nieuchwytny znak, by połączyć się w katastrofalnej lawinie. Skute lodem miasto, przycupnięte u podnóża wypiętrzonych gór, obserwowało odmienione szczyty z lekkim zdumieniem, lecz bez specjalnej paniki. Długi, granitowy grzbiet był uświęconym przez czas obrońcą, który chronił miasto przed zbyt wielkimi uszkodzeniami, rozdzielając wielkie osuwiska i odwracając ich bieg.

Od wschodu, posuwając się korytem zmarzniętej i unieruchomionej przez śniegi Spring River, torował sobie drogę w kierunku Edel niewielki śniegochód. Prowadzący pojazd Asbell patrzył tylko na drogę bezpośrednio przed sobą. On i jego towarzysz jechali już bardzo długo, a obsługiwanie układu sterowania śniegochodu było uciążliwe i męczące. W kabinie panował nieznośny upał i zaduch. W dodatku potężne ciało Asbeela spoczywało na nieodpowiednim dlań składanym siedzeniu, a trzęsący się w czasie jazdy żelazny drążek sterowy obijał boleśnie wewnętrzną stronę jego muskularnych ud.

Siedzący w tyle pojazdu Jequn patrzył na śniegi, które zawisły w bezruchu nad Edel. Był nieco niższy niż Asbeel, jego twarz ożywiały bezustanne rozmyślenia. W ciemnych, inteligentnych oczach jak w zwierciadle odbijały się tajemne obawy i natrętne, dziwne przeczucia. Z rysunku wznoszących się szczytów odczytał posłanie, którego kompan nie dostrzegł. Zachowywał to dla siebie tak długo, aż niezliczone współczynniki pomyślnego równania utwierdziły go w przerażającej pewności.

- Asbeel, jedziemy w pułapkę.

- Jesteś pewien? - Kierowca nawet nie drgnął, ale wywołana gorącem i zmęczeniem ospałość opadła zeń jak zsuwający się z ramion płaszcz. W jednej chwili stał się czujnym zwierzęciem, zwierzęciem, w które zmieniły go trening i doświadczenie.

- Jestem pewien. Widzę to wyraźnie. Drżenie szronu na drzewach.

- Ja widzę tylko szron.

- Na ostrych igłach krzewów jest lekka, podwójna dyfrakcja. We wszechświecie tworzy się napięcie.

- Musisz mieć bardziej wrażliwe oczy od moich.

- Nie czujesz, jak wzrasta napięcie? Tu, w tym miejscu, zasada przyczynowości uległa zawieszeniu. Katastrofa, która powinna nastąpić wcześniej, została odłożona na nasz przyjazd. Jeżeli wejdziemy do Edel, pułapka zatrzaśnie się.

- Broń Chaosu? - spytał Asbeel.

- A cóż by innego? Wkraczamy przecież do głównego centrum. Powinniśmy się domyślić, że wcześniej czy później wypróbują ją na nas.

- Poprzednio zwyciężyliśmy. Zobaczymy, czy i tym razem się uda.

W odległości dwóch kilometrów od Edel, Asbeel zboczył z kursu i skierował śniegochód w wyrąb skalny. Tam wyciszył silnik i przesiadł się do tyłu kabiny, do Jequna.

- Jak rozumiem, jeden z nas musi pójść do Edel, aby skontaktować się z Kasdeją. Mamy przed sobą łańcuchy przyczynowo - skutkowe. Pierwszy - w który wplątane jest Edel - został zawieszony. Drugi - sprowadza jednego z nas do punktu zgodności. Tylko jeden z nas może udać się do Edel i przeżyć. Drugi nie ma teoretycznie żadnych szans.

- Powstaje pytanie - powiedział Jequn - który z nas obu powiązany jest z groźącą Edel katastrofą. Ściśle mówiąc, co nas tu sprowadza?

- Kasdeją. Poprosił nas, byśmy go zabrali. Ja pilotowałem statek, ale ty ustalałeś czas. Być może obaj jesteśmy w to wmieszani.

- Nigdy w życiu! Można obliczyć kierunki dwóch łańcuchów przyczynowo - skutkowych i tak ustalić prawdopodobieństwo, aby zagwarantować, że przetną się w miejscu katastrofy. Jednak operowanie trzema lub większą ilością łańcuchów prawdopodobnie w ogóle nie jest możliwe.

Zdarzenia te muszą być zaplanowane w odniesieniu do jednego z nas i tylko jednego. Nie mamy jednak dość informacji, by móc ustalić, do którego.

- A jeśli założyć, że żaden z nas nie wejdzie do Edel?

- Wtedy Kasdeyą z pewnością umrze. Obecnie Broń Chaosu robi wszystko, aby utrzymać jakąś wielką katastrofę w przyrodzie. Mówiąc to, Jequn przebiegł wzrokiem sylwetki otaczających ich skał, odczytując sposób w jaki naprężenie we wszechświecie zakłóca smugę światła, odbijającego się od gór. W oddali, wysoko, jakby w stanie utajenia wisały potencjalne lawiny. - Wykorzystują chyba tę młodą gwiazdę, aby całą jej energię użyć do tej operacji. Jeżeli nie nastąpi wkrótce zgodność, coś musi trzasnąć. Kiedy to się stanie, cała energia zostanie wyzwolona w postaci jednego wszechpotężnego wybuchu, który rozwali ten obszar do cna.

- Co proponujesz?

- Już ci mówię. Wsiądę tu i wezmę ze sobą balon, ty zaś odjedź kilka kilometrów w głąb równiny. Poszukaj takiego miejsca, w którym nie będzie naturalnych uskoków terenu. Dopóki tam nie dotrzesz, postaram się nie prowokować Chaosu. Potem spróbuję dostać się do Kasdei. Kiedy to wszystko się zacznie, szybko ruszaj z powrotem i uratuj nas obu.

- A co będzie, jeżeli Broń Chaosu wymierzona jest w ciebie?

- Nie martw, się! Nie po raz pierwszy oszukam Chaos. Dopóki spełnione są równania entropii, nie dokonuje on precyzyjnie selekcji. Jeśli zajdzie konieczność, śmierć kogoś innego zastąpi moją.

Istnieli jednak jeszcze inni obserwatorzy, o których nie wiedzieli pasażerowie śniegochodu. Niecodzienni przybysze gościli w Obserwatorium Głębokiej Przestrzeni Galaktycznej, położonym w poprzek doliny, wysoko, na wystawionym na działanie wiatrów płaskowyżu. Blisko całego kompleksu obserwatorium wylądowały załogi dwóch statków kosmicznych, tworząc jądro sieci obserwacyjnej, skierowanej nie w przestrzeń kosmiczną, lecz na górskie wzniesienia nad Edel i na okolice spowitej śniegami doliny. Rozmieszczenie punktów obserwacyjnych pozwalało na jedyne w swoim rodzaju spojrzenie na zagrażające Edel niebezpieczeństwo. Do tej pory utrzymujące się nad miastem w stanie niewątpliwej równowagi śniegi nie dawały powodu do ponurych przeczuć, wynikających z prognoz komputera. Wypisywane na całą szerokość pasków wydruki Chaosu sugerowały wyzwolenie się znaczenie potężniejszej energii aniżeli ta, której dostarczyć mogła sama lawina. Prognoza sprowadziła wścibskie statki z planety Terra, które spoczywały teraz na tym posępnym występie skalnym Monai. Spodziewano się czegoś niezwykłego, ale nic takiego nie znaleziono. W rzeczywistości, jedyne godne zainteresowania wydarzenie stanowiło nieoczekiwane pojawienie się na ekranie teledetektora małego śniegochodu. Na pokładzie statku - laboratorium "Heisenberg", Nad-inspektor Przestrzeni Cass Hover zażądał obrazu i przedstawiono mu zbliżenie z zainstalowanego na skraju płaskowyżu teledetektora. Hover z nachmurzoną miną odczytał znaki identyfikacyjne umieszczone na ciemnym kadłubie śniegochodu.

- Miejscowy?

Kapitan Rutter zaprzeczył ruchem głowy.

- Wszystko wskazuje na to, że nie. Przypuszczalnie gdzieś z okolic New Sark - powiedział.

- Na pewno będzie żałował, że odbył tę podróż. Jeśli wydruk Chaosu jest wiarygodny, to zrobi się tu prawdziwe piekło mniej więcej w tym czasie, gdy ten pojazd dotrze do Edel.

- Co się dzieje? - spytał głos z tyłu. Mówiący był wysokim, ciemnym, brodatym mężczyzną w czarnym płaszczu, tak mocno opiętym w ramionach, jak gdyby ta więź z ubraniem miała charakter odwiecznej symbiozy. - Możesz jeszcze raz sprawdzić czas?

- Oczywiście! - Rutter skinieniem palca odkomenderował dwóch techników. - co masz na myśli Saraya?

- Nie cierpię tajemnic, to wszystko - odparł ze złością mężczyzna w czerni. - Zwłaszcza w tej pracy. Dopiero co ponownie zbadaliśmy śniegi nad Edel i dokonaliśmy obliczeń najgorszego

przypadku wyzwolenia się energii. Stanowi on prawie niewymierną część zmian entropii przewidzianych równaniem Chaosu. Musi tu istnieć jeszcze jakiś inny współczynnik.

- Zgadza się, kapitanie. - Jeden z techników podał Rutterowi wąski pasek wydruku. = - Jeśli ten śniegochód będzie nadal podążał w tym samym kierunku i z tą samą prędkością, jego droga przejdzie przez punkt Omega Chaosu dokładnie w centrum Edel.

- I musi to oznaczać coś więcej niż zgodność. - Mężczyzna w czerni gładził brodę, zamyślony. - Skierujcie na śniegochód - aparaturę detekcyjną i spróbujcie ustalić, skąd przybył i kto jest w środku.

- Jeżeli dobrze cię rozumiem - powiedział Hover - ten pojazd musi być wyposażony w kilka głowic termojądrowych, skoro ma spełniać równanie entropii.

- Wątpię, aby to było aż tak proste - odrzekł Saraya. - Rutter, jak zareagowały władze Edel na prognozę nagłego unicestwienia?

- Z uprzejmym, ale niedowierzającym uśmiechem. Siły na wypadek zagrożenia są w pełnej gotowości, ale całe te ćwiczenia uważa się raczej za szkoleniowe.

- Miejmy nadzieję, że na ich szczęście sprawa tak właśnie się przedstawia. Jeśli tak jest w istocie, to wielka przepowiednia Chaosu po raz pierwszy okazałaby się bezpodstawna.

- Zawsze stawiałem wróżby Chaosu na równi z przepowiedniami astrologicznymi - złośliwie zawyrokował Hover, łamiąc sobie właśnie głowę, jak wyregulować ostrość ekranów.

- A to dlatego, że prognozowanie przyciągnęło zbyt wiele osób, które nie mają ani wiadomości, ani dostatecznych środków finansowych. Nawet w Centrum Chaosu nie zapanowała jeszcze nauka w ścisłym znaczeniu tego słowa. Gdybym osobiście miał jakieś wątpliwości, już samo istnienie tego śniegochodu, zmierzającego wprost do Omegi Chaosu, skłoniłoby mnie do przemyśleń.

- W takim razie przykro mi, że muszę cię rozczarować, Saraya, ale pojazd właśnie zboczył z kursu i skierował się w stronę skał. .

- Do diabła! - Mężczyzna w czerni pochylił się nad ekranami, aby sprawdzić informację. Następnie wycofał się do tylnej części pomieszczenia z aparaturą i zaczął przeglądać jakieś notatki. Oczy kapitana Ruttera i Hovera spotkały się. Wymienili pełne niewiary i powątpiewania spojrzenia. Później odliczanie wsteczne Chaosu pochłonęło całą ich uwagę.

Wkrótce na statku - laboratorium w pomieszczeniu z aparaturą jedynym dającym się słyszeć dźwiękiem był przytłumiony szmer urządzeń klimatyzacyjnych. Zainteresowanie wywołane przybyciem śniegochodu przeistoczyło się w spokojną obserwację tablic rozdzielczych przyrządów i ekranów monitorów. Jednocześnie czujnik Chaosu rozpoczął z wolna odliczanie wsteczne do teoretycznego początku katastrofy.

Omega minus dziesięć.

Hover musiał bez przerwy regulować ostrość teledetektora, który uporczywie odmawiał dawania wyraźnego obrazu.

Inni technicy mieli podobne problemy.

Omega minus osiem...

Ciemna postać w płaszczu wertowała szybko arkusze notatek, przypominając skapca, który liczy swój majątek.

Omega minus sześć...

Wyraz twarzy technika laserowego obserwującego na monitorze śniegi nad Edel nie wskazywał, by w polu widzenia zachodziły istotne zmiany.

Omega minus cztery...

Kapitanowi Rutterowi przeszkadzały się skoncentrować powtarzające się zakłócenia wizji, które mógł dostrzec jedynie kątem oka i wyłącznie dlatego, że w pomieszczeniu ustał właściwie wszelki ruch. Zaniepokoił się. Mógłby przysiąc, że coś zamigotało nad lewym ramieniem Nad-inspektora Hovera.

Omega minus dwa...

Pantograf urządzenia samopiszącego zaczął działać jak oszalały, z coraz większą dokładnością szkicując zarys figury w kształcie dużego oka. Kiedy komputery Chaosu potwierdziły zagrażającą katastrofę, krzyżujące się w środku wykresu linie danych przypadły dokładnie w miejscu przecięcia się dużych i małych osi oka. Rysunek wypełnił ekran. Sam środek niewidocznej źrenicy znalazł się dokładnie w...

Omega Chaosu!

Kompletny brak natychmiastowej reakcji wywołał prawdopodobnie równie silny wstrząs psychiczny, jaki spowodowałby wybuch gwałtownej aktywności. Obserwatorzy zastygli w osłupieniu. Ich uwaga skupiła się na przyrządach, na wypadek gdyby te pominęły coś ważnego w niezmiennych sygnałach odczytów danych. W tym czasie zza skał ponownie ukazał się śniegochód i ruszył w kierunku, z którego przybył.

Mężczyzna w czerni, z twarzą wyrażającą głęboką nieufność, rzucił notatki na podłogę i przesunął się w stronę pulpitu z przyrządem samopiszącym, aby sprawdzić wędrujące oko. W żaden sposób nie wpłynęło to na rozwiązanie zagadki.

- Co teraz robimy? - spytał po chwili Rutter. - Zdaje się, iż jedynym nieszczęściem, jakie się wydarzy będzie to, że wrócimy wszyscy do domów czując się" jak ktoś, kogo obrzucono zgniłymi jajkami.

Ta uwaga spowodowała spadek napięcia. Technicy rozluźnili się i odchyliłi na oparcie foteli. Trochę uśmiechali się z ulgą, że nic się nie dzieje, a trochę marszczyli brwi z niezadowolenia, że tak jest. Tylko Hover, przycupnięty obok monitora manipulował pokrętkami starając się utrzymać ostrość obrazu.

- Trzymaj to! - Nagła komenda Nad-inspektora podziałała na zebranych prawie jak elektrowstrząs. - Ktoś wysiadł ze śniegochodu i podąża teraz pieszo do miasta.

- Jesteś pewien, Cass? - Saraya już był obok.

- Sam zobacz. - Hover przeszedł do jednego z głównych monitorów, który dawał całkiem wyraźny obraz terenu od miejsca, gdzie zatrzymał się śniegochód, aż po krańce Edel. Kilka czarnych punkcików na przeważnie monotonnym tle znaczyło wyraźnie ślady, gdzie mężczyzna przecierał sobie drogę w głębokim śniegu, ciągnąc za sobą linę z jakimś pakunkiem na końcu.

- Po jakie licho zamęcza się tą pieszą wędrowką? - dziwił się Rutter. - Śniegochód nie popsuł się przecież, tylko ruszył z powrotem tą samą drogą. - Spojrzał na Sarayę w oczekiwaniu odpowiedzi i natychmiast zaczął tego żałować. Dziwna namiętność malująca się na twarzy mężczyzny w czerni była nieco przerażająca.

- Powiem ci dlaczego - zaczął Saraya. - Poszczególne kawałki nagle zaczynają do siebie pasować. Myślę, że ten człowiek w jakiś sposób orientuje się w prognozie Chaosu. Jakby chciał pokonać tę przeszkodę.

- Wytłumacz mi to prostymi słowami - poprosił Rutter.

Mężczyzna w czerni przysunął się bliżej monitora, a jego głos zadrżał z emocji.

- Prognozy Chaosu poddają analizie łańcuchy przyczynowo - skutkowe za pomocą odczytywania na zmianę wzorów entropii dla rozszczepiających się łańcuchów. Zdarzenia entropii przyrównać można do pereł nanizanych na sznur, gdzie osie wskazują zgodność przyczyny i skutku. Przy odpowiedniej ilości informacji łańcuch odczytać można albo do tyłu, albo do przodu w czasie.

- Prosiłem prostymi słowami - powiedział Rutter żalonym głosem.

Saraya zlekceważył go, a oczy zapalały mu niebywałym zachwytem.

- Wyobraź sobie leżący na stole sznur pereł. Potem wyobraź sobie drugi sznur, przecinający go pod kątem prostym, gdzie jedna perły - jedno zdarzenie entropii - jest wspólna dla obu łańcuchów.

- Rysuje mi się obraz, ale nie idea.

- Zbieżność. Przyczyna rodzi skutek, a skutek podąża za przyczyną. Nie widzisz, do czego zmierzam?

- Nie za bardzo.
- W przypadku perły wspólnej dla obu łańcuchów, następstwo przyczyny i skutku musi być w każdym z nich spełnione do końca, bo inaczej zdarzenie entropii nie zajdzie. Z punktu widzenia filozofii i praktyki jest niemożliwe, by zaistniał skutek, jeżeli brakuje przyczyny, lub by istniała przyczyna nie powiązana w sposób bezpośredni ze skutkiem.
- Jeśli chcesz powiedzieć to, co jak, myślę, mówisz, nie życzę sobie tego słuchać - stwierdził Rutter. - Konsekwencje przyprowadzają mnie o koszmarny ból głowy.
- Konsekwencje, mój wojskowy przyjacielu, są takie, że kierujący losem Edel łańcuch przyczyn i skutków powiązany jest w jakimś punkcie z łańcuchem sterującym tym właśnie facetem. W jakiś sposób on już od ponad jedenastu minut przewycięża prognozę Chaosu. Przy takiej szybkości, z jaką ten człowiek się porusza, minie blisko godzina, zanim dotrze do Omegi Chaosu. Mając taki talent można by zmienić kształt wszechświata.
- Czy to znaczy, że Omega Chaosu nie zaistnieje?
- Nic z tych rzeczy. Entropia wzmacnia się, co sygnalizuje, że zachodzące zdarzenie jest częścią zarejestrowanego Chaosu. Już jutro będzie to tylko historia. Nic nie może zmienić faktu, że tak się musi stać.
- Ktoś przecież to opóźnił - rozsądnie zauważył Rutter.
- Ale jakim kosztem? Taką zwłokę można osiągnąć jedynie naruszając strukturę wszechświata. Wzdrygam się na myśl, ile to musi pochłonąć energii. Ponieważ wiemy, że wszechświat jest plastyczny, ta konkretna ilość energii zostanie wyzwolona wówczas, gdy punkt zbieżności zostanie wreszcie osiągnięty.
- Co mogłoby wytłumaczyć różnicę między potencjałem energii dostępnej w Edel i energią potrzebną do spełnienia równań Chaosu - uzupełnił nadchodzący Hover.
- Wiesz, Cass, myślę, że udało ci się trafić w sedno. Do licha! Powinienem pomyśleć o tym wcześniej. Ten facet na dole nie ma dostępu do tak wielkiej energii. Musi tym kierować coś albo ktoś inny - ktoś, kto ma fantastycznie opanowaną technikę Chaosu.
- Wciąż jestem niepokojony - stwierdził Rutter - na myśl o wiszącej w powietrzu katastrofie, której warunkiem jest przybycie jednego człowieka. - odwrócił się na widok podchodzącego mężczyzny i zaczął badawczo przyglądać się informacji, która została mu wręczona. - Wyniki naszej kontroli śniegochodu. Jak przypuszczałem, jest z New Sark. Wynajęty z wypożyczalni sprzętu transportowego przez dwóch facetów, którzy przybyli z nadprzestrzeni kilka godzin temu. Podali swoje nazwiska: Jequn i Asbell.
- Hm! - zareagował mężczyzna w czerni. - Zmarszczył czoło, co świadczyło o głębokich rozmyślaniach. - Co jeszcze wykryliście?
- Policja z New Sark wykonała dla nas test sprawdzający galaktyczny rejestr osobowy. Trudziło się na próżno. Ustalono, że planeta, z której pochodzą ci ludzie, formalnie nie istnieje, podobnie jak oni sami. Pojazd przybył z tak daleka, że pracownicy kosmodromu nie potrafią nawet określić jego napędu.
- Jasne, że nie potrafią! - Te ostatnie słowa Saraya powiedział na uboczu, do siebie samego. - Kapitanie Rutter, proszę wydać policji polecenie, by spróbowała zaarrestować mężczyznę w śniegochodzie po jego powrocie do New Sark. Rozmyślnie powiedziałem "spróbować", ponieważ musieliby być diabelnie przebiegli, żeby im się to udało. Nad-inspektorze Hover, widzisz tego faceta tam w dole, na płaskowyżu? Chcę go mieć w Centrum Chaosu na Terra, całego i zdrowego. Bez względu na koszty i sposób osiągnięcia tego celu. Chcę mieć tylko pewność, że tak się stanie.. Masz na tę misję nadzwyczajne pełnomocnictwo galaktyki.
- Naprawdę uważasz, Saraya, że on jest aż tak ważny?
- Jestem tego pewny. Obecnie nie ma w naszej galaktyce nikogo ważniejszego, ani też potencjalnie bardziej niebezpiecznego. Jest jedyny w swoim rodzaju, a w miejsce, w które się uda, wymierzona zostanie Broń Chaosu.
- Broń Chaosu? A cóż to takiego?

- Sam, do diabła, chciałbym wiedzieć!

- Ja sam go dopadnę! - powiedział Hover. - Później wyjaśnisz mi całą sprawę. Niech ktoś przygotuje lotnię.

- Pójdę z tobą - powiedział Rutter.

- Nie! - Mężczyzna w czerni wkroczył zdecydowanie. - Ten facet już dawno będzie w Edel zanim Nad-inspektor zdoła go dosięgnąć. Bez względu na to, na co Chaos czeka, Edel runie dokładnie w tym momencie. Jeśli poprawnie odczytamy równanie entropii, okaże się, że niewielu pozostanie przy życiu. Nad-inspektor otrzymał specjalne przygotowanie, by móc przeżyć w takich okolicznościach - ty nie.

Kapitan niechętnie spoglądał na Hovera, kiedy ten wciągał na siebie ciepłe ubranie. Rutter mógłby przysiąc, że nad ramieniem Nad-inspektora migotało coś kosmatego. Widział to szczególnie wyraźnie na tle ciemnego wnętrza szafki. Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej, nie odkrył nic szczególnego. Zaintrygowany, sprawdził łączność radiową z wyruszającym w drogę Hoverem, a potem skoncentrował się na wychwyceniu na monitorze samotnej postaci poruszającej się po płaskowyżu.

Gdy ta zniknęła, obserwował krańce miasta. W atmosferze działo się coś dziwnego - obraz stawał się osobliwie rozdwojony.

2.

Mozolny marsz człowieka przez śniegi śledzony był z pełnym udręki niepokojem na monitorach o starannie ustawionej ostrości obrazu, domysły na temat zawartości paczki, którą mężczyzna ciągnął ze sobą w siatce, okazały się dziwnie bezowocne. Pytanie o ewentualną użyteczność tego rodzaju obciążenia pozostawało otwarte. Niebawem człowiek wdrapał się na wzniesienie. Szło mu się jakby lżej po ubitych śladach, aż wreszcie dotarł na obrzeża miasta. Jednocześnie, z dala od zabudowań, wylądowała lotnia Hovera. Widać było, jak Nad-inspektor szybko dogania swoją ofiarę.

Jeśli facet świadomy był przybycia lotni, nie dał tego po sobie poznać. Uwagę miał skoncentrowaną na tym, by ciągnąć ładunek po możliwie najbardziej gładkim terenie. Sprawiał wrażenie, że bez przerwy obserwuje wiszące ponad urwiskiem groźne masywy śniegu. Rutter włączył kilka skierowanych wcześniej na miasto i wypróbowanych kamer z teleobiektywami. Uzyskał kilka zbliżeń ujętej od tyłu sylwetki mężczyzny - sylwetki człowieka, który tak przedziwnie kusił los. Nie przyniosło mu to nowych informacji, jednak wszystkie otoczone były czerwonymi obwódkami, które stopniowo ograniczały pole widzenia i sprawiały wrażenie promienistej aury postaci. W tych okolicznościach było to niezwykle niepokojące.

Było rzeczą oczywistą, że działanie tego człowieka miało określony cel. chociaż mijając zabudowania Edel wielokrotnie znikał obserwatorom, powracał w pole widzenia w dającym się przewidzieć punkcie. Można było przypuszczać, że obserwowany obiera najkrótszą drogę wprost do centrum miasta.

- Znajdź mi plan Edel - odezwał się nagle mężczyzna w czerni. - Wciąż mówimy o Omedze Chaosu, ale nie sądzę, aby komukolwiek z nas przyszło do głowy spojrzeć, co się obecnie dzieje w epicentrum.

Rutter wy dostał plan i rozwinął go na pulpicie. Przedstawiał on miasto w typowym układzie, jakich wiele założono na różnych planetach po Wielkim Exodusie z Terry. Przodkowie przyjęli geometryczny układ ulic, rozchodzących się promieniście z centrum. Środek miasta stanowił pierścień w postaci rozległego rozbudowanego kompleksu administracyjnego miejscowych władz oraz siedziby Rady Konfederacji Przestrzeni Monai. W punkcie Omega Chaosu swą drugą młodość przeżywały dawne gmachy rządowe Edel, przekształcone w międzygwiazdne centrum handlowe.

Kiedy Rutter na powrót zaczął obserwować sylwetkę z trudem posuwającego się naprzód mężczyzny, nagle zaparło mu dech w piersiach. Na środku szerokiej jezdni, niedaleko epicentrum Omegi Chaosu - w miejscu, gdzie był dobrze widoczny - mężczyzny zawrócił gwałtownie i pobiegł w kierunku paczki przymocowanej do końca liny. Przez chwilę patrzył prosto w odległe kamery i chociaż grube, ciepłe ubranie maskowało zarys sylwetki, wyraźnie było widać malujące się na twarzy napięcie.

- To jest to! - wykrzyknął Saraya. - On wie coś, czego my nie wiemy. - Chwycił podręczny radiotelefon. - Nad-inspektorze, uważaj na siebie. Chyba coś się zacznie. Nasz przyjaciel wygląda, jakby zajrzał do samego piekła.

- Zgadza się. Widzę go właśnie. Ale nic się nie dzieje takiego, co by świadczyło...

Mężczyzna uklęknął i zaczął energicznie szarpać ośnieżony pakunek. Nagle coś rozwinęło się tuż obok niego. Wyglądało to jak biała, nadmuchiwana piłka. Zakłócenia obrazu stały się tak silne, że ostatnie faza czynności była już niewidoczna - w polu widzenia pozostała tylko zamazana plama.

Wszystkie oczy na statku - laboratorium zwrócone były na monitory sprawdzające fizyczne parametry - parametry, które mogłyby zasygnalizować początek katastrofy. Jednak nie czułość monitorów, ale zmysły ludzkie odkryły wreszcie paraliżującą prawdę. Wraz z uderzeniem podziemnego pioruna cała dolina doznała tak gwałtownego wstrząsu, że nawet stabilizatory statków - laboratoriów, znajdujących się na wielkim płaskowyżu, miały trudności z utrzymaniem pionu. Jeden z techników wydał przeraźliwy krzyk, uświadomiwszy sobie ogrom katastrofy.

Najpierw cała dolina, jak wzburzone morze, podniosła się niewiarygodnie wysoko w górę i zatrzęśła, a potem opadła na powrót, pozostawiając postrzępioną otchłań, która ciągnęła się od wschodu do zachodu, mniej więcej wzdłuż dawnego koryta Spring River.

Po pierwszym wstrząsie zakłócenia na ekranach ustąpiły. Przed nierozumiejącymi oczami obserwatorów przepływały, marszcząc powierzchnię doliny, kolejne powstałe pod ziemią fale. Wydawało się, że cała okolica poruszana jest gigantycznymi, podziemnymi wałami wodnymi. Wyglądało to jak morze bez wody, pełne suchych fal, rozbijających się z wściekłością u podnóża skarpy, na której wznosiło się Edel. Te fale, z ich ponurymi grzbietami, zatapiały całe dzielnice miasta. Ta jego część, której nie pochłoneła rozpęknięta ziemia, została porozrywana na kawałki przez napływające skały. Niewzruszona trwałość ziemi, na której człowiek ośmielił się wznosić budowle, stała się teraz jawnie przedmiotem obmyślanego, diabelnego spisku, którego celem było zrównanie wszystkiego do płaskiej, niczym nie wyróżniającej się powierzchni posypanej miałkim pyłem.

Nie koniec na tym. Z przerażeniem i fascynacją obserwatorzy patrzyli na olbrzymią, rozpędzoną lawinę, którą fale wstrząsu zmusiły do spłynięcia w dół, w kierunku Edel. Nawet góry zostały rozdarte. Wielkie kawały skał odłamały się i ześlizgnęły potężną masą, tworząc wysoki i niebezpieczny stos na granitowej ostoi na tyłach zbocza skarpy, to spiętrzenie odłamów zmiażdżyło podstawę wielkiej granitowej skały. Całe zbocze zaczęło niespodziewanie odchyłać się na zewnątrz pod napierającym ciężarem i z przeraźliwą powolnością odpadać w dół, miażdżąc niemal jedną trzecią zrujnowanego miasta. W ślad za tym sunęła naprzód wyzwolona z wcześniejszego skrzepowania lawina, grzebiąc wszystko to, czego nie rozniosło czoło skarpy.

- Quod erat demonstrandum! - wygłosił Saraya po długim milczeniu. Starał się usunąć ze swego głosu najmniejsze ślady emocji. - Rutter, czy nadal masz łączność z Nad-inspektorem?

- Teraz, w samym środku tego wszystkiego? - z niedowierzaniem odpowiedział pytaniem na pytanie kapitan. Z goryczą patrzył na odmieniony krajobraz, nad którym wisiał nisko obłok opadającego pyłu.

- Ponawiaj próby nawiązania łączności, dopóki nie otrzymasz odpowiedzi, albo nie stwierdzisz, że nie żyje. Ale przede wszystkim skoncentruj swoje wysiłki na odnalezieniu człowieka, którego śledził Hover. Wbrew temu, co może się wydawać, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że jeszcze żyje. Jeśli jest tym, za kogo go uważam, musiał przystąpić do działania bardzo dobrze przygotowany. I chcę go mieć, kapitanie. Wiedzieć to, co on wie - to może się okazać podstawowym warunkiem przetrwania rasy ludzkiej. Czy to jasne?

- Nie - odparł Rutter. - Ale to mi nie przeszkodzi w wykonaniu twoich rozkazów. Wezwiemy posiłki, a potem ruszymy w drogę do miasta jednym ze statków - laboratoriów. Jeśli są tam jeszcze jacyś ludzie w kawałkach większych niż porcje siekanego mięsa, przyniesiemy ich tu w plastikowych torebkach, a posortuje się ich później.

- Patrz, śniegochód wraca - zameldował technik, zwracając się bezpośrednio do Sarai. Wskazał terenowy teledetektor, na którym całkiem wyraźnie widoczny był obraz pojazdu poruszającego się pierwotnym kursem. - Musiał czekać poza zasięgiem wstrząsów.

- To znaczy, że on także ma nadzieję odnaleźć wśród ocalałych kogoś bardzo specjalnego - powiedział tajemniczy mężczyzna, otulając ściślej ramiona czarnym płaszczem.

Hover wyraźnie zobaczył swą ofiarę na kilka sekund przed rozpętnaniem się straszliwego zamętu. Mężczyzna klęczał na ziemi przed swoim pakunkiem i ściągał z niego białą od śniegu siatkę, która maskowała zawartość w kształcie kulistego, opływowego strąka. Samo urządzenie nie było znane Nad-inspektorowi, za to jego przeznaczenie natychmiast stało się jasne. Kiedy pierwszy podziemny wstrząs sprawił, że ziemia zapadła się, jak pokład miotanego burzą statku, mężczyzna rozłupał strąk. Ogromne płatki skuliły się wokół niego, tworząc zwarty kokon, który pęczniał coraz bardziej, przyjmując wreszcie kształt piki o średnicy około pięciu metrów.

Nad-inspektor natychmiast wszystko zrozumiał. Urządzenie to było dość dziwne i niewątpliwie stanowiło swego rodzaju ratowniczą kapsułę kosmiczną. Mężczyzna znajdował się teraz w kokonie utworzonym z kilku superwytrzymałych koncentrycznych balonów. Mogły mu zagrozić tylko potężne, skierowane do wewnątrz siły. Jednocześnie był chroniony przed wszelkiego typu wstrząsami jak w kołysce. Na dodatek, z uwagi na swą lekkość i kształt, kula była doskonale przystosowana do swobodnego poruszania po rozsypującej się powierzchni, gdzie coś cięższego wpadłoby w pułapkę i zostało zmiażdżone.

Nad-inspektor zmuszony był przerwać swe rozważania i poszukać ratunku, który jemu umożliwiłby przetrwanie. Nim zdołał obmyśleć jakiś plan, ziemia znów podniosła się pod jego stopami. Sztywny chodnik ulicy rozleciał się na kawałki, popękał tysiącami szczelin, które otwierały się i zamykały jak wygłodzone, gotowe połknąć człowieka szczęki. Hovera rzuciło na ziemię i o włos uniknął śmierci, gdy z pobliskiego domu odpadł kawałek walącego się muru i runął na jezdnię tuż przy nim. Kiedy obracał się usiłując ocenić wielkość obecnego niebezpieczeństwa, następna fala podziemnego wstrząsu spowodowała, że reszta strzaskanego domu runęła wprost na niego.

- Pomóż mi, Talloth! Jestem w niebezpieczeństwie! - wołanie skierowane było do czegoś niematerialnego, co unosiło się nad ramieniem Hovera.

- Wierzysz we mnie?

- Znalazłeś cholernie dobry moment na zadawanie pytań. Czyż nie dzieje z tobą mojego istnienia? Czego chcesz? Krwi?

Ziemia podniosła się i poruszyła gwałtownie jak rozszalały koń pod jeźdźcem. Nawierzchnia rozstała się szeroko i zanim Hover zdołał zrobić cokolwiek, spadł w głąb ruchomej piekielnej jamy.

- Talloth...!

W miarę jak spazm ziemi mijał, ściany lochu zaczęły się zamykać. W górze cały rząd budynków, rozhuśtanych najpierw na powoli wyginających się żelaznych szkieletach, wreszcie runął. Spadający gruz spływał jak kaskady rozszalałej wody, przykrywając miejsce, w którym jak w ciasnej, grobowej pułapce, zagrzebany był Nad-inspektor.

- Tali...

Czas zatrzymał się.

Wydawało się, że jakaś potężna łapa chwyciła cały wszechświat w swoje szpony, wstrzymując wszelki ruch. Spadające z nieba kamienne mury zamarły w absolutnym bezruchu, rozstały się poszarpane krawędzie dołu, do którego Hover wpadł. Ze wszystkiego co znajdowało się wkoło, tylko jemu pozostawiono możliwość poruszania się. Czas cofnął się o jakąś abstrakcyjną liczbę kroków, Wpadł, wpadał, wpadnie, stał na ziemi, o której wiedział, że się rozstał. Wreszcie wydostał się z potężnej rozpadliny, opuszczając zasięg spadających cegieł.

Potem Talloth - brunatne bóstwo symbiotyczne, żyjące na ramieniu Hovera, rozluźniło uścisk, którym powstrzymało nieubłagany bieg czasu. Wydawało się, że przez kilka rozszalałych sekund uległa zwielokrotnieniu szybkość zachodzących wokół zjawisk. Coraz to nowe szczeliny otwierały się i zamykały jak zaciskające się szczęki, z nieba leciały całe ściany. Przyspieszone wznoszenie się ziemi wywołało wstrząsy, które wyrzuciły Nad-inspektora w powietrze. Wylądował na plecach i czekał wytrwale, aż wszechświat zacznie się znów kręcić w normalnym tempie.

Kiedy czas ponownie zaczął płynąć z pożądaną szybkością, Hover usiadł i rozejrzał się. Krajobraz był zmieniony nie do poznania. Edel stanowiło masę startych na proch ruin. Potężna skarpa po prostu zniknęła z horyzontu. Co najmniej jedna trzecia dawnego obszaru miasta pokryta została tak grubą warstwą tego wszystkiego, co niosła ze sobą lawina, że wszelkie próby odnalezienia pozostałych przy życiu były z góry skazane na niepowodzenie.

Hover otrząsnąwszy się z niedawnych przeżyć, usiłował ocenić swoją sytuację. Był silnie potłuczony i potwornie bolała go prawa noga. Uznał jednak, że kości ma całe. Przymocowany ; w pasie i na piersi sprzęt przetrwał nienaruszony. Kiedy jednak zobaczył, w jak oplakanym stanie

znajdowały się urządzenia łącznościowe - spłaszczone jak od uderzeń młota - uświadomił sobie, że Talloth uratował go dosłownie w ostatniej chwili.

- Dzięki ci, stary - wyszeptał do czegoś niematerialnego, co drżało mu na ramieniu. - Odczekałeś do ostatniej chwili.

- Jeśli masz jakieś obiekcje - powiedział Talloth - zawsze mogę cię tam umieścić z powrotem i zostawić.

- Zaponijmy już o tym! - Hover przetrząsał teren w poszukiwaniu śladów białej kuli, w której schronił się tropiony przezeń człowiek, niczego nie znalazłszy, początkowo uznał, że musiała ona zostać w jakiś sposób zmiażdżona i zagrzebana. Jednak potem zauważył plamę wyraźnie bielszą od zmieszanego z ziemią śniegu. Gdy doszedł na miejsce, zastał otwartą kulę, z której spuszczone było powietrze, porzuconą i pustą. Nie opodal leżały zwłoki jakiegoś młodego człowieka. Wyglądało na to, że ktoś umyślnie rozwalił mu głowę. Po śledzonym przez Hovera osobniku wszelki ślad zaginął.

Sytuacja była trudna. Właściwie nie było sposobu, by mógł wśród ocalałych z katastrofy, włóczących się teraz po zniszczonym mieście, rozpoznać człowieka, którego szukała. Jedyne wyjście to zmierzać do miejsca, które, jak mniemał, stanowiło epicentrum Omega Chaosu. Istniała nadzieja, że znajdzie tam coś, co wyjaśniłoby cel przybycia ściganego do Edel.

Budynki Konfederacji Przestrzeni Monai wznosiły się na ogromnej platformie budowlanej. Same domy na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie stosunkowo mało zniszczonych. Dopiero staranniejsza lustracja ujawniła, że wszystkie ściany popękały i teraz są tylko luźnymi kawałkami przyklejonymi do odkształconego szkieletu budowli. Poza tym niemal całkowicie zawały się starsze budynki - zewnętrzne mury rozleciały się, pozostały tylko silnie wzmocnione stropy. Po leżącej na ziemi tablicy Hover zorientował się, że tu właśnie zlokalizowane było międzygwiazdne centrum handlowe. W nagłym przebłysku intuicji zrozumiał, iż teraz należy szukać najprawdopodobniej już dwóch osób, a nie jednej.

Zawrócił, próbując iść tamtą drogą, którą wchodził do Edel. Była ona w dużej części zniszczona i musiał zbaczać w miejscach, gdzie przerywały ją zalegające stosy stopy gruzu. Pamiętając jak Sarai podkreślał wagę jego misji, Hover był zmuszony ignorować krzyki uwięzionych w gruzach ludzi, albo prośby tych, którzy próbowali ich ratować. Czasami było mu niezmiernie trudno zachować stanowczość, zwłaszcza, gdy w ślad za nim leciały przekleństwa. Jednak nadzwyczajne pełnomocnictwo, które otrzymał, nie pozostawiało mu wyboru.

Wreszcie doszedł na kraniec miasta, do równiny. Nawet tutaj teren był prawie nierozpoznawalny. Na tym obrzydliwym pustkowiu absolutnie płaska niegdyś ziemia była teraz spękana i pobrużdżona jak gdyby jakiś olbrzym rozgrzebał ją w bezmyślnym szale zniszczenia. Hover czekał. Był czujny, w pogotowiu. Patrzył badawczo na każdy kładący się w zapadającym z wolna zmierzchu cień. Jeden ze statków - laboratoriów wystartował z płaskowyżu i wysoką trajektorią przeleciał mu ponad głową, ku centrum Edel. Odnotował ten fakt bez specjalnego zainteresowania. Zrobił założenie, że mężczyzna, którego szukał, przybył do Edel po kogoś. Bez względu na to, czy próba powiodła się, czy nie, człowiek ten musiał przynajmniej usiłować wracać, i to prawdopodobnie tą samą trasą. Hover postanowił zagrozić mu drogę i uniemożliwić ucieczkę.

Wkrótce uzyskał dowody na to, że jego przecucia były słuszne. Chociaż niczego nie zobaczył, usłyszał zawroźnienie silnika śniegochodu, forsującego górzysty teren. Maszyna zmierzała do celu, poruszając się wyraźnie w lewo w stosunku do miejsca, w którym obecnie się znajdował. Szybko ruszył naprzód, by przeciąć jej drogę. Biegając, odbezpieczał jednocześnie broń. Palce odnalazły pocisk obezwładniający i wsunęły go do miotacza natychmiast po tym, jak zauważył niewyraźne kontury wyjeżdżającego z doliny śniegochodu.

Skulony nisko nad ziemią, odpalił. Świetlna smuga pozostawiona przez pocisk wskazywała, że sięgnął on celu. Hover odwrócił się natychmiast, zatykając uszy. Na plecach poczuł silny podmuch fali uderzeniowej. Miękka, rozorana ziemia wygłuszyła trwający zaledwie ułamek sekundy odgłos wystrzału i było raczej mało prawdopodobne, aby hałas mógł być słyszalny w

większej odległości. Śniegochód zaczął zwalniać, aż zatrzymał się, kiedy ogłuszony kierowca stracił nad nim panowanie. Hover podbiegł do wjazdu pojazd szybko dostał się do środka i chcąc mieć pewność, że ogłuszony mężczyzna nieprędko znowu przystąpi do gry, umieścił za uchem śpiącego niewielki, samoprzylepny plaster z obezwładniającym środkiem narkotycznym. Zapalił przednie reflektory, dając w ten sposób sygnał świetlny i wyskoczył na zewnątrz, kryjąc się w ciemności.

Zatoczył wielkie koło, aby nie znaleźć się w zasięgu świateł, po czym przyciśnięty do wysokiej zasy snieżnej czekał, aż ktoś wpadnie w zastawioną przez niego pułapkę. Nie trwało to długo, wkrótce z ukrycia wyskoczyła ciemna postać i pobiegła prosto do śniegochodu. sposób, w jaki poruszał się biegnący, nie wskazywał raczej, aby zdawał on sobie sprawę, że z kierowcą jest coś nie w porządku. Śmiało wgramolił się do środka. Hover wystrzelił pocisk gazowy, trafiając dokładnie w ciągle otwarty właz. Odliczył powoli do dwudziestu, aby środek obezwładniający o krótkotrwałym działaniu zdążył się rozpylić, po czym wyjął następny plaster z odurzającym narkotykiem i poszedł zając się drugim więźniem.

I to był jego największy błąd. Ktoś wyskoczył z ciemności. Niewiarygodnie silnymi rękami zadał nadinspektorowi serię dobrze wymierzonych ciosów, które mimo grubego, ciepłego ubrania pozbawiły go władzy w rękach i nogach. Przytomny, niezdolny jednak do jakiegokolwiek ruchu, runął jak kłoda. Czyjaś noga po mistrzowsku przeturlała go w snop świateł reflektorów. Napastnik przyjrzał mu się badawczo, by ustalić, kim jest.

- Nad-inspektor przestrzeni we własnej osobie! Nieważne, nawet dla ciebie ta gra jest o wiele za trudna. Nie próbuj się do niej przyłączać, dopóki nie wiesz, o co w niej chodzi i nie rozumiesz prawideł. Przekaż tę wiadomość Sarai. I powiedz mu, że wysłała ja Kasdeya.

Po krótkiej przerwie Śniegochód ruszył ponownie, skręcając w nowo obranym kierunku. Nagle zaczął szybko jechać tyłem. Hover był teraz zadowolony, że miał zdrętwiałe od ciosów kończyny. Tak naprawdę, to nawet nie czuł bólu, kiedy gąsienice miażdżyły mu obie nogi. Na ramieniu niepewnie zamigotał Talloth. Nie uznał, aby interwencja była konieczna, gdyż obrażenia Nad-inspektora nie sprawiały wrażenia śmiertelnych.

3.

"I co tam widać w dole, Róźdzko?" O

"Dwóch ludzi usuwa szkody po nawałnicy."

Terrański Instytut Badań Zjawisk Chaosu znany jest powszechnie pod nazwą Centrum Chaosu. Nad-inspektor przestrzeni Jym Wildheit słyszał o nim wielokrotnie i teraz, gdy wchodził szerokimi szklanymi drzwiami do budynku administracji i zameldował swoje przybycie, zżerała go ciekawość. Nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego został tu wezwany z drugiego krańca galaktyki.

"Przyjrzyj się uważnie i opisz szczegóły".

"Na błyszcząco - zielone tablice spada młot, niezgodnie w fazie z dźwiękiem. Z różnicy czasu mogą z grubsza obliczyć odległość".

Gdy wszedł na salę obrad, od razu zrozumiał dlaczego tak dbano o środki bezpieczeństwa. Prawdopodobnie po raz pierwszy zebrano na jednej planecie wszystkich dwunastu nad-inspektorów przestrzeni. Byli w komplecie, tuzin ludzi, do obowiązków których należała ochrona cywilizacji w porzrzucanych na wielkich przestrzeniach imperiach galaktycznych. Byli legendarnymi panami wszechświata, a ich władza przewyższała władzę rządzących planetami namiestników i królów. Byli postrachem tyranów i piratów przestrzeni. Wildheit z uczuciem ulgi zauważył, że mimo wpływu, jaki nad-inspektorzy mieli na losy galaktyki, nadal pozostali oni zupełnie zwyczajnymi ludźmi. Nad-inspektor Hover, poruszający się na elektrycznym wózku którym będzie musiał posługiwać się aż wyrosną mu nowe nogi, zaszczerpione w procesie klonowania - podkreślał tym kruchość ich istnienia, z której i tak aż nazbyt dobrze zdawali sobie sprawę.

"Zamknij oczy, mała. co teraz widzisz?"

"Niewielkie wibracje świadczące o zmianach entropii. Mięśnie prowadzą młot. Gwóźdź reaguje. Z Chaosu wyłania się porządek. Entropia spada. Wszechświat kręci się znowu."

Na sali był jakiś człowiek, którego Wildheit nie znał. Cały w czerni, w obszernym płaszczu spływającym z ramion. Jego ubiór wskazywał, że pochodzi z dalekiego świata. Nie pozdrawiał nikogo z wchodzących, tylko siedział zgarbiony, podpierając brodę pięściami, dokładnie pod wielkim portretem

Brona, założyciela Federacji. Jego szare oczy bez przerwy coś śledziły, jak gdyby w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, których nikt nie umiał nawet zadać.

"Zobacz, co dzieje się z czasem, Róźdzko. No i co tam widać?"

"Iskry w mózgu, wydające rozkazy mięśniom. Umysł przeciw Chaosowi. Entropia maleje."

Główny Nad-inspektor Delfan, który jako jedyny spośród obecnych na sali miał ordery przypięte do skądinąd ściśle funkcjonalnego munduru, przywołał zgromadzonych do porządku.

- Zapewne ciekawi jesteście, dlaczego zaryzykowaliśmy oderwanie wszystkich dwunastu nad-inspektorów przestrzeni od zajęć i ściągnęliśmy ich na Terrę. Fakt, że uznaliśmy to za konieczne wskazuje na powagę sytuacji. Panowie, prawda jest następująca: Federacja Galaktyki zaatakowana została wielce niebezpieczną i zdradziecką bronią. Dziesięć lat jej działania zniszczy wszystko, co stworzyliśmy w przestrzeni podczas dwóch tysięcy lat.

Wśród słuchaczy przeszedł szmer niedowierzenia. Nad-inspektor Tun Tse zgłosił zastrzeżenie.

- Pogląd ten jest trudny do przyjęcia - rozpoczął. - Osobiście mam wiadomości o trzech sektorach przestrzeni, a moi koledzy o reszcie. Gdyby istniało takie zagrożenie, dowiedzielibyśmy się o nim jako pierwsi.

- Wiecie o tym, tylko nie bierzcie faktów za to, czym są w istocie. Na przykład śmierć generała Caligori w pobliżu Harmony.

- Wybuch na jednym ze słońc wyjąłowił statek. Dzieło Boga.

- W taki razie Bóg dość wyraźnie przestał nam sprzyjać. Tylko w ubiegłym roku sto osiemdziesiąt konkretnych osób zmarło w wyniku klęsk żywiołowych.

- Stu osiemdziesięciu? - Tun Tse był wściekły. - Galaktyka jest ogromna. Liczba ofiar klęsk żywiołowych winna iść w miliardy.

- Nie kwestionuję tego, ale mówiłem o konkretnych osobach. Są to w szczególności najwspanialsze umysły naszych czasów - uczeni i praktycy, których geniusz wytycza drogi dla całej rasy ludzkiej. Statystycznie wskaźniki śmiertelności był w ich przypadku tysiąc razy wyższy aniżeli współczynnik prawdopodobieństwa. Panowie, prowadzone przez nas badania nie pozostawiają wątpliwości, iż najlepsi z tych, którzy kształtują naszą przyszłość, są rozmyślnie eliminowani. Ludzkość uśmiercana jest metodycznie, poczynając od najlepszych.

- Ofiary klęsk żywiołowych? - Tun Tse chciał uzyskać pewność.

- Generał Caligori padł ofiarą wybuchu na jednym ze słońc. Nikt przed nim nie osiągał tak skutecznych wyników w rozwijaniu potencjału naszej broni przestrzennej. Prezydent Bruant został zabity w trakcie wielkiego zderzenia meteorów na Berbecé. Bez jego talentu w rządzeniu, Stu Światom znów grożą wzajemne wewnętrzne wojny. Statek Juliusa Oraina został zniszczony w czasie wirującej burzy. Mózg ofiary zabrał ze sobą do grobu kilka teorii, które mogły zapewnić nam dostęp do nieograniczonych źródeł na wieczne czasy. Ta lista nie ma końca. Nasze całkowite panowanie w przestrzeni zagrożone jest zespołem tych selektywnych katastrof.

“Spójrz w niebo, Róźdzko. Co tam widać?” “Poza pędzącymi chmurami i wielkim okiem cyklonu przepływają długie, powolne fale entropii, łącząc się w szczytowym punkcie z szybko przemieszczającym się czołem fali uderzeniowej”.

- Wydaje mi się, że tkwi w tym wewnętrzna sprzeczność. Jak może istnieć selektywny zespół przypadkowych zdarzeń? - spytał Tun Tse, którego zdziwienie zdawało się wyrażać odczucia jego kolegów. - A co chciałeś powiedzieć, wspominając o broni?

- Odpowiedzi udzieli Saraya, szef Centrum Chaosu. Trudno będzie wam zgodzić się z tym, co powie. Proszę, abyście słuchali j uważnie i bez uprzedzeń, ponieważ przyszły kształt ludzkości j może zależeć od tego, czy teraz dobrze wszystko zrozumiecie.

Mężczyzna w czerni rozpostarł płaszcz, jak przypięte skrzydła, które mogłyby go unieść w powietrze.

- Panowie, Nad-inspektor Delfan przedstawił już problem j w ogólnych zarysach. Centrum Chaosu, przy pomocy nad-inspektora Hovera, od jakiegoś czasu próbuje znaleźć rozwiązanie. Nie posunęliśmy się zbyt daleko, a to, do czego doszliśmy, nie podoba się nam. Na początek poproszę was o dokonanie subtelnej myślowej inwersji: nie jest tak, że wielkie nieszczęścia przytrafiają się ważnym ludziom, lecz ważni ludzie są obecni, gdy zdarzają się wielkie nieszczęścia.

- Ta subtelność zupełnie mi się wymyka - powiedział Tun Tse.

- To bardzo proste. W całej galaktyce każdego dnia zdarzają się katastrofy. Jedni w nich giną, inni się ratują. Każdemu człowiekowi przytrafiają się w życiu takie przypadki, kiedy z ledwością unika śmierci. Nad-inspektorze Wildheit, czy do tej pory nadażasz za tokiem mojego rozumowania?

- Nie mogę się nie zgodzić z tym, co mówisz. Sam wiele razy o włos unikałem nieszczęścia.

- Spróbuj się zatem zastanowić. Załóżmy, że jeden z tych prawie śmiertelnych wypadków zdarzyłby się inaczej - wcześniej lub później, trochę bardziej w lewo albo w prawo, szybciej lub wolniej.

- Wtedy prawdopodobnie nie usłyszelibyście kilku historyjek, które chcę wam opowiedzieć, bo by mnie tu w ogóle nie było - odparł Wildheit.

- No właśnie! Zbliżamy się do sedna sprawy. Przyjmijmy, że istnieje jakieś urządzenie zdolne do modyfikowania warunków katastrofy i takiego ich doboru, by dana jednostka miała prawie zerową szansę przeżycia danego zdarzenia.

- I tu przestajemy się rozumieć. Nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

- Jednak wszystkie zebrane przez nas dowody wskazują, że takie urządzenie istnieje. Hover i ja własnymi oczami obserwowaliśmy skuteczność jego działania. Z braku lepszego określenia, nazwijmy je Bronią Chaosu.

- Spytałem wprost - odezwał się Tun Tse. - Czy chcesz powiedzieć, że to urządzenie samo stwarza katastrofy?

- Nie. Powoduje jedynie dyslokację zdarzenia, które i tak nastąpi. Samego zdarzenia nie można ani kreować, ani też anulować, ponieważ jest zapisane w układach entropii, które nazywamy Chaosem.

- Mogę się mylić - powiedział Hover - ale czy w Edel Broń nie powiększyła skali katastrofy?

- Owszem. I to z całkiem prostej przyczyny. Nie da się zahamować zdarzenia, które mieści w sobie miliardy ergów energii bez użycia takiej samej ilości energii o ujemnym potencjale, dla zachowania równowagi. Im dłużej trwa proces hamowania, tym więcej energii musi dopłynąć. Kiedy w końcu przestanie się nad tym panować, natychmiast wyzwolona zostaje cała energia.

- Nadal nie jestem przekonany - stwierdził Wildheit. - Nawet uznając, że masz rację, wciąż nie wiadomo, kto wymyślił coś takiego i dlaczego wypróbowało to na nas.

- Nie wydaje mi się, aby były w tym względzie jakieś wątpliwości. Odkąd wtargnęliśmy w przestrzeń, ekspansja człowieka wzrasta w postępie geometrycznym. Już w tej chwili badamy możliwości zaludnienia innych galaktyk. Ktoś chce nas powstrzymać, i to szybko. Wytrzebiecie naszych czołowych umysłów zdaje się być bardziej opłacalnym rozwiązaniem aniżeli totalna wojna we wszechświecie. Na dłuższą metę może się także okazać bardziej skuteczne.

- Czy nie mamy żadnych śladów, które wskazywałyby sprawców?

- Chciałbyś się - zastanowić nad tym, ile może być we wszechświecie obcych ras? A ile z nich może wpaść w panikę z powodu naszej ekspansji? Mam kilka podejrzeń, nad-inspektorze, ale brak mi najmniejszego nawet dowodu. Dlatego zostało zwołane to spotkanie. Znaczący obszary i granice przestrzeni najlepiej ze wszystkich żyjących. Potrzebujemy waszej pomocy, bo jeżeli my nie odnajdziemy i nie zniszczymy Broni Chaosu, ona zniszczy nas.

Delfan ponownie objął przewodnictwo obrad.

- Sprawa była dyskutowana w Komitecie Bezpieczeństwa Rady Głównej. Nasze instrukcje zalecają współpracę z Centrum Chaosu w zakresie zlokalizowania Broni i ustalenia, kto się nią posługuje. Jeżeli pomyślnie wykonamy to żądanie, możemy liczyć na wsparcie sił zbrojnych w dziele zniszczenia przeciwnika. Cass Hover oddelegowany jest do Centrum Chaosu, aby kierował stamtąd łącznością. Jym Wildheit przejmuje obowiązki szefa operacyjnego. Reszta otrzyma konkretne zadania we właściwym czasie. W obecnym stadium opinia publiczna nie zostanie poinformowana. Moim obowiązkiem jest powiadomić was, iż oficjalnie znajdujemy się w stanie wojny, chociaż pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić - to odnaleźć przeciwnika.

Umieszczony na stole konferencyjnym komunikator wydał piskliwy dźwięk. Saraya podniósł słuchawkę i słuchał z grobową miną, zadając kilka krótkich pytań. Nagle gwałtownym ruchem odłożył aparat i zerwał się na równe nogi.

- Panowie, niebezpieczeństwo jest tuż tuż. Jeden z komputerów Chaosu ma podstawową linię odniesienia wyśrodkowaną na tym właśnie budynku. Rysunek tej linii zniknął przed chwilą z górnej części wykresu. Jeśli nasza interpretacja jest prawidłowa, od kolejnej katastrofy, która rozegra się tu, w tym miejscu, dzieli nas cztery minuty. Proponuję szybką ewakuację całego gmachu.

"Jakie dostrzegasz znaki na niebie?"

"Wzbierają jakieś ciemne siły - potężniejsze niż burze, czarniejsze niż absolut, czerwiejsze niż ogień. Bezmiar nieszczęścia, śmierć i zagłada. Umysły chwywane w sidła Chaosu... Rozpoczęła się wojna!"

Prom kosmiczny "Spanier" wszedł na orbitę wokółziemską i przygotował się do wytracania szybkości w trakcie trzech pełnych okrążeń kuli ziemskiej. Obliczanie kursu było całkowicie

zautomatyzowane, dlatego kapitan nie miał przy pulpicie sterowniczym zbyt wiele do roboty. Spoglądał tylko od czasu do czasu na urządzenia rejestrujące, popijając z przeciwnieważkościowej torebki zielony sok cytrynowy z Wenus. Statek, po wyłączeniu silników spadał swobodnie, a delikatne działanie mechanizmów hamujących dawało załodze i trzystu znużonym brakiem ciężenia podróży przyjemne, choć słabe uczucie siły ciężenia.

Po zakończeniu pierwszego okrążenia, odczyt danych na przyrządach był zgodny z wykazem. Komputery samoczynnie uruchomiły kanały informacji, przekazując dane do portu przeznaczenia na terenie Alaski. Jednak coś zaczęło szwankować. Jeden z układu trzech pokładowych komputerów zaczął się nie zgadzać z dwoma pozostałymi. Usterka została zasygnalizowana i kapitan dokonał szybkiej oceny sytuacji. Zdecydował, że dwa komputery układu wystarczą do dokonania lądowania bez interwencji pilota. Wyłączył wobec tego sterowanie ręczne, które uruchomione zostało z chwilą, gdy pierwszy komputer przestał współgrać z pozostałymi. Kanałem łączności radiowej zameldował o defekcie, po czym odprężył się na moment, przygotowany na pojawienie się dalszych kłopotów.

Nie dały na siebie czekać. W połowie drugiego okrążenia czujniki pomiarowe temperatury, umieszczone w powłoce z tytanu, wskazały jej wzrost powyżej granicy bezpieczeństwa. Następnie wysokościomierz poinformował, że prędkość schodzenia jest o wiele za wysoka. Kapitan, przeklinając, sięgnął do przyrządów wspomagających sterowanie, lecz nim zdążył dotknąć przełącznika, uszkodzone układy elektroniczne splątały mu ostatniego już figła. Gwałtowny zryw silników hamujących odebrał statkowi rozpęd, narażając pasażerów na działanie niebezpiecznie dużych przeciążeń. Prom pikował w stratosferę, a jego płyty nośne były całkowicie bezużyteczne w tak rozrzedzonym powietrzu. Maszyna spadała w kierunku Ziemi jak kamień. Rozżarzyła się do białości i złała się w olbrzymią, płonąca kulę. Dziwne naprężenia we wszechświecie ukształtowały ostatnią trajektorię strzelającej płomieniami masy. Ognista kula ugodziła w Centrum Chaosu, eksplodując jak bomba.

Grupa zgromadzonych w parku ludzi obserwowała spadającą kulę. Trafiony gmach zdał się błyskawicznie rozszerzać we wszystkich kierunkach, by potem zapaść się w głąb siebie w ostatecznej zagładzie. W kilka sekund po uderzeniu, z Centrum Chaosu została tylko sterta gruzu, i zawieszony nad nią tuman pyłu i kłęb dymu. Idąca wprost do czystego nieba smuga - ślad po spadającej kuli - wyglądała jak rzucony z niebios oszczep.

- Cóż to było, do diabła? - spytał Delfan po długim milczeniu.

- Chyba jakiś statek - odparł Saraya z poważną miną. - Meldunek o nim otrzymamy później. Straciliśmy blisko jedną trzecią mocy komputerowej Chaosu. A swoją drogą zastanawiam się, czy informacja, którą w ten sposób uzyskaliśmy nie jest warta strat.

- Jaka informacja?

- Fakt, że tak nieprawdopodobny wypadek zdarzył się właśnie w tym czasie i w tym miejscu. W naszej pracy w Chaosie często zaczynamy od skutku i prowadzimy badania wstecz, aby ustalić przyczynę. Podejrzewam, że nasz nieznaną wróg dokonał podobnego zabiegu - rozpatrzył jakieś przyszłe zdarzenie, które dawało mu powód do niepokoju, potem wytropił przyczynę, docierając do tego właśnie miejsca i do tego punktu w czasie.

- Czy to możliwe?

- Całkiem możliwe. Z przyczynowo - skutkowych punktów zmian entropii fale rozchodzą się w eter jak bańki mydlane. Jednak tylko dwa powiązane ze sobą zdarzenia mają ściśle zbieżne osie. Jeżeli zaczniesz od przyczyny, zwykle uda ci się zlokalizować skutek. I odwrotnie. W tej sytuacji można przypuszczać, że nasze obecne rozważania będą miały wymierne konsekwencje w przyszłości. Naszych przeciwników tak bardzo przeraża skutek, że wpadają w panikę. W kategoriach entropii jest to stosunkowo niewielkie nieszczęście.

- Czy to oznacza, że wszyscy stanowimy obecnie przedmiot zainteresowania Broni Chaosu?

- Myślę, że nie. Jest bardziej prawdopodobne, że tylko jeden z nas. Liczne wzory Chaosu są zbyt rozproszone, by można było je prześledzić. Zarówno Hover, jak ja, byliśmy obecni w czasie zagłady Edel i nikt tam do nas nie celował, dlatego uważam, że obaj jesteśmy wolni od podejrzeń. Jedynym nowym elementem jest włączenie Nad-inspektora Wildheita w sprawę Centrum Chaosu. Tego zbiegu okoliczności nie można zignorować. Nad-inspektorze Wildheit, jak czuje się człowiek patrzący w lufę Broni Chaosu? Ciekaw jestem, co zamierzasz zrobić, Jym, aby uzasadnić tak wielkie zainteresowanie twoją osobą?

- Mógłbym się bez niego obejść - odrzekł ponuro. - W każdym razie spudłowali.

- Oczywiście. Stało się tak dlatego, że skorzystałeś z dobrodziejstw podanej w porę informacji Chaosu. Jeżeli nie będziesz spędzać reszty życia w pomieszczeniu z aparaturą komputerową, to najprawdopodobniej przed kolejną próbą użycia Broni przeciwko tobie nie zostaniesz ostrzeżony. Chyba, że...

- Chyba, że co?

- To zwariowany pomysł, ale być może wart zastanowienia. W czasie Wielkiego Exodusu Terre opuściło sporo niewielkich grup, które postanowiły zakładać kolonie na własną rękę. Jedna z nich stosując formy religijno - kultowe, poświęciła się przywracaniu zmysłów, które według nich uległy w człowieku zanikowi.

- Zmysłowcy? - spytał Tun Tse, który uważnie śledził rozmowę.

- Tak jest! Osiedlili się na Mayo. Dzięki surowemu przestrzeganiu zasad swej filozofii spłodzili trochę osobników o uzdolnieniach wybijających się ponad przeciętność. Jednak nawet sami Zmysłowcy nie znali w pełni zakresu rozwiniętych przez siebie pól wrażliwości. Zdolności te zaczęły ujawniać się przy zagrożeniach, o których istnieniu czasem w ogóle nie wiedzieli. O ile moje informacje są prawdziwe, doczekali się nawet Własnego Jasnovidza Chaosu, który bezpośrednio odczytuje wzory.

- Na ile jest to wiarygodne? - spytał Dolfan.

- Z pewnością nie jest niemożliwe. Organizm ludzki reaguje na fale cieplne, świetlne i dźwiękowe. Nie widzę powodu, dla którego nie miałby odbierać również fal entropii.

- Oczywiście, że istota ludzka wyposażona jest w receptory ciepła, światła i dźwięku - skórę, oczy i uszy. Nie widzę jednak żadnego uzasadnienia odbioru zjawisk Chaosu.

- Nie widzisz? - spytał Saraya, w którego oczach malowało się lekkie rozbawienie. - Czyżbyś nigdy nie miał żadnych przeczuć? Czy nigdy nie podejrzewałeś skutku jakiegoś zdarzenia? A co z intuicją? Myślę, że każdy z nas potrafi do pewnych granic odczytywać Chaos, ale nigdy nie zwracaliśmy sobie głowy rozwinięciem tej zdolności. Przypuśćmy, że ów Jasnovidz Chaosu naprawdę istnieje i można go namówić do współpracy z Wildheitem. Wówczas moglibyśmy uzyskać niektóre poszukiwane przez nas odpowiedzi.

- Nie wiem doprawdy, w jaki sposób jasnovidz mógłby nam pomóc.

- Wyobraź sobie korzyści płynące z umiejętności przewidywania oraz interpretacji Chaosu na bieżąco i to na zasadzie współdziałania z czymś tak niepozornym i zmiennym jak człowiek. Wyobraź sobie ten wspólny wysiłek dla osiągnięcia pierwszorzędneho celu, jakim jest Broń Chaosu. Po pierwsze, wróg nie miałby możliwości dotarcia do Wildheita bez ostrzeżenia. Po drugie, mielibyśmy kogoś, kto, że tak powiem, zagładałby do lufy, dzięki czemu istniałoby duże prawdopodobieństwo, że w końcu zlokalizuje źródło energii.

- To ma jakiś sens - stwierdził Tun Tse. - Jednak Zmysłowcy mają opinię ludzi mało komunikatywnych, a Mayo to świat zakazany. Nawiązanie współpracy z jasnovidzem może okazać się bardzo trudne.

- Zastanów się nad ich położeniem. Mayo znajduje się na samym skraju Drogi Mlecznej. Jeżeli Federacja się rozpadnie, oni są skończeni, ponieważ, czy się to komu podoba czy nie, właśnie statki Federacji zmuszają obcych do trzymania się z daleka. Jeśli nasze umocnienia zaczną się załamywać, na pierwszy ogień pójdą mieszkańcy Mayo. A obcy nie biorą do niewoli...

- To brzmi przekonująco dla nas, wątpię jednak czy uda się nam coś wskórać w rejonie Obrzeża, zanim obce zagrożenie stanie się rzeczywistością. Pamiętajmy, że ludzie stamtąd nigdy nie padli ofiarą agresji. Nawet nie wiedzą co ich czeka.

- Od Nad-inspektora Wildheita będzie zależało, czy ich przekona. To twoje pierwsze zadanie - zwrócił się Delfan do Jyma. - Wyruszaj na Mayo i pozyskaj Jasnowidza Chaosu.

4.

W swej podróży z Terry na drugi koniec galaktyki, gdzie Mayo 4 okrąża własne słońce, miał Wildheit szczęście, że obie planety położone były po tej samej stronie szeroko rozlanej Drogi Mlecznej. Nawet wtedy pokonanie około siedemnastu tysięcy lat świetlnych na pokładzie niewielkiej jednostki patrolowej stanowiło nie byle jakie przedsięwzięcie. Po pięciu dniach od opuszczenia Terry na statku "Gegenschein" Nad-inspektor dokonał pierwszego przeskoku z prędkości podświetlnej do podprzestrzeni, zaś po sześciu następnych dniach znów się wyłonił, zostawiwszy za sobą blisko dziesięć tysięcy lat świetlnych. Pierwszy skok nie był najważniejszy - jego znaczenie polegało jedynie na dotarciu do miejsca, z którego następne, dokładniejsze skoki doprowadzą go do punktu, znajdującego się w zasięgu prędkości podświetlnej od celu.

Od tej chwili większość czasu pochłaniała mu obserwacja i wyliczenia. Następnym skokiem podprzestrzennym pokonał trzy i pół roku świetlnego. Do przebycia pozostało mu mniej więcej tyle samo. Obliczał długość każdego kolejnego skoku tak, by daną odległość zredukować do połowy. Niestety, małe statki posiadały określoną, minimalną długość skoku w podprzestrzeni. Gdyby Wildheit wyszedł w normalną przestrzeń za daleko lub za blisko, musiałby podróżować kilka miesięcy z prędkością podświetlną, zanim wylądowałby na planecie. Zazdrościł wielkim statkom liniowym, które w trakcie lotów rozkładowych jednym skokiem podprzestrzennym zbliżały się do portu przeznaczenia na odległość kilku dni lotu z prędkością podświetlną.

Zazdrościł im również odpowiednich warunków rekreacyjnych. Na "Gegenschein" jedyne przeznaczone do poruszania się i do ćwiczeń miejsce to pojedyncza kabina i drabinki prowadzące do niższych pokładów. Na dodatek bardzo słaba sztuczna grawitacja powodowała tak silne zwiotczenie mięśni, że Nad-inspektor obawiał się, iż zetknięcie ze światem, w którym panuje przyciąganie ziemskie, okaże się dla niego przykre i bolesne. W tego rodzaju przypadkach, przy osłabionej sprawności, symbiotyczna więź z obecnym na ramieniu Wildheita bóstwem o imieniu Coul, przeobrażała się w dokuczliwy, przenikający do szpiku kości ból.

W przestrzeni Coul zawsze był bardzo niespokojny. Wciąż ta sama sceneria nie dawała żadnej pożytki dla jego nienasyconej ciekawości ludzkich spraw. Drżał migotliwie w trakcie swych nieustannych wycieczek po innych wymiarach przestrzeni, a potem, przygnębiony, powracał na ramię Wildheita, wbijając się w nie szponami metapsychicznych stóp. towarzyszące każdemu powrotowi pulsowanie stanowiło świeży bodziec dla czułych splotów nerwowych w górnej części ramienia Nad-inspektora.

Pomimo tych wszystkich niewygód, istniał szereg przyczyn, dla których Wildheit akceptował urzędujące na jego ramieniu opiekuńcze bóstwo. Kiedy obaj opuścili się w przestrzeń rzeczywistą i Nad-inspektor rozpoczął odliczanie kolejnego skoku, Coul skulił się nagle i pogrążył w spokojnych rozmyślaniach.

- Nad-inspektorze, jestem w duchowej łączności z Tallothem - przemówił. - Nad-inspektor Hover pragnie rozmawiać z tobą za jego pośrednictwem.

- Dziwne jesteście wciąż w zasięgu FTL. Przypuszczam jednak, że istnieje jakiś ważny powód, dla którego chce posłużyć się tą formą łączności.

- Talloth jest przekonany, że to konieczne. W przeciwnym razie nie wykorzystywalibyśmy naszych specjalnych kanałów do przenoszenia twoich przyziemnych myśli.

- Wobec tego nawiążmy kontakt i dowiedzmy się, o czym to Talloth jest przekonany.

- Odpręż się - powiedział Coul.

Wildheit nienawidził tej formy łączności. Ze wszystkich paranormalnych zjawisk, towarzyszących opiekuńczym bóstwom, to właśnie uważał za wdzieranie się siłą w jego jestestwo. Pogodził się już z ciągłym bólem ramienia, Jęcz nie zdołał przyzwyczać się do tego, że słyszy siebie mówiącego głosem innego człowieka.

- Jym! - W dźwiękach wydobywających się z jego własnych ust rozpoznawał głos Hovera, ale wysokość i barwa były zmienione wskutek różnic w budowie krtani.

- O co chodzi, Cass?

- Wykorzystuję łączność duchową, ponieważ nie wiem, kto może podsłuchiwać pasmo FTL. Temat - nasz tajemniczy przyjaciel Saraya.

- O co idzie?

- O kilka drobnostek, które nie pasują do siebie. Gdy w czasie spotkania spytałeś, kto stworzył Broń, zareagował jedynie następnym pytaniem.

- Pamiętam. Spytał mnie, ile może być obcych ras we wszechświecie.

- Wobec tego zastanów się nad tym, co powiem. Jak wiesz, widziałem na Edel działanie Broni Chaosu. Ten facet, który posłużył za tarczę strzelniczą, wyzwalał całe nieszczęście, to nie był żaden z naszych świątłych umysłów. Planeta, którą podał jako miejsce swego pochodzenia w ogóle nie istnieje. Robił wrażenie, że wie jakimś sposobem o nadciągającym nieszczęściu i nawet udało mu się je opóźnić, zanim śniegochód znalazł się poza zasięgiem działania Broni. Saraya nazwał go jedynym w swoim rodzaju i powiedział, że gdziekolwiek dotarłby zeń człowiek, tam właśnie wymierzona będzie Broń Chaosu.

- Do czego zmierzasz, Cass?

- Po prostu mam cholerną pewność, że Saraya wie o tym wszystkim znacznie więcej niż się przyznaje. Facetom, którzy przyjechali śniegochodem, udało się kogoś z Edel wydostać. Myślę, że był nim ten facet, który na mnie napadł, a potem przejechał mi gąsienicami po nogach. Przekazał mi imienną wiadomość dla Sarai. Powiedział, żebym mu powtórzył, że przysyła ją Kasdeya.

- A co na to Saraya?

- Zaprzeczył, jakoby miał znać to nazwisko. Zaprzeczył także, by ta wiadomość cokolwiek dla niego znaczyła. Potem, wyobraź sobie, dał do zrozumienia, że prawdopodobnie sam wymyślił całą tę historię. On chyba nie wie, że każdy inspektor przestrzeni rejestruje każdą sekundę swego dnia. Sprawdziłem później zapis - wiadomość nagrana była głośno i wyraźnie.

- Co to była za wiadomość?

- Cytuję: "Dla ciebie ta gra jest o wiele za trudna. Nie próbuj się do niej przyłączać, dopóki nie wiesz, o co w niej chodzi i nie rozumiesz prawideł."

- Co z tego wynika?

- Nic, jak na razie. Osobiście mam wątpliwości, czy to, czego szukamy, to istotnie jakieś wymyślone przez naszych wrogów urządzenie. Podejrzewam Sarayę o prowadzenie swego rodzaju podwójnej gry. Pomyślałem sobie, że powinienes o tym wiedzieć, skoro jesteś szefem operacyjnym zadania.

- Ogromne dzięki, Cass. Będę pamiętał, co powiedziałaś. A tak przy okazji, jak twoje nogi?

- Rosną. Wczoraj poszedłem do ośrodka obejrzeć je. Każda z nich, ma teraz około osiemnastu lat. Pamiętam, jak moje własne były takie: zgrabne, mocne - piękne. Szkoda, że muszą je postarzeć, aby dorównały tym, które straciłem.

- Ciekaw jestem, czy mogliby mnie wyposażyć w nowy zestaw mózgowy. Ten obecny zapchany jest pytaniami, na które nie ma odpowiedzi.

Łączność skończyła się. Wildheit wznowił nawigację. Z powodu gwałtownych prądów i silnych wirów, tworzących się tam, gdzie na pole grawitacyjne Drogi Mlecznej wpływały potężne fale z głębokiej przestrzeni, nie było sposobu obliczenia i wykreślenia na mapie dokładnego położenia Mayo. Nad-inspektor miał trochę szczęścia przy ostatnim skoku. Od planety Zmysłowców dzieliło go niewiele ponad tydzień podróży z prędkością podświetlną.

Wildheit wylaniając się z ciemności pustynnego skrawka lądu, na którym wylądował, dotarł wreszcie do skraju stolicy. Od celu podróży odgradzała go szeroka rzeka. W jej ciemnych wodach odbijały się zblakane światła ulic, rozciągniętych wzdłuż odległego wału nadbrzeżnego. Wypatrywał promu, ale zamiast niego ukazał się most. Był szeroki i przeładowany ozdobami, za to

nieoświetlony i prawdopodobnie rzadko używany. Podkreślało to izolację miasta, co wskazywała zresztą mapa przestrzeni. Kiedy Wildheit wszedł na most, bóstwo zaczęło wiercić się niespokojnie na jego ramieniu, jakby wyczuwając w tym obcym mieście jakieś niebezpieczeństwo.

Wildheit zostawił pełzacz obok statku patrolowego, jakieś sześć kilometrów stąd. Doświadczenie go nauczyło, że spokojnie podchodząc na piechotę, wzbudza się wrogość mniejszej liczby osób, niż przybywając z pełną demonstracją siły. Z pewnością człowiek zmierzający do celu pieszo wygląda mniej złowieszczo niż zajeżdżający uzbrojonym pełzaczem, zdolnym do rozpętania wojny na światową skalę. Zapłacił za tę filozofię dokuczliwym zmęczeniem nóg i rozległym bólem lewego ramienia, mocno ściskanego przez brunatne, niematerialne, pozostające z nim w nierozzerwalnej więzi bóstwo.

Przechodząc przez most Wildheit miał mieszane uczucia. Bezpośredni kontakt z kulturą tak odrębną jak Zmysłowców, jawił mu się jako psychologiczna góra, na którą wspinaczka będzie niezwykle uciążliwa. Konieczność niebywale wnikliwej i czujnej obserwacji, by móc przystosować się do nowych warunków, zwyczajów i wierzeń, znaczyła dla niego tyle samo, co śmierć intelektualna i ponowne narodzenie się. Nigdzie, nawet na planecie Terra, nie spotkałby nikogo, kto podzieliłby jego własne, szczególne poglądy na temat galaktyki i jej mieszkańców. Zawsze ciążyła na nim odpowiedzialność - obowiązek poszukiwania sensu i wyjścia z danej sytuacji, jak również konieczność zawężenia własnego postrzegania w związku z narzuconymi przez okoliczności krańcowymi ograniczeniami. Choć praktyka dała mu biegłość w tej sztuce, możliwość powtarzania gotowych wzorów w żaden sposób nie zmniejszyła duchowej udreki.

Zaczai odcyfrowywać znaki wypisane Międzygalaktycznym Pismem Alfa na przeciwległym brzegu rzeki. Wyglądało na to, że głównym językiem jest tutaj jeden z trzydziestu siedmiu dialektów galaktycznych, które wbito Wildheitowi w pamięć, by mu służyły pomocą w czasie gwiazdnych misji. Idąc powtarzał wyuczone struktury języków Alfa, by odświeżyć sobie trochę pamięć. Nawet z drugiego brzegu rzeki widział wyraźnie, że miasto było mniej cywilizowane, aniżeli sugerowała mapa przestrzeni. Stanowiło dość dobry przykład rozwoju zatrzymanego na etapie przedtechnicznym, chociaż liczne dowody świadczyły o stosowaniu elektryczności do oświetlenia. Taki anachronizm nie był zjawiskiem odosobnionym wśród zbiorowości ludzkich, utworzonych przez odszczepieńców, osiedlających się tu po Wielkim Exodusie z Terry.

Na końcu mostu znajdowały się bliźniacze budki strażnicze. Strzegła go również żelazna brania z drutem kolczastym. W całej budowli było coś bardzo paranoicznego, co określało zarazem techniczne możliwości tych, którym zagradzano drogę do miasta. Wildheit uznał, że w razie konieczności mógłby sforsować te fortyfikacje nawet nie zwalniając kroku. Przy bramie pociągnął za pokrytą węzłami linę, służącą do wzywania wartownika. Uruchomił tym samym dzwon, którego ponuro brzmiący, potężny dźwięk obudził niechybnie pół miasta.

Ponad głową Wildheita paliły się stare lampy o słabym i nieskutecznym świetle, rzucającym jednak cień jego postaci na plac przed bramą.

- Stój! Kto idzie? Kto ośmiela się przybywać tu po zmierzchu?

- Nad-inspektor przestrzeni Wildheit z Terry, z rozkazu Rady Galaktyki. Chcę mówić z kimś kompetentnym na temat Jasnowidza Chaosu.

- Jesteś z innego świata? Nie wolno ci tutaj lądować.

- Już wylądowałem. Reprezentuję interesy Federacji.

- Mayo nie uznaje Federacji.

- To nieważne. Chronimy was mimo wszystko.

- Wróć za dnia. Zorientuję się, czy ktoś zechce z tobą pomówić.

- Znajdź kogoś teraz. Odbyłem daleką podróż, a sprawa jest bardzo pilna.

- Zaczekaj. Zobaczą, co się da zrobić.

Wildheit usiadł na wysokim brzegu rzeki, nie mogąc nadziwić się naiwności społeczeństwa, które najwyraźniej wierzyło, że żelazna brama może zagwarantować bezpieczeństwo.

Mniej więcej godzinę później otworzono wrota. Stary, siwy mężczyzna dał Nad-inspektorowi znak, by wszedł. Stojący z tyłu ciemno ubrani strażnicy, uzbrojeni w krótkie, białe piki, mieli nieprzyjemnie groźne miny. Wildheit nie miał złudzeń. Sposób, w jaki obchodzili się z tymi białymi pikami świadczył, że były one bronią i to bez wątplenia śmiertelnością.

- Jestem Pilon - przedstawił się rozdrażniony starzec. - Przez twoją natarczywość ściągnięto mnie z łóżka. Miejmy nadzieję, że masz coś ważnego do powiedzenia.

- Coś o tyle ważnego, by przylecieć pięć kiloparseków, aby ci to oznajmić. Sprawujesz tu władzę?

- Jestem jednym z Rady Starszych. Będziesz musiał się tym zadowolić.

Wildheit obrzucił spojrzeniem krąg groźnie wyglądających strażników. Na twarzy każdego z nich wypisane były podejrzliwość i nieufność. Wynikało z tego, że Federacja nie cieszy się na Mayo zbyt dużą sympatią.

- Czy jest tu jakieś ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

- Może się znajdzie. Ale najpierw pokaż mi swoją dłoń. Muszę wyczytać z niej twe zamiary. Wielu jest takich, których w ogóle nie wpuszczamy do miasta.

Zdumiony Wildheit wyciągnął lewą rękę, na której starzec położył swoją i zamknął oczy, by móc się skoncentrować. Strażnicy podnieśli w tym momencie broń i skierowali ją w stronę przybysza, gotowi użyć jej natychmiast, gdyby ten nie rozwiął do końca wątpliwości starca. Wreszcie Pilon przemówił.

- Przybywa w pokojowych zamiarach i jest w wielkiej potrzebie. Przekażcie go mnie. Biorę na siebie odpowiedzialność.

- Ryzykujesz zbyt wiele, Pilonie - odezwał się z niedowierzaniem jeden ze strażników. - Są jeszcze inni, których trzeba będzie zawiadomić. Mogą zechcieć, by go przyprowadzono. W każdym razie będziesz musiał wytłumaczyć się przed Radą Starszych.

- Postępuję zgodnie z prawem - odrzekł starzec, ujmując Wildheita pod ramię. - Chodźmy do mnie, to niedaleko stąd. Tam będziemy mogli porozmawiać.

Wildheit pozwolił sprowadzić się z mostu i wieść wąskimi, brudnymi ulicami po piasku, noszącym ślady żelaznych kół przejeżdżających wozów. Nic nie świadczyło o obecności zmechanizowanego transportu. Domy były potężne, budowane z grubo ciosanego kamienia, a ich architektura wyrażała bardziej indywidualną fantazję, aniżeli jakiś zwyczajowy styl. Odnaczały się prostotą, mimo nieoczekiwanej różnorodności kształtów i sylwetek. W nikłym świetle niedużych latarni miały jakiś feudalny wygląd i sprawiały wrażenie czegoś niezwykle trwałego.

- Co wyczytałeś z mojej dłoni? - spytał Nad-inspektor podczas marszu.

- Dowiedziałem się, że jesteś oczekiwany, ale niepożądany - odpowiedział enigmatycznie Pilon. - Przebywanie tutaj jest dla ciebie niebezpieczne.

- Zadajecie sobie ogromny trud, strzegąc bram miasta. Trudno mi to zrozumieć w sytuacji, kiedy jedynymi mieszkańcami Mayo są Zmysłowcy.

- Istnieją różne stopnie wrażliwości. Niektóre nadzwyczajne jej odmiany potrzebują ochrony przed ujemnymi wpływami, a te bardziej zwyczajne wymagają z kolei opieki ze strony tych wyjątkowych. To zawiła sprawa.

Weszli do dużego, drewnianego domu. Pilon wyciągnął rękę, aby odebrać od Wildheita wierzchnie okrycie. Nad-inspektor przecząco potrząsnął głową.

- Nie ma potrzeby. Moje ubranie automatycznie przystosowuje się do temperatury, a poza tym jest w nim wiele rzeczy, które mogą mi się przydać.

- Jak sobie życzysz. - Starzec badawczo przyglądał się twarzy Wildheita. Coul niespokojnie drżał na ramieniu nadin - spektora. Bóstwo najwyraźniej bało się sytuacji w jakiej się znaleźli, mimo że bezpośrednio nic im nie zagrażało. Nawet Wildheita opanowały jakieś silne przecucia.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, inspektorze - ciągnął dalej stary. - Broń, którą nosisz w swych kieszeniach, zadać może więcej śmierci, aniżeli planeta Mayo widziała w całej swej historii.

Choć wzrok mi tego nie mówi, wyczuwam jakąś istotę obecną na twoim ramieniu. Jesteś z tych, którzy w przeszłości rozlali najwięcej krwi, a ich przyszłość jest jeszcze bardziej krwawa. Przy tym wszystkim jesteś człowiekiem obdarzonym mądrością i humanitaryzmem. To przerażające i bolesne być kimś takim, jak ty.

- Przystąpmy do rzeczy - powiedział Wildheit.

Weszli do niewielkiego, zastawionego książkami pokoju, którego jedynym umeblowaniem było kilka zwykłych krzeseł i stół. Gdy już usiedli, Pilon skierował w stronę Wildheita pytające spojrzenie, lecz jego uwaga zdawała się być podzielona i zwrócona częściowo na to, co znajdowało się poza grubymi ścianami pomieszczenia. W ciemności, za oknami poprzedzielanymi kamiennymi słupkami, nocną ciszę zaczynały mącić odległe hałasy.

- Jaki masz problem, inspektorze?

- Chaos. Zakładam, że wiesz, czym jest Chaos.

- Odbiciem powolnej zagłady wszechświata. Chaos ma dla nas wiele tajemnic.

- Dla nas także. Właśnie to mnie tutaj sprowadza. Federacja Galaktyki zwraca się do ciebie o pomoc. Ktoś lub coś próbuje dobrać się do wzorów Chaosu. Stworzono selektywną Broń, wymierzoną przeciwko najwartościowszym jednostkom. Większość z nich to ludzie, którzy zadecydują o przyszłym panowaniu człowieka w przestrzeni.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że my nie popieramy celów i dążeń Federacji?

- Sądzę jednak, że zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby nie stacjonujące w tej części galaktyki wojska Federacji, Mayo już dawno dostałoby się pod obce panowanie. Bez względu na to, czy się to komu podoba czy nie, istnienie Federacji i wasz byt są nierozzerwalnie związane.

- Dobry argument, inspektorze. Proszę dalej.

- Jak dotąd jedyną naszą bronią przed tym orężem jest uprzedzanie faktów - natychmiastowa i przeprowadzana na gorąco interpretacja zwrotów Chaosu. Jeżeli mamy odnaleźć i unieszkodliwić tę Broń, sprawa ta ma podstawowe znaczenie.

- Macie do tego wasze maszyny liczące.

- Nic mniejszego od aparatury wielkości tego pokoju lub statku wypchanego elektroniką. Nie mamy niczego równie mobilnego jak człowiek. Dano nam do zrozumienia, że Zmysłowcy mają Jasnowidza Chaosu. Chcielibyśmy uzyskać jego współpracę w dziele zniszczenia Broni Chaosu.

Pilon złożył dłonie i przez dłuższy czas przyglądał się swym długim, smukłym palcom.

- Jesteś okropnym, przerażającym człowiekiem, inspektorze. Tym bardziej, że nie wiesz, czym jest to, czego szukasz. To, o co prosisz, jest raczej niemożliwe. Gdyby było możliwe, nie byłoby rozsądne. A jeśli nawet byłoby rozsądne, wyniki nie byłyby takie, jak myślisz.

- Prosiłem o pomoc, a nie o rebusy. Czy to prawda, że ten Jasnowidz istnieje?

- Tak. Wątpię jednak, by reszta galaktyki była przygotowana do nawiązania z nim kontaktu.

- Nie rozumiem.

- Inspektorze, jak ci się wydaje, dlaczego Zmysłowcy stronią od reszty ludzkości?

- Mówi się, że w celu płodzenia nadwyzczaj zdolnych jednostek, od wielu pokoleń stosujecie selekcję osobników, którzy będą się rozmnażać. Nie dopuszczacie możliwości skalania rasy jakąś nieczystą krwią.

- To tylko pół prawdy. Po otrzymaniu czystej rasy nie możemy ryzykować kontaktu tych istot z innymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego. Ich uzdolnienia są zbyt niezwykle, wspaniałe i obiecujące, by mogły być narażane na nadużycia lub deprawacje o nie dającym się przewidzieć celu. Jesteś mądrym człowiekiem i dlatego zrozumiesz mój punkt widzenia. Czy oddałbyś tak niezwykle potęgę w ręce debilnego dziecka?

- Tak nas oceniacie? - spytał Wildheit.

- Tak właśnie wyobrażamy sobie Federację. Cudowne dziecko, ale od urodzenia niedorozwinięte, Jej zbiorowa psychika jest na poziomie emocjonalnym niewiele wyższym niż

poziom reakcji instynktownych. Dokonuje bezmyślnych pro - kreacji i rozmnaża się, bo musi, a potem rozrasta się wśród gwiazd jak rak.

- Sofistyka!

- Czyżby? Mamy wielu jasnowidzów, każdego o innej specjalności. Każdy z nich mógłby zniekształcić twoje wyobrażenia na temat przyszłego społeczeństwa. Nie chcemy brać żadnej odpowiedzialności za to, co mógłbyś z nimi uczynić albo oni z tobą.

- Sądzą, że przeceniasz możliwości swoich jasnowidzów. W każdym razie zawczasu mnie ostrzegłeś. W ten sposób ciężar odpowiedzialności spoczywa na nas, a nie na tobie. Ponawiam moją prośbę o Jasnowidza Chaosu.

Przytłumione dotąd odgłosy za oknem przybierały na sile i Stawały się coraz wyraźniejsze. Nagle dał się słyszeć rytmiczny stukot jakby trzaskających o siebie drewnianych pałek, a potem niski dźwięk podobny do dźwięku rogu. Coul skulił się odruchowo i z lekka migocząc powracał do wciąż tej samej roli baczego obserwatora. Wildheit natomiast wyczuwał jakiś silny i dziwnie odurzający zapach, przypominający terrańskie fiołki.

- Tam się coś dzieje na zewnątrz - zwrócił się nagle do Piłona. - Co to takiego?

- Strażnicy wrócili. Zmysłowcy dzielą się na wiele frakcji.

Jedni stanęliby po twojej stronie, drudzy by cię zabili. Mówiłem już, że przebywanie tutaj jest dla ciebie niebezpieczne. Strażnicy zapewniają spokój, dopóki Rada Starszych nie zdecyduje, co można zrobić dla ciebie albo z tobą. Tymczasem musisz być trzymany w odosobnieniu. I radzę ci nie stawiać oporu.

Broń Wildheita odbezpieczyła się przy najlżejszym dotyku palców. Nad-inspektor zrzucił na podłogę prymitywną lampę i szybkim krokiem podszedł do okna, by uważnie obserwować wypełnioną dziwnymi odgłosami ciemność. Początkowo nie widział nic, później zaczął powoli rozróżniać kształty poruszających się białych pałek, trzymany mocno przez niewidoczne ręce.

Trzask... trzask... trzask...

Głos olbrzymiego rogu, którego dźwięk opadał z wolna poza próg słyszalności, poraził zmysły Nad-inspektora pulsującą wibracją, odrywając wole od umysłu.

Trzask... trzask...

Białe pałki stały się narzędziem hipnozy, nasycając jakąś nieznaną próżnię w mózgu Nad-inspektora gmatwaniną dźwięków, które nakładając się na siebie przybierały na sile.

Trzask...

...Wildheit czuł tajemniczy aromat, który przedostając się do płuc, a potem do krwiobiegu, zwiastował coś przedziwnego. Z odbezpieczona bronią, której nawet nie zdążył dotknąć, zatoczył się i runął nieprzytomny na podłogę.

5.

Ocknął się w podziemiach z białego kamienia. Piwnica miała filary i sklepienia, jakby musiała utrzymywać solidny ciężar stojącego nad nią gmachu. Na zewnątrz był dzień. Silne światło słoneczne, wpadające przez szereg nie większych niż pięść otworów, odbijało się jak błyszczące perły na gładkiej wypolerowanej posadzce. Pierwsza myśl Wildheita dotyczyła broni, lecz broń zniknęła z mundurem. Kiedy był nieprzytomny, czyjeś ręce musiały go całkowicie rozebrać. Przyodziano go w proste okrycie z jakiejś zgrzebnej tkaniny, które wyglądało jak toga. Usiłował się nim otulić. Coul drżał niepewnie.

- Dałeś mi się wpakować w niezłe kłopoty - odezwał się Wildheit do bóstwa.

- Nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo - zganił go łagodnie" Coul. - Moim zadaniem jest chronić cię przed wszystkim, co grozi śmiercią. Jak się tu rozeznać w tych dziwnych rzeczach, które ludzie wyrządzają sobie nawzajem? Jesteście rasą, która patalogicznie, nałogowo wtrąca się w cudze sprawy.

- Tego ranka brak mi jeszcze tylko do kompletu nowej filozofii moralnej - rzekł posepnie Wildheit.

Wkrótce znalazł drzwi, a raczej szereg drzwi. Wszystkie były masywne, gładkie, bez rzucających się w oczy zamków ani żadnych dźwigni. Po daremnych próbach otworzenia którychś z nich Nad-inspektor wspiął się i zdołał wyrzeć przez jeden z otworów, którymi wydostawało się światło słoneczne.

Stwierdził, że wcale nie spogląda na już miasto, tylko na coś, co przypominało rozległą fortecę. Długi, szeroki, zwieńczony blankami mur obramowywał całą przestrzeń, którą mógł dostrzec. W pewnych odstępach sterczały na nim groźnie wyglądające wieże. Jego monotonia załamywała się również w miejscach, gdzie usytuowane były wioski lub enklawy - mur zapętlał się wokół nich, izolując je od otoczenia. Ten sposób budowania osiedli niedwuznacznie przemawiał za prawdziwością ostatniej, krytycznej uwagi Coula. Wypowiedziana wkrótce po szyderstwach Pilon na temat niedojrzałości rasy ludzkiej spowodowała, że Wildheitem po raz pierwszy w życiu targnęło chwilowe zwątpienie w słuszność własnych poczynań.

Nad-inspektor w ponurym nastroju kontynuował przeszukiwania podziemi, lecz nie znalazł już nic godnego uwagi. Wreszcie - usiadł na posadzce i czekał, aby coś się wydarzyło. Okazało się, że nie pozostawiono go zbyt długo samego. Jedne z drzwi otworzyły się i do wnętrza wszedł mężczyzna ubrany w czarną, luźną tunikę. Zbliżał się z taką miną, jakby miał zamiar go przeprosić.

- Inspektorze Wildheit, nazywam się Dabria i jestem jednym z głównych Strażników Mayo. Pojmanie ciebie było przykrym ale koniecznym obowiązkiem. Gdybyś sprawdził w atlasie geograficznym planet, dowiedziałbyś się, że Mayo jest zakazanym światem. Nie powinieneś być tu lądować.

- Wątpię, by ktoś miał prawo odmówić lądowania Nad-inspektorowi przestrzeni. Większość tyranów chętnie powitałaby tego typu możliwość. Zresztą waga mojej misji jest ponad wszelkie ograniczenia. Federacja potrzebuje pomocy waszego Jasnowidza Chaosu. W jakim innym sposobie mógłbym w tej sprawie pertraktować?

- Doceniamy wasze potrzeby i problemy. Nawet w tej chwili Rada Starszych rozważa tę kwestię. Jednak twój przyjazd był niefortunny. U Zmysłowców szybko narastają wewnętrzne napięcia. Twoje przybycie może stać się kataklizmem i wyzwolić straszliwą reakcję. Jesteś niebezpieczny dla nas wszystkich.

- Spróbuję dobić targu. Zwróć mi moje ubranie oraz sprzęt i zaprowadź do jasnowidza Chaosu. Za godzinę już nas nie będzie na planecie.

- Jednostronna ugoda. - Dabria pozostał niewzruszony.

- Co oferujesz w zamian?

- Szansę rozwiązania bez mnie jako katalizatora waszych wewnętrznych problemów i uwolnienia się od konieczności wezwania przeze mnie na ratunek jednostek Federacyjnych Wojsk Przestrzeni. Wywołałoby to z pewnością niemałe wzburzenie wśród waszej opozycji.

- Prawdziwa groźba, lecz nie uda ci się jej zastosować.
- Doprawdy? Nie radziłbym ci wystawiać mnie na próbę. Strażnik przesunął się w stronę drzwi.

- Słyszałem o twojej zdolności porozumiewania się bez użycia aparatury technicznej - zaczął. - Nie podejmę takiej próby. Być może proponowane przez ciebie rozwiązanie byłoby najłatwiejsze dla nas obu. Będzie wiele sprzeciwów, ale zobaczą, co się da zrobić.

Dabria, nie przestając mówić, skoczył do przodu, wykonał ręką błyskawiczny zamach, by uderzyć Wildheita kantem dłoni w gardło. Złapał za ubranie, w które przyodziany był Nad-inspektor po to tylko, by się przekonać, że jest ono puste i swobodnie opada w powietrzu. Wymierzony z całej siły cios w kark powalił Dabrię na kolana, a potem potężny kopniak w twarz wysłał go poślizgiem, głową do przodu po wypolerowanej posadzce. Zatrzymał się na stojącym mu na drodze filarze. Oszołomiony, próbował się podnieść, ale powstrzymał go groźący zmiażdżeniem tchawicy but Nad-inspektora.

- Próba ataku była wielką głupotą - oznajmił zde gustowany Wildheit. - Zabicie mnie niczego by nie rozwiązało. Następnym razem musiałbyś walczyć z sześcioma nad-inspektorami i z uzbrojonym krążownikiem. A teraz wynoś się stąd i idź poszukać Jasnowidza.

Róźdzka pilnowała swoich zwierząt, pasących się w Posiadłości Dziecięcej. Przez cały ranek troskliwie zapędzała je na długi stok pod murem obronnym. Teraz sprowadzała swoich podopiecznych na dół i rozdzielała na równe grupy, aby wyskubały dokładnie wszystkie wąskie ścieżki. Następnie ponownie zawróciła stado na pastwisko.

To zajęcie wymagało cierpliwości i spokoju. Inteligentni przeżuwacze cenili sobie jej opanowanie i rozwagę w prowadzeniu stada, gwarantującą im pełne żołądki bez żadnych stresów czy konkurencji. W zamian za to Posiadłość Dziecięca była schludnie wyskubana i utrzymana. Stanowiła prawdziwy wzór zależności między światem ludzi i światem zwierząt. Życie w tej części Mayo było nagrodą.

Gdy praca zbliżała się do końca, Róźdzka obejrzała się za siebie, by ocenić wspólny wysiłek - była zadowolona. Nie pochodziła stąd - mieszkała w Społeczności Młodocianych. Wszyscy jednak mieli obowiązek przyczynić się do szczęścia dzieci. Dziś, przy sprzyjającej pogodzie, bujnej trawie i spokojnym stadzie osiągnęli znakomite wyniki - mleko będzie tłuste i w obfitości.

Kiedy dotarli do doliny, nastąpiła jakaś nieoczekiwana zmiana we wzorze.

- Hej tam, Róźdzko!

Podniosła wzrok i zobaczyła starego Pilona, kiwającego na nią z muru obronnego. Śmiejąc się pobiegła w jego kierunku.

- Przyszędłeś, byśmy dzisiaj również w coś zagrali? Czy wiedziałeś, że potrafię wyłowić entropię wprost z gwiazd? Myślę, że wkrótce będę w stanie cofnąć się aż do Wielkiego Wybuchu i stworzenia wszechświata - przerwała widząc jego poważny wyraz twarzy.

- Podejdz tu, Róźdzko. Musimy porozmawiać.

- Nie mam wstępu na mur.

- Dzisiaj masz. Strażnicy cię nie zatrzymają. Mam dla ciebie ważne nowiny.

- To na pewno nie koniec wszechświata, bo wtedy ukazałoby mi się jego nadejście.

Pospiesznie skierowała stado na pastwisko i pobiegła do najbliższej wieży. Niespodziewanie strażnicy ją przepuścili. Wspinając się po zakurzonych, krętych stopniach, by niemal bez tchu wyłonić się wreszcie na szczycie muru. Znalazła się tutaj po raz pierwszy. Nieznany dotąd widok przyprawił ją o rozkoszny zawrót głowy.

- Czy dzieje się coś złego, Pilonie? Jesteś taki smutny.

- Pamiętasz, jak któregoś dnia przepowiadałaś mi Chaos? Powiedziałaś mi wtedy, że rozpoczęła się wojna.

- Widziałam to. I co z tego?
- Miałaś rację, moja mała. Nadeszła wojna.
- Gdzie? Na Mayo?

- Jeszcze nie, ale z pewnością dotarła do galaktyki. Ze wszystkich naszych jasnowidzów jedynie ty wiedziałaś. Teraz przybył ktoś z Federacji prosić cię o pomoc. Twoja zdolność przepowiadania Chaosu jest jedyna w swoim rodzaju. Być może tylko ty posiadasz moc, zdolną pokonać narastającą ciemność.

- Wobec tego powinniśmy pójść z nim porozmawiać.
- Nie chodzi wyłącznie o rozmowę. On chce cię zabrać z Mayo.
- Do gwiazd?
- Do gwiazd i być może jeszcze dalej.
- Cóż za bzdury wygadujesz!

- Jego życzenie i tak spowodowało już rozłam w Radzie Starszych, a strażnicy skaczą sobie do gardeł. Przedziwny absurd!

Odwróciła się nagle i popatrzyła na zielone pola, jak gdyby widziała je po raz pierwszy.

- Chcesz, żebym poszła?

- Chcę jak najlepiej dla ciebie. Wczorajszej nocy sprzeciwiłem się. Przemyślałem to później. Ktoś tak utalentowany jak ty, nie ma specjalnej przyszłości na Mayo. Tam, w przestrzeni będziesz miała najwspanialszych protektorów i odpowiednią szansę rozwoju. Większość jasnowidzów w zamian za taką ofiarę oddałaby swój dar przewidywania. Moja ostateczna decyzja wypływa z faktu, że jeśli teraz nie wykorzystasz tej szansy, to może się ona już nigdy więcej nie zdarzyć.

- Możesz mi to wyjaśnić?

- Ten człowiek uświadomił mi, że jeśli Federacja przegra wojnę, będzie musiała zawrzeć układ. Wtedy obcy oczyszczą z ludzi ten kraniec galaktyki.

- Przemawiasz takim poważnym tonem.

- Życie jest poważne. Mury, które wznieśliśmy między społecznościami też są na serio. Przepaść między nimi i resztą rodzaju ludzkiego ma równie poważne znaczenie. Dawniej Zmysłowcy poświęcili swoje wysiłki wyzwoleniu w człowieku wszystkich możliwości. Teraz także wyzwalamy je w niektórych ludziach, ale więzimy ich jak w klatce. Pod tym względem zawiedliśmy, być może, pokładane w nas przez przodków zaufanie.

- Czyż nie uczono nas, że gwiazdy nie są gotowe na przybycie jasnowidzów?

- Czy ktokolwiek je o to pytał? Są chyba na tyle duże, żeby same o siebie zadbać. Jeżeli nie, muszą ponosić konsekwencje.

- W takim razie wyruszam.

- To nie będzie łatwe. Wielu z Rady sprzeciwia się. Jednak jeżeli istnieje rozwiązanie, znajdziemy je. Chodź! Dabria ma, jak sądzę, jakiś plan. On tak łatwo nie spocznie, dopóki nie załatwi tej sprawy.

Kiedy Dabria po raz drugi wchodził do podziemi, pozostał przy drzwiach, nawet nie usiłując się zbliżyć do więźnia.

- Inspektorze, poprzednio doszło między nami do sprzeczki. To nie miało osobistego charakteru, ale doprawdy stanowisz dla mnie poważny kłopot. Podzielam jednak twój pogląd, że zabicie cię zwielokrotniłoby raczej problemy, aniżeli położyło im kres. W związku z tym mam dla ciebie propozycje.

- I ja także. Domagam się Jasnowidza Chaosu i żądam uwolnienia mnie stąd. Daję ci dwie godziny, w przeciwnym razie pošlę po krążownik Wojsk Przestrzeni.

- To nie będzie konieczne. Rozmawiałem z Pilonem. Wydaje się, że w interesie nas wszystkich leży, by jasnowidz udał się z tobą. Niestety, prawo zakazuje Zmysłowcom podróży

poza ich świat. Jeżeli otwarcie zezwoli wyjechać Jasnowidzowi Chaosu, nacisk ze strony pozostałych wróżbitów w celu uzyskania podobnego przywileju może rozbić nasz system ochronny i zniszczyć większość tego, co już stworzyliśmy.

- A więc macie problem.

- Wymyśliłem rozwiązanie, które powinno zadowolić nas obu. Pilon przyszedł przyprowadzić Jasnowidza Chaosu, którego nakłonimy do dotrzymania ci towarzystwa. Kiedy Jasnowidz już przybędzie, zostawimy was tutaj razem, aż strażnik obejmie nocną wartę. Wtedy też zostaną otwarte ostatnie drzwi, za którymi znajdziesz swoje ubranie i sprzęt w takim samym stanie, w jakim były, gdy je ci odbieraliśmy. Wierzę w twoje możliwości, wierzę, że zdołasz się przedrzeć, uciec i zabrać Jasnowidza Chaosu z planety, zanim straż zdąży was powstrzymać. Otrzymujesz to, co było celem twego przyjazdu, a ja nie ściągam na siebie gniewu.

- Kto jeszcze wie o tym spisku? - spytał niepewnie Wildheit.

- Nikt prócz Pilona i Jasnowidza.

- To znaczy, że jeśli dojdzie do walki, krew poleje się naprawdę?

- Po dokładnym przyjrzeniu się twojej broni, wątpię, aby to była twoja krew. Nie bądźmy przewrażliwieni. W tych warunkach nie ma innego wyjścia.

Przez następną godzinę Wildheit rozmyślał nad dwulicowością ludzkiej natury. Potem wszedł Pilon, prowadząc ze sobą dziewczynę o dzikich oczach, która dopiero niedawno osiągnęła dojrzałość.

- Inspektorze, oto Jasnowidz Chaosu. Z uwagi na osobliwy dar przewidywania, ma na imię Róźdzka. Opiekuj się nią troskliwie, ponieważ jest jednym z najrzadszych kwiatów, jakie wyhodowali dotąd Zmysłowcy.

Wildheit podniósł się z trudem.

- Nie miałem pojęcia, że Jasnowidz Chaosu jest dziewczyną. Wydawało mi się...

- Ostrzegałem cię, że twój plan nie jest rozważny. - Pilon walczył ze skrywanym wzruszeniem. - Wiem również, że wyniki nie będą takie, jakich oczekujesz. Pomimo to wymusiłeś na nas rozwiązanie, a teraz już nie ma odwrotu. Róźdzko, to jest Nad-inspektor przestrzeni Wildheit, swego rodzaju Strażnik Galaktyki. Jego oręż jest straszny, a pobudki szczere. Mimo to jest naiwny i błędnie interpretuje naturę wszechświata. Musi się wiele nauczyć. Traktuj gwiazdy łagodnie, maleńka. Może kilka z nich przetrwa.

Kiedy Pilon odwrócił się do wyjścia, Wildheit chwycił go za ramię.

- Zaczekaj chwilę - zawołał. - Róźdzko, gdybym wiedział, że jesteś taka młoda - zwrócił się do dziewczyny - nie prosiłbym ciebie. Przed nami trudna i niebezpieczna podróż, a polowanie na Broń Chaosu będzie jeszcze bardziej niebezpieczne. Czy naprawdę jesteś gotowa polecieć ze mną?

Pilon spojrzał za siebie. W jego oczach malował się cień rozbawienia.

- Co ty na to, Róźdzko? - spytał dziewczynę.

- Ta chwila już pozostawiła ślad we wzorach Chaosu. Przypadkowo dała początek jednemu z największych wstrząsów entropii, jakie kiedykolwiek miały miejsce w galaktyce.

- Słyszałeś, inspektorze? Przeszłość wydała już swój werdykt. Niech się nikomu z was nie wydaje, że macie w tej sprawie jakiegokolwiek prawo wyboru. Rozpoczęte prze was działania wstrząsną wszechświatem. Nie jest powiedziane, czy na dobre, czy na złe - po prostu stanie się.

Kiedy Pilon wyszedł, Wildheit zwrócił się do Róźdzki. Z widocznego na jej twarzy przerażenia jasno wynikało, że dostrzega bóstwo na ramieniu Nad-inspektora.

- Dziwi cię mój towarzysz, Róźdzko? - powiedział łagodnym głosem. - Twoje zmysły muszą być niezwykle czułe. Większość ludzi w ogóle nie jest w stanie go dostrzec.

- Co to takiego? - spytała. Napięcie sprawiało, że jej głos zabrzmiał szorstko.

- To Bóg. Nazywa się Coul.

- Nie rozumiem... Bóg jest nieskończony.

- Wierz sobie w to, w co musisz, żabko. Powiedziałem prawdę. Istnieje wielu bogów. Wszyscy posiadają olbrzymią władzę. Jednak żaden z nich nie jest wszechmocny.

- Dlaczego on tak migocze?

- Ponieważ porusza się w kilku wymiarach, a ten w którym się znajdujemy jest tylko jednym z nich. Bez przerwy udaje się do innych, dlatego nigdy nie ma go tu w pełni.

- Dlaczego siedzi na twoim ramieniu?

- Jesteśmy złączeni aż do śmierci, do mojej śmierci. Coul jest nieśmiertelny.

- Nie możesz go zdjąć? Nigdy?

- Nie da się. On żyje we mnie.

- Jak pasożyt? - Widok Coula wyraźnie ją denerwował.

- Nie, nie jak pasożyt, to symbioza. Wspomagamy się nawzajem. Rozumiesz, rodzaj partnerstwa.

- Nie rozumiem.

- Udzielam Coulowi sił witalnych, potrzebnych mu do zachowywania częściowego bytu w tym wymiarze. Ponieważ jestem niezłym żywicielem, on troszczy się o moje dobro w sytuacjach ekstremalnych.

Róźdzka wyzbyła się dotychczasowych obaw, a jej odraza przeszła w fascynację.

- On jest bardzo, bardzo brzydki.

- Dotknij go.

- Naprawdę?

- Jeżeli uwierzysz w niego, sprawisz mu przyjemność. Wierzysz, że istnieje?

- Widzę go. Dlaczego więc miałabym wątpić?

- Wierzysz w to, że jest bogiem?

Zawahała się przez chwilę. Czytała uważnie w jego oczach, zastanawiając się, czy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, mógł to być żart. Z twarzy nie wynikało, aby z niej kpił. Malowała się na niej tylko głęboka sympatia.

- Wierzę, że jest bogiem - odpowiedziała.

Niezwykle ostrożnie wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła palcami ciemnej skóry bóstwa. Kiedy je muskała, zamknęła

bezwiednie oczy, by otworzyć je po chwili w swego rodzaju ekstazie. Trwała tak przez kilka minut, a potem cofnęła rękę.

- Co czułaś? - spytał Wildheit.

- Czułam... muzykę. - Jej głos był dziwnie odległy.

- Wspaniale! Znaczą, że cię akceptuje.

- Dlaczego miałby mnie nie akceptować?

- On żyje w mnóstwie różnych wymiarów - wszyscy bogowie mają problemy z tożsamością. Dałaś dowód wiary w jego istnienie, tu i teraz... Zyskał przez to większą siłę, którą wykorzysta dla wzmocnienia układu zależności.

- Jesteś wielkim formalistą.

- Jestem praktyczny. Coul potrzebuje wiary tak samo, jak ty pożywienia. Kiedy się mu ją okaże, potrafi to docenić. Jeśli znajdziesz się w nadzwyczajnej potrzebie, wezwij go. Gdy zaufasz mu wystarczająco mocno, być może znajdzie jakiś sposób, żeby ci pomóc. O której zaczyna się ostatnia nocna warta?

- Wkrótce. Dlaczego pytasz?

- Dabria wymyślił podstęp. Nie ma odwagi wyjawic, że pochwała twój wyjazd, dlatego zaaranżował naszą ucieczkę. Gdy zmienią się strażę, odzyskam broń i wtedy wyruszymy. Możesz przeprowadzić mnie przez miasto do mostu na rzece?

- Chyba tak.

- To dobrze! Na pustyni jest mój statek. Jeśli dotrzemy do niego, będziemy uratowani. Być może trzeba będzie walczyć, żeby się tam dostać. Trzymaj się blisko mnie i rób dokładnie to, co powiem.

Gdy to mówił usłyszał stłumione odgłosy z głębi piwnicy. Podeszedł sprawdzić i jedne drzwi zostały uchylone, a w niewielkim pomieszczeniu za nimi, na stole znalazł swój mundur i sprzęt. Ubrał się jak tylko mógł najszybciej i wrócił do Róźdzki.

- Jeżeli jesteś gotowa, współniczko, pójdziemy zobaczyć, co też zgotował nam Chaos.

Dał jej znak, by pozostała w tyle, po czym rozwalił masywne drzwi za pomocą pojedynczego ładunku wybuchowego i wystrzelił pocisk obezwładniający w głąb korytarza. Schylił gwałtownie głowę, aby uniknąć zwielokrotnionych drgań fali uderzeniowej, po czym skinął na Róźdzkę, żeby szybko podążyła za nim. W końcu korytarza zauważyli dwóch osuniętych na stół, ogłuszonych strażników. Z tyłu znajdowały się kolejne drzwi i prowadzące w górę schody. Doszli nimi na szczyt muru strażniczego na obrzeżach miasta.

- Którędy teraz?

- Na lewo. Idąc tą drogą, ominiemy szkołę straży.

Zapadał złocisty zmierzch. Ulice ciągnące się pod murem były przeważnie puste. Wieża na murze oznaczała zarówno możliwość zejścia na dół jak i sugerowała obecność wielu strażników. Wildheit za pomocą pocisku obezwładniającego oczyścił wejście i skierował się w dół krętych, kamiennych schodów. U ich podnóża zaskoczył dwóch strażników nadchodzących, by ustalić źródło hałasu. Jednego powalił ciosem dłoni, a drugi uciekł gdzieś do innej części wieży, przypuszczalnie z zamiarem sprowadzenia pomocy.

Nad-inspektor nie gonił go. Mieli teraz wolną drogę na piaszczyste ulice i musieli jak najszybciej, zanim zbierze się zbyt wielu strażników, dostać się - na most. Nieliczni, przypadkowo mijani przechodnie, wyglądali na zdziwionych widokiem biegnącej pary, ale nie usiłowali interweniować. Uciekinierzy znaleźli się wkrótce nad brzegiem rzeki, w miejscu, z którego widać już było most. W budce wartowniczej przy bramie niespodziewanie rozległ się dźwięk dzwonu alarmowego. Inne dzwony, zainstalowane w obrębie miasta, przechwyciły tę wiadomość i przekazały ją dalej, aż całe wieczorne niebo jak gdyby ożyło hałaśliwym biciem na alarm.

6.

Wildheit zaklął i wciągnął zdyszaną dziewczynę do wnęki między domami.

- Czy jest jakiś inny most, Róźdzko?

- Wiele kilometrów stąd.

- W takim razie musimy sforsować ten. Jeśli uda się nam przejść, jak będą nas ścigać?

Pieszo?

- Przypuszczam, że jadąc na zwierzętach.

- Kiedy ruszymy na most, cały czas biegnij. Nie zatrzymuj się ani na chwilę, dopóki nie przedostaniemy się na drugi brzeg.

Wildheit już podczas biegu zaczął ładować miotacze. Kiedy tylko przyczółek mostu znalazł się w zasięgu rażenia, otworzył ogień. Pierwsze pociski ugodziły i spoczęły spokojnie na kilka sekund. Potem zaczęły wydawać przeraźliwe gwizdy, które porażały słuch i przyprawiały o tętnienie w skroniach. Dźwięki te ulegały wzmocnieniu, łącząc się w nieznośnej kakofonii, która z łatwością zagłuszała bicie najgłośniejszych dzwonów i wpędzała ogarniętych paniką i spłoszonych strażników z ich budek. Kiedy zebrali się na drodze dojazdowej, Wildheit odpalił w ich stronę serię pocisków gazowych. Zaczęli z wolna osuwać się na kolana, a potem jeszcze niżej i w przód do pozycji leżącej, jakby sposobiąc się do snu.

Wildheit za pomocą kruszącego ładunku wybuchowego, z dość dużej odległości rozwalił zamykającą drogę żelazną bramę. Niebawem razem z Róźdzką znalazł się na moście. Jednakże wielu strażników okrążyło teren za nimi, kierując w ich stronę coś w rodzaju promiennika, zakłócającego promienie świetlne zwłaszcza w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Nie przerywając biegu, inspektor zaczął rozrzucać za sobą nieduże puszki. Niektóre z nich wybuchwały rażącym oczym płomieniem, z innych wydostawały się potężne kłęby dymu, które oświetlone ogniem stawały się nieprzenikliwe dla wzroku. Kiedy dotarli na przeciwległy brzeg rzeki, potężna seria wybuchów rozerwała most na kawałki.

Z trudem chwyając powietrze zatrzymali się na chwilę, by obejrzeć szkody. Kiedy dym się rozproszył, zobaczyli, że z mostu pozostało tylko kilka złamanych przęsł, sterczących ponad powierzchnią ciemnej i mętnej wody.

- To powinno ich na chwilę powstrzymać - powiedział Nad-inspektor, podając zdyszanej dziewczynie ramię, by mogła się wesprzeć. Z kieszeni wyciągnął małe pudełeczko i zaczął manipulować umieszczonymi w przedniej części pokrętkami.

- Co... co robisz? - Róźdzka wciąż jeszcze próbowała złapać oddech.

- Jeżeli mają szybkie zwierzęta, wątpię abyśmy zdążyli dotrzeć do celu piechotą. W pobliżu statku kosmicznego zostawiłem pojazd, który przywołuję teraz przez radio. Już jedzie w naszym kierunku. Będziemy szli mu na spotkanie.

Niebawem nad pustynnymi piaskami dały się słyszeć silniki pełzacza. Kiedy się pokazał, Wildheit zatrzymał go po mistrzowsku tuż obok nich i oboje wdrapali się do kabiny. Poruszanie się pojazdem mechanicznym było dla Róźdzki nieznanym dotychczas doświadczeniem. Zamknęła oczy i złapała się kurczowo oparcia. Kiedy zbliżyli się do statku patrolowego, otworzyła oczy i krzyknęła w nagłej trwodze.

- Zatrzymaj się, proszę! Nie możemy dalej jechać! Dzieje się coś strasznie niedobrego.

- W jakim sensie?

- Widzę ogromny i niespodziewany skok entropii. Wybuch...

Wildheit zwolnił aż do zatrzymania pojazdu, gotów przekonywać dziewczynę, że jej przepowiednia odnosi się prawdopodobnie do bliskiej przyszłości, kiedy to zostaną uruchomione silniki statku kosmicznego. Kiedy zaczął cierpliwie to wyjaśniać, by rozprosyć jej obawy, "Gegenschein" stanął nagle w płomieniach. Gwałtowny ogień rozświetlił pustynię, stało się jasno jak w dzień, Buchający żar był tak silny, że pasażerowie pełzacza spłonęliby żywcem, gdyby nie antytermiczne zabezpieczenie pojazdu. Mimo, że pożar wygasł równie nagle jak powstał, Wildheit

wiedział, iż nie ma już statku. Uświadomił sobie coś jeszcze - z daleka, z otaczających ciemności dobiegł odgłos uderzeń pałek.

Trzask... trzask...

... nakładający się na niskie tony rozbrzmiewającego rogu.

... Trzask...

Wielkie, pachnące fiołkami krople zrosiły dookoła powietrze. Wildheit czuł, że zaczyna tracić przytomność. Jego natychmiastową reakcją było odcięci zewnętrznej wentylacji pojazdu i przełączenie na własną klimatyzację. Pomysł zdał egzamin i dusząca woń fiołków została szybko usunięta dzięki filtrom z węgla aktywowanego. Potem Wildheit zwiększył obroty silników, i uruchomił przemiennik momentu obrotowego. Pełzacz skoczył do przodu jak przestraszone zwierzę i z rykiem pomknął przez pustynię, mijając stopione szczątki statku patrolowego.

Dziwne, że nawet potężny, wypełniającyabinę hałas maszyny nie zdołał zagłuszyć trzaskania pałek. Na przekór grzmiącym silnikom, zawrozenie wielkiego rogu schodziło nieubłaganie do najniższych rejestrów, aż na próg słyszalności. Powolnie wibrujące drgania na przemian przyciągały ich i odpychały. Kołysali się jak trawy na wietrze.

Wildheit siarczyście przeklinając, włączył potężne reflektory i omiół nimi pustynny krajobraz. Snop światła nie ujawnił nic godnego uwagi. Nad-inspektor załadował jednak automatyczne działo i serię pocisków o zwiększonej mocy i zatoczył pełny krąg o jak najmniejszej średnicy wokół pełzacza. Trzaskanie pałek ucichło, a odgłosy rogu urwały się nagle. Aby mieć pewność, że teren został całkowicie oczyszczony, posłał w ten sam sposób drugą serię śmiertelnych ładunków wybuchowych, tym razem na trochę większy zasięg. Bez wątpienia w strefie ognia nie pozostał nikt żywy. Zmniejszył zatem prędkość pojazdu do przeciętnej.

- To prze Dabrię - powiedział ze wstrętem. - Powinienem się domyślić, że wciągnie nas w zasadzkę. Pozwalając nam uciec, nie miał gwarancji, że zapanuje nad sytuacją. Bardziej skutecznym sposobem byłoby nas sprzątnąć. Wtedy Federacja nie musiałaby zawracać sobie głowy wysyłaniem następnego Nad-inspektora, skoro Jasnowidz Chaosu byłby martwy. Nie wyobrażam sobie jednak, jak mogli mieć dostęp do urządzenia, zdolnego zniszczyć pozostawiony statek patrolowy.

- Nie potrzebują żadnych urządzeń - stwierdziła Róźdzka. - Ani też nie musiała to być robota Dabrii. Są tacy jasno-widzowie, którzy koncentrując myśli potrafią wyzwolić źródło potężnej energii.

Snop światła reflektorów wyławiał teraz wyrwy po wybuchach pocisków, w pobliżu widać było ciała ubranych w czarne tuniki strażników. Na drodze leżało trochę porzucanych białych pałek. Jedyłą pozostałość olbrzymiego, poddźwiękowego rogu stanowiły wygięta obręcz i resztki płótna.

- Szkoda, że musieli dostać tak ciężką nauczkę - powiedział poważnie Wildheit.

- Co teraz zrobimy? - spytała Róźdzka. Odczuwała wyraźną ulgę po uwolnieniu się z zasadzki, chociaż strach jeszcze jej nie opuszczał.

- Musimy znaleźć jakąś inną możliwość wydostania się z tej planety. I to wszystko. Jak daleko jest stąd do najbliższego kosmodromu?

- W ogóle takiego nie ma. Kiedy planetę Mayo ogłoszono jako leżącą poza granicami świata, wszystkie kosmodromy zostały zdemontowane, a statki powietrzne zniszczone. W ten sposób wprowadzono bezwzględny zakaz przybywania na planetę i opuszczania jej.

Wildheit zatrzymał pełzacz i wygasił silniki.

- Coul, chcę mówić z Nad-inspektorem Hoverem - zażądał. - Czy możesz nawiązać duchową łączność z Tallothem?

- Nie widzę żadnej uzasadnionej potrzeby - odparł Coul przekornie. - Czyżbym ci nie mówił, że celem porozumiewania się duchowego nie jest przechytrzenie twojego przyziemnego systemu łączności? Dlaczego nie chcesz użyć nadajnika FTL?

- Ponieważ jego moc jest niewystarczająca do bezpośredniego skontaktowania się z Terra. Trwałoby to wiele dni i przyciągnęło uwagę stacji przekaznikowej. A poza tym miejscowe słońce emituje tyle podeterowych szumów, że tym kanałem w ogóle nie zdołalibyśmy się porozumieć.

- Ponieważ mnie lubisz, porozumiem się z Tallothem. Jeśli ma podobne zdanie, będziemy mogli spełnić twoje życzenie.

Wildheit rozluźnił się i próbował uzbroić w cierpliwość, wiedząc, że niczego nie da się wymusić. Jeśli pominąć bogatą, jak w rozmowach z ludźmi mimikę, bogowie porozumiewali się nieznanymi nam sposobami. Przenikali na wskroś różne wymiary, wykorzystując całą złożoność myśli, której ludzki rozum prawdopodobnie nigdy nie pojmie. W jakimś momencie czasu kwantowego, w jakimś alternatywnym wszechświecie, obaj zbliżyli się do siebie, dzieląc być może wspólną cząstkę swoich tożsamości. Niechętnie wykorzystywali swoje zdolności, by umożliwić łączność między ludźmi. W bardzo rzadkich przypadkach, kiedy spełniali taką prośbę, ich obecność na ramionach Nad-inspektorów była uzasadniona.

- Odpręż się - Coul wreszcie dał znak.

- Halo! Jym! Tu Hover! Co cię gnębi?

- Jestem wciąż na Mayo, Cass. Dostałem Jasnowidza Chaosu, ale straciłem statek patrolowy. W tej chwili siedzimy w pełzaczku, ale miejscowa policja jest wyjątkowo wrogo nastawiona. Co możesz zrobić, żeby nas stąd wydostać?

- Zaczekaj sekundę. Sprawdzę aktualne rejsy statków. Hm, niedługo. Wojska Przestrzeni wykryły obcych, masowo przełamujących nasze linie obronne i wysłały w tamtym kierunku galaktyki wszystkie statki, jakie znajdowały się w promieniu około dwudziestu kiloparseków. Gdyby nawet mogli obejść się bez jednego krążownika, nie dotarłyby do was wcześniej niż za sześć dni. Po twojej stronie obrzeża nie ma też nigdzie w pobliżu żadnej jednostki handlowej. Najlepsze, co możemy zrobić, to wysłać z Terry statek patrolowy. Tylko, że to potrwa dziesięć dni. Wytrzymacie tak długo?

- Nie ma szans! Bez statku patrolowego nie mogę nawet uzupełnić paliwa w pełzaczku, nie mówiąc już o takich drobiazgach, jak jedzenie i spanie.

- Zostaw to mnie, Jym. Nadam nadzwyczajne wezwanie pomocy do wszystkich służb. Musi gdzieś być jakiś statek doświadczalny albo patrolowa jednostka wywiadowcza., która nie figuruje w aktualnym rozkładzie. Cokolwiek by się działo, zaoszczędź energię do zasilania radiolatarni, abyśmy mogli cię zlokalizować. Jak on to wszystko znosi, ten Jasnowidz?

- To nie on, to ona. Ma na imię Róźdzka.

- Czy nie przesadzasz trochę z tym wyczerpywaniem się paliwa?

- Daj spokój, Cass. Ona ma z szesnaście lat.

- Ale jest wróżką Chaosu?

- Prawdziwą z urodzenia. Spaliłbym się na węgiel, gdyby nie przepowiedziała, że statek patrolowy wyleci w powietrze.

- Oczyść wszystkie łącza - powiedział Hover. - Potrzebujemy szybko tej znawczyni. Broń Chaosu uderzała właśnie w Gennen - straciliśmy statek badania względności i kilku naukowców, jedno z najlepszych umysłów w całej galaktyce.

Wildheit odjechał jeszcze następne pięćdziesiąt kilometrów od miasta, nim zdecydował zatrzymać się na noc. Pełzacz pozostawiał na pustynnym piasku szerokie i łatwe do rozpoznania ślady, dlatego Nad-inspektor uznał, że tylko zwiększona odległość stanowi jakieś zabezpieczenie przed niespodziewanym atakiem. Odłączył wszystkie zbędne systemy w celu zaoszczędzenia ubywającego paliwa i uruchomił radiolatarnię, gdyby przybliżone obliczenia Hovera okazały się niezbyt pesymistyczne.

Tuż przed świtem, łagodny sygnał powrotny radiolatarni gwałtownie wyrwał Wildheita ze snu.

- Co się dzieje? - spytała Róźdzka.

- Statek kosmiczny w stratosferze. najprawdopodobniej schodzi do lądowania. Chyba mamy szczęście.

Włączył detektory i obserwował wędrującą w dół ekranu świetlną plamę. W tym czasie wykresy widoczne na odczycie danych goniły się nawzajem jak oszalałe węże.

- Z pewnością ląduje, ale to nie statek Służby Przestrzeni. Rzadko widuje się, żeby ktoś schodził w ten sposób do lądowania - na chybił trafił. Założyłbym się, że nie używa przyrządów, jest pijany jak bela i steruje nogami.

- Czy to źle? - spytała poważnie Róźdzka.

- Widzisz, w całej przestrzeni istnieje tylko jeden gatunek ludzi, który może sobie pozwolić na coś takiego i mimo to przeżyć - to Rhaqui.

- Rhaqui?

- Cyganie przestrzeni. Są trzy lub cztery takie plemiona. Podróżują paroma starymi, odratowanymi ze złomowisk statkami. Doborowa banda łajdaków, jakich wprost trudno sobie wyobrazić. Nikt im nie przydzielił żadnej planety w przestrzeni, a oni sami są zbyt leniwi, aby stworzyć swój własny świat.

Z końcowej trajektorii lotu wynikało, że obniżający wysokość statek zmierza docelowo do radiolatarni pełzacza, Sposób, w jaki podchodził do lądowania był na tyle zwariowany, że Wildheit wyłączył radiolatarnię kierunkową i odjechał na odległość około kilometra, by pojazd nie wylądował mu prosto na głowie. Wreszcie ogromny kadłub wynurzył się z obłoków i wkrótce dotknął ziemi. Osiedlanie na pustynnym piasku trwało nieprawdopodobnie długo i wykonane było niedbale.

- To na pewno Rhaqui - stwierdził Wildheit. - Damy im czas do wschodu, a potem podjedziemy do nich. Mniej więcej tyle potrzeba, by ziemia wokół statku nieco ostygła.

Spostrzegłszy pierwszy promień słońca, Wildheit zawrócił pełzacz w kierunku przestarzałego grata. Właz otworzył się prawie natychmiast i wygramoliła się z niego dziwnie wystrojona, szczerząca zęby postać, w olbrzymim trójgraniastym kapeluszu na głowie. Buńczucznie szła im na spotkanie.

- Kes-kes Saltzeim - powiedział Wildheit do Róźdzki. - Największy zabijaka z nich wszystkich.

- Hej, inspektorze Jym! Ale zbieg okoliczności! Cóż za spotkanie!

- Byłby to istotnie zbieg okoliczności, gdybyś nie nasłuchiwał radiostacji FTL i nie przechwycił skierowanego do wszystkich służb nadzwyczajnego wezwania pomocy.

Saltzeim znów zaśmiał się szeroko, wyszczerzając zęby.

- Nad-inspektorze - powiedział - dla ciebie wszystko jest bezprawiem. Przemyt, ucieczka z odosobnienia, piractwo, złodziejstwo, gwałt - wszystko, co daje życiu trochę pikanterii. Nie znaczy to oczywiście, żebym się tym rozkoszował. Ale ja mam dar przewidywania, rozumiesz?

- Rozumiem wystarczająco dobrze - odparł Wildheit.

- Sam wywróżyłem tę historię z Nad-inspektorem przestrzeni, uwikłanym w porwanie, które się nie udało. Pomyślałem sobie, że skoro mam statek, a on nie, i jeśli to prawda, a nie bajka, mógłbym może ubić jakiś interes.

- Źle sobie pomyślałeś, Kes-kes. Rekwiruję twój statek. Mam na to Nadzwyczajne Pełnomocnictwo Galaktyki.

- To tylko słowa bez sensu. Tak się zastanawiam, ile też zapłaciliby mi wrogowie Nad-inspektora, żebym go tu zostawił. Czyste przypuszczenia, rozumiesz?

- Rozumiem. Ile żądasz, Kes-kes?

W trakcie rozmowy wysiadło ze statku około dwudziestu Cyganów, mężczyzn i kobiet, starych i młodych. Uformowali krąg dookoła prowadzącej pertraktację dwójki i zainteresowaniem im się przyglądali. Saltzeim udał, że uważnie obserwuje niebo.

- Chodzą słuchy o jakichś niegodziwych typach, którzy włóczą się w tej części przestrzeni - zaczął. - To zawsze podwyższa stawkę za bezpieczny przewóz. W tych okolicznościach nie

mógłbym zabrać cię za sumę niższą niż ta, na którą opiewa Karta Kredytowa Nad-inspektora, czyli za sześć milionów stellarów.

- Robaki przestrzeni zjadły ci rozum!

- ... i pełzacz...

- To własność Federacji, nie na sprzedaż.

- ... i dziewczynę.

- Ona nie podlega żadnym pertraktacjom. Słuchaj, wyświadczyłbym galaktyce przysługę, gdybym uruchomił moje działo i zdmuchnął to szczerze pudło razem z całą twoją rodziną.

- Ale nie zrobisz tego, inspektorze Jym. Moje teledetektory mówią mi, że nadciąga, pędząc przez pustynię ponad tysiąc jeźdźców. Dobijemy targu?

- Proponuję ci trzy miliony stellarów. To około tysiąc razy więcej niż wart jest ten twój cichnący statek.

- A pełzacz?

- Zostawię go na pustyni. Jeśli go załadujesz, zrobisz to na własne ryzyko. Za bezprawne przywłaszczenie grozi kara śmierci.

- A dziewczyna?

- Absolutnie nie wchodzi w grę. Pierwszy, który jej dotknie, padnie martwy.

Saltzeim robił wrażenie, że dogłębnie zastanawia się nad całą sprawą.

- Ciężko się z tobą targuje, Nad-inspektorze Jym. Ale dogadaliśmy się. Przyjmij, proszę, gościnę naszego statku. . Uniesie nas w przestrzeń, jak tylko znów go uruchomimy.

Wildheit wzruszył ramionami. Wiedział, że Saltzeim nie zamierza pozostawić pełzacza na pustyni. Pokrzepiał go fakt, iż cała amunicja oraz części zapasowe rozmyślnie nie były typowe i w dodatku tak skomplikowane, że nieodpowiednie posługiwanie się nimi okazałoby się prawdopodobnie równie niebezpieczne dla atakującego, jak i dla atakowanych. Do obowiązku należało uruchomienie za pomocą łącza radiowego mechanizmu samoniszczonego pełzacza. Rozwahał on teraz bilans ryzyka. W trakcie dobijania targu obserwatorzy użyli wyrażenia "amindumi". Wildheit znając trochę zwyczaje Cyganów przestrzeni uznał, że rozsądnie byłoby mieć pod ręką trochę dodatkowego uzbrojenia. Nieświadomi tego Rhaqui pracownicy zajęli się umieszczeniem wyposażonego właśnie w ową broń pełzacza w ładowni.

Wnętrze statku Rhaqui było wprost nieopisanie brudne i nie dające poczucia bezpieczeństwa. Kadłub, przede wszystkim dzięki niebywałej grubości, wyglądał solidnie i nie był połatany. Za to wzmacniające go wręgi, silniki i inne mechanizmy stanowiły niesamowitą mieszankę starych, zaadaptowanych części zwędzonych ze złomowisk wszystkich zakątków galaktyki. To, że taka przypadkowa zbieranina różnych kawałków w ogóle działała, świadczyło o pomysłowości majstrów Rhaqui, a jeszcze bardziej o rozpaczliwym pragnieniu wolności, które skłoniło Cyganów do obrania sobie tak niepewnego schronienia jako miejsca bytowania.

Centralnym punktem statku była główna sterownia. Okrutnie sponiewierane tablice przyrządów pomiarowo - kontrolnych rywalizowały tutaj o pierwszeństwo z drewnianymi koziołkami, kamiennymi naczyniami i zdumiewającą ilością różnego rodzaju rupieci, łącznie ze starymi ubraniami rzuconymi gdzie popadło, w zależności od fantazji tych, którzy je przedtem nosili. Dopełnienie całego bałaganu stanowiły nieduże zwierzęta i ptaki z różnych światów, które jadły z poniewierających się na podłodze tacek i uganiały się za sobą wokół nawigacyjnego pulpitu sterowniczego.

Dowodem najwyższej pozycji Saltzeima było posiadanie przez niego własnej kabiny. Panował tu względny porządek, zakłócony prześmiesznym szczegółem - wanną pełną starych książek. Cygan zaprowadził Wildheita i Róźdzkę do kabiny i czekał zamyślony, aż Nad-inspektor wypisze nie podlegającą anulowaniu Kartę Kredytową. Następnie ceremonialnie złożył ją i ulokował pod podszewką dziwnego, trójgraniastego kapelusza.

- Dziękuję ci, inspektorze Jym. Ta kabina jest do twojej dyspozycji na czas podróży. Kobiecie znajdziemy miejsce do spania gdzie indziej.

- Po moim trupie - oświadczył Wildheit. - Dziewczyna przez cały czas będzie pod moim okiem. Zapamiętaj sobie, że zabije każdego, kto spróbuje się do niej zbliżyć.

- Nie będziesz musiał. Masz na to moje słowo.

- Tylko twoje. Kto powstrzyma pozostałych, kiedy ty się upijesz?

- Czyż nie jestem ojcem rodziny?

- To ci się tylko tak wydaje. Jesteś głupcem. Nie słyszysz, jak żartują na temat "amindumi"? Umowa tego nie przewiduje.

- Ugryzłbyś zbyt dużo, niż mógłbyś przełknąć, nad-inspektorze gdybyś zabił kogoś z rodziny.

- Zabijając ich wszystkich, też bym się zbyt nie przejął. Dlatego cały ciężar odpowiedzialności spoczywa na tobie. Panuj nad wszystkim, bo jeśli nie, będę zmuszony zrobić to za ciebie.

Saltzeim wyszedł, mamrocząc coś pod nosem. Wildheit zajął się oglądaniem kabiny.

- Możesz spać na koi, Róźdzko. Jest tu zasłonka, abyś czuła się swobodniej.

- A ty?

- Ja nie będę spał. Mam takie pigułki, które zastąpią mi sen. Muszę koniecznie pilnować drzwi.

- Z jakiego powodu poróżniłeś się z Saltzeimem?

- Kes-kes jest głupcem. Traci panowanie nad sytuacją. Jego pozycja nie jest już taka, by mógł dawać obietnice, ręcząc za innych.

- Co oznacza to wyrażenie "amindumi"?

- Żeby zrozumieć jego sens, musisz poznać historię Rhaqui, Jest ich obecnie niewiele - tylko trzy lub cztery nieduże klany. Sposób egzystencji czyni z nich ludzi samowystarczalnych, są jak wyspiarze. Prawo klanowe zabrania zawierania małżeństw z obcymi.

Wildheit mówiąc to przyglądał się dokładnie konstrukcji i wyposażeniu kabiny. Z zaciekawieniem przypatrywał się płataninie starodawnych rur i przewodów, którymi pokryte były ściany.

- Niestety, wysoki przyrost naturalny w obrębie zamkniętej społeczności - kontynuował Nad-inspektor - oraz długotrwałe loty w przestrzeń powodują ciągle zwiększanie się odsetka dzieci ułomnych i niedorozwiniętych. Gdyby nie częste zasilanie plemienia obcą krwią, Rhaqui wkrótce w ogóle przestałyby istnieć. Ich pomysłowość podsunęła im rozwiązanie zapewniające dopływ nowej krwi bez łamania tabu małżeństwa.

Wildheit wyjął z kieszeni jakieś narzędzia i zdjawszy ze ścian trochę boazerii, obejrzał uważnie umieszczone pod nią przewody. Wzruszył ramionami na znak, że nie natrafił na nic istotnego i zwrócił się ponownie do Róźdzki.

- Porywają kobiety innych ras. Gdy znajdą już odpowiednią kandydatkę, urządzają orgie, w czasie których każdy mężczyzna z klanu stara się ją zapłodnić. Jednemu zwykle się to udaje, chociaż nie sposób udowodnić, kto był tym szczęśliwym samcem, Ciężarna kobieta aż do chwili narodzin dziecka trzymana jest w zamknięciu, pod troskliwą opieką. Klan adoptuje dziecko, natomiast matkę uroczyście zabijają żony, wymierzając karę za zdradę ich mężów. Końcowy rytuał jest szczególnie barbarzyński, a ofiarę określa się mianem "amindumi".

- Czy tak właśnie zamierzali postąpić ze mną? Wildheit dotknął pasa z bronią.

- Między zamiarem, a jego osiągnięciem jest przepaść - powiedział. - Najlepiej będzie jeśli wejdiesz na chwilę do koi, ponieważ starty w wykonaniu Kes-kesa nie grzeszą specjalną finezją.

7.

Odlot był przerażający. Zresztą można było się tego spodziewać po tak zrujnowanym statku kosmicznym. Po kilku potężnych wybuchach rozchwieany kolos wzniósł się w powietrze. Wydawało się, że wznosi się w górę bardziej pod wpływem siły woli, aniżeli nieskoordynowanych silników odrzutowych. Osiągnięcie drugiej prędkości kosmicznej powitane zostało w sterowni nieprzyzwoitymi okrzykami, jak gdyby wąpiono, że w ogóle się to uda. Wildheit z uwagą słuchał odgłosów każdej fazy startu, wykrzywiając twarz, gdy wiejące grozą manewry następowały jedne po drugich i zdawało się, że nie będzie im końca.

Kiedy statek wzbił się już w przestrzeń międzyplanetarną, a silniki grawitacyjne zaczęły nadawać mu stałe przyspieszenie, przygotowano śniadanie.

Róźdzka i Wildheit przyłączyli się do wspólnego posiłku. Obecność całej rodziny potwierdzała pogląd Nad-inspektora co do skali wad wrodzonych. Okazało się, że blisko połowa członków klanu jest w pewnym stopniu upośledzona umysłowo. Wildheit zauważył, że za ich bezmyślnością kryje się niebezpieczna zwierzęca dzikość, nieświadoma ograniczeń moralnych. Wszyscy byli silni, żyłaści i uzbrojeni, co dla obcych przybyszów stwarzało sytuację nie pozbawioną ryzyka.

Początkowo przy posiłku było dosyć spokojnie. W jednym końcu stołu prym wiódł Saltzeim, a po jego prawej ręce zasiadła wróżbitka i Nad-inspektor. Na grubych, metalowych tacach, na których palił się ogień, wniesiono ogromne płyty pieczonego w całości mięsa. W ten sposób przygotowanie pieczystego trwało także i w trakcie podawania. Kes-kes długim, niebywale ostrym nożem fachowo pokroił mięso i zaczął rzucać porcje przez cały stół. Poszczególni członkowie rodziny chwyтали je w powietrzu na wystawione talerze. Gości obsłużył podobnie, z tą tylko różnicą, że mięso zsunął im z noża, a nie rzucił.

Jedzenia i picia było w bród - podano czysty bimber prymitywnie sfermentowany i przedestylowany. Wildheita od początku śniadania niepokoiła świadomość, że oczy wszystkich mężczyzn zwrócone były na Róźdzkę. Zaniepokojenie to wzrosło jeszcze bardziej, kiedy alkohol rozwiązał im języki i usunął dotychczasowe, słabe zresztą hamulce. Wkrótce temat "amindumi" przestał być rozważany jako możliwość, lecz stał się groźnie realny. Wreszcie Nad-inspektor wstał i ujął Róźdzkę pod ramię.

- Czas to przerwać, Kes-kes.

- Siadaj, Nad-inspektorze. Wstąpiło w nich tylko trochę wigoru. W przestrzeni jest tak niewiele rozrywek.

- Ale Róźdzka nie ma zamiaru stać się jedną z nich. Pohamuj ich, bo w przeciwnym razie będę zmuszony zrobić, to za ciebie.

- Jestem ich ojcem - oznajmił wojowniczo Rhaqui, a z brody zsuwał mu się kawałeczek mięsa. - Nikt by się nie ośmielił...

Nagle jakiś nieduży, młody Cygan o dziwnie wynędzniałej twarzy i lśniących, ciemnych oczach, zeskoczył z drewnianego koziołka i dał nurka wprost w stronę Róźdzki, chcąc objąć ją w talii. Ręce Nad-inspektora znalazły się natychmiast na pasie z bronią. Spojrzał przedtem na Saltzeima, dając mu szansę zażegnania tragedii. Rozwścieczony Kes-kes przeklinając podniósł z miejsca swe potężne ciało, zatoczył się po pijacku, otrząsnął i próbował oprzytomnieć. Wrzasnął na nieposłusznego Rhaqui, a gdy ten w ogóle nie zareagował, pochylił się nad stołem i potężnie uderzył szerokim, ostrym nożem.

Wszyscy na chwilę zamarli z przerażenia. Dłoń przestępcy została zgrabnie odcięta na wysokości nadgarstka i spadła na stół, tonąc we wciąż gorącym tłuszczu na jednej z tac z mięsiwem. Rhaqui, zbyt zaszokowany utratą ręki, aby odczuwać ból, stał w niemym osłupieniu, jakby nie mogąc uwierzyć w to co się stało. Później zemdłał. Na chwilę zapadło kompletne milczenie, a potem rozpetęła się burza złorzeczeń i protestów. Wildheit wystrzelił w sufit głośno eksplodujący ładunek, nie dopuszczając w ten sposób do bijatyki.

- A teraz posłuchajcie! - zwrócił się do wszystkich. - Wy, Rhaqui, przyjęliście warunki tej transakcji. Dostajecie więcej, aniżeli się wam należy. Nie próbujcie więc tknąć dziewczyny. Ja nie będę tak łagodny jak Kes-kes. Rozwalę każdego, kto się na to odważy.

Kiedy wrócili do kabiny, Róźdzka sprawiała wrażenie spokojnej. Wildheit spodziewał się znacznie silniejszego wstrząsu. Mimo wszystko podał jej środek uspokajający, który miał w podręcznej apteczce i usiadł, by podczas jej snu uważnie obserwować drzwi.

Reszta tej wachty upłynęła na pozór bez wydarzeń. Jednak, gdy na początku następnej wyszli z kabiny, nastawienie wszystkich, których spotykali, było jawnie wrogie. Przy sterach natknęli się na jakiegoś nieznanego osobnika w trój - graniastym kapeluszu Kes-kesa. Wszystko wskazywało na to, że sprawiedliwość klanowa została wymierzona. Istniało duże prawdopodobieństwo, że wśród kosmicznych śmieci niechętnie pozostających w tyle za wciąż zwiększającym prędkość statkiem również ciało niedawnego szefa tej rodziny spokojnie unosiło się w kierunku odległych wybrzeży nieskończoności.

Nic nie wydarzyło się aż do połowy trzeciej wachty, kiedy to ktoś zastukał do drzwi i zaprosił ich na wspólny posiłek. Wildheit w nadziei, że niedawna sztuczka poskutkowała, przyjął zaproszenie. Zastali całą rodzinę niezwykle spokojną, ale wyczuwało się atmosferę milczącego oczekiwania, która zmusiła Wildheita do podjęcia wędrówki ku pasowi z bronią. Napięcie znacznie spadło, kiedy podano alkohol, jednak Wildheit stał się jeszcze bardziej czujny.

Atak był szybki i zdradziecki. Znienacka ktoś cisnął nad-inspektorowi wypełniony bimbrem dzbanek prosto w twarz. W tej samej chwili nieduży i zwinny Rhaqui, którego poprzednio nie było przy stole, rzucił się na Wildheita z tyłu. W każdej dłoni ścisnął nóż. Wyciągnął ręce do przodu w ten sposób, by nie dostrzec w porę niebezpieczeństwa. Ośleplony na dobre, gdyby nie to, że ktoś inny próbował wbić mu sztylet w żebra. Coul nie był w stanie dłużej znieść groźby natychmiastowej śmierci swego żywiciela. Zatrzymał na chwilę całą tę scenę w zastoju czasowym, tylko Wildheitowi pozwalając poruszać się w dalszym ciągu. Nad-inspektor, zdając sobie sprawę, że ma do dyspozycji zaledwie kilka podarowanych mu przez Coula sekund, zrzucił napastnika z pleców wprost na nieruchomy sztylet. Zanim bóstwo wycofało swoją czasową integrację, mógł chwycić z powrotem za broń.

Odwet Wildheita był błyskawiczny. Trzech spośród atakujących Rhaqui przeciął promieniem lasera, a w sam koniec pomieszczenia rzucił ładunek obezwładniający. Jego działanie było bolesne dla wszystkich, ale ci, którzy znaleźli się w bezpośrednim sąsiedztwie eksplozji, padli na podłogę tracąc przytomność. Jeden z Cyganów wyciągnął i wymierzył w nad-inspektora staroświecki pistolet. Wildheit skierował promień lasera nie w mężczyznę, lecz w jego broń, która eksplodowała z hukiem. Jej odłamki wyrządziły Cyganowi i jego współnikom tyle obrażeń, że atak przemienił się w druzgocącą, podkreśloną przeraźliwymi krzykami klęskę. Wildheit z premedytacją zabił jeszcze trzech, próbujących ratować się ucieczką, po czym okazało się, że jest jedyną istotą w sterowni, która zdolna jest poruszać się i działać normalnie.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie było przy nim Róźdzki. Dobiegający z tyłu, stłumiony hałas wskazał mu drzwi, przez które ją wciągnięto. Przeciął zamek i zawiasy, gdyż było to szybsze niżeli próba wyważenia drzwi tradycyjną metodą. Gdy przekroczył próg, zatrzymał się zdumiony. Dwie, znajdujące się w pokoju młode Cyganki były martwe. Rzut oka na ich groteskowe pozy świadczył, że w ciele żadnej z kobiet nie została nawet jedna cała kość. Wildheit wstrząśnięty tym widokiem, podszedł do Róźdzki, która przyglądała mu się z niezwykłym spokojem na twarzy.

- Kto to zrobił? - spytał wskazując na splątane zwłoki.

- Ja - w jej głosie nie było słyhać jakichś emocji.

- Jak... - Zorientował się, że powiedział to z żalem. Nie mniej niepokojący był spokój Róźdzki.

Popatrzyła na swoje małe, smukłe dłonie, a potem znów spojrzała mu w oczy.

- Jasnowiedzowie - Zmysłowcy mają różne specjalizacje, co nie oznacza, że ich uzdolnienia ograniczają się do jednej tylko umiejętności. Jest dużo działań, których nie stosowałam w praktyce. Jeżeli jednak należą one do stylu życia wśród gwiazd, przystosuję się. Myślę, że z czasem będę zabijać jeszcze lepiej.

- Może mi nie uwierzysz - powiedział Wildheit ponuro, ale to nie zabijanie jest celem moich działań. Do moich obowiązków należy podobno utrzymanie pokoju.

- To dlaczego masz przy sobie tyle straszliwej broni? - zapytała. - Czyżby pokój nie był ostatnią rzeczą, której życzą sobie planety?

- Wy tłumaczę ci to kiedyś - obiecał. Potem zaczął zastanawiać się, czy kiedykolwiek zdoła wytłumaczyć to sam sobie.

Nagle Róźdzka westchnęła ciężko. Malujące się na jej twarzy skupienie świadczyło, że jej umysł przenikał jakieś bardzo odległe obszary, daleko poza statkiem Rhaqui.

- Co się dzieje Róźdzko?

- Wzory Chaosu. Coś się stało - coś, co powoduje nagły skok entropii.

- Wystarczający, by zniszczyć statek?

- Z pewnością tak. Jest w tym jednak coś dziwnego. Wybuch entropii powinien już nastąpić, ale ogniwo łączące przyczynę ze skutkiem zostało przerwane, a reakcja opóźniona.

- Broń Chaosu?

- Nie wiem, jak to nazwać, ale działa tu ogromna energia. Już zaczyna wywoływać naprężenia we wszechświecie.

Kiedy powiedziała to wszystko, Wildheit zrozumiał dokładnie, co chciała mu przekazać. Wnikliwa obserwacja będących w zasięgu wzroku powierzchni ujawniła jakby delikatną mgiełkę, jakby światło było częściowo rozszczepione przez powietrze.

Nad-inspektor zmarszczył brwi, próbując zrozumieć konsekwencje tego zjawiska. Jego uwagę odwrócił nagle jakiś hałas z zewnątrz. Obrócił się gotów odpierać atak, lecz ujrzał jedynie czmychającą przez drzwi postać Cygana. Wystrzelił ostrzegawczo w powietrze, zaś znikający za rogiem facet upuścił coś na podłogę. Nad-inspektor węsząc postęp cisnął w tamtym kierunku pocisk obezwładniający i szybko pobiegł podnieść upuszczony przedmiot.

Wrócił do Róźdzki, niosąc stracony zapewne w czasie walki nadajnik zdalnego sterowania pełzaczem. Ustawienie wskaźników przyrządu poważnie go zaniepokoiło.

- Co się stało? - spytała Róźdzka.

- Jakiś krety bawił się aparaturą do sterowania pełzaczem. Włączył rozkaz samozniszczenia.

- To mogłoby tłumaczyć przyczynę - stwierdziła Róźdzka.

- Synchronizacja w czasie zgadzałaby się. Jednakże, gdyby nawet pełzacz uległ samolikwidacji w ładowni, jest mało prawdopodobne, aby doprowadził przy tej okazji do zagłady tak olbrzymiego statku. Mimo wszystko wydaje się, że Broń Chaosu powstrzymuje reakcję. Dlaczego?

- Po to by ją spotęgować. Im większe są naprężenia we wszechświecie, tym więcej uwalnia się energii w chwili wyzwolenia. Widzę w tym akt rozpacz.

- Rozpacz? - zdziwił się Wildheit.

- No pomyśl. Zamierzasz wytropić Broń Chaosu, czy tak?

- To prawda.

- A przy mojej pomocy, raczej nie znaleźlibyśmy się dobrowolnie w punkcie Omegi Chaosu. Zgoda?

- Myślę, że to uzasadnione przypuszczenie.

- Zatem jedynym sposobem powstrzymania nas jest rozszerzenie zasięgu potencjału nieszczęścia tak, byśmy nie mogli go uniknąć.

- Oczywiście! Mechanizm niszczący pełzacza sam z siebie może spowodować tylko ograniczone szkody. Jeśli jednak zostałoby osiągnięte odpowiednie naprężenie we wszechświecie,

podmuch powrotny wybuchu mógłby rozerwać statek na kawałki. Czy możemy do tego nie dopuścić?

- Nie wiem - Róźdzka przyłożyła do czoła zaciśnięte pięści. - Myślę, że możemy jedynie spróbować wydostać się poza zasięg podmuchu, zanim coś się stanie.

Nagle z zainstalowanego na statku aparatu nadawczego zabrzmiał czyjś głos. Mówił jeden z Cyganów Rhaqui.

- Inspektorze Wildheit, proponuję zawieszenie broni. Statek osiągnął prędkość wejścia w podprzestrzeń. Odwlekanie skoku mogłoby się okazać niebezpieczne dla nas wszystkich. W wyniku naszej sprzeczki zajmujesz teraz tę część statku w której znajdują się przyrządy sterownicze. Jeśli wrócisz do kabiny, my wrócimy do sterowni, by kontynuować bezpieczną nawigację. W zamian za to gwarantujemy ci pełne bezpieczeństwo.

Wildheit spojrział na Róźdzkę i zmrużył oczy zamyślony.

- Zastanawiam się właśnie, czy tej sytuacji nie można wykorzystać tak, aby uzyskać rozwiązanie naszego problemu. - Sięgnął do przycisku aparatu nadawczego. - Tu Wildheit. Miałem już tyle gwarancji ze strony Rhaqui, że wystarczą mi do końca życia. Możecie wrócić do sterowni pod jednym warunkiem. Żądam natychmiastowego przygotowania sprawnego statku ratunkowego. Wasza tak zwana gościnność stała się już nieznośna. Ponadto, jeśli będę zmuszony zabić jeszcze paru członków rodziny, nie starczy wam załogi, by zapewnić bezpieczeństwo lotu. Co ty na to?

- Kompromis do przyjęcia, inspektorze. - W głosie

Cygana słyhać było wyraźną ulgę. - Trzy miliony stellarów to już wystarczające wyrównanie naszych strat. Zaraz przywołamy statek ratunkowy.

Róźdzka i Wildheit powrócili do kabiny i czekali, oboje w pełni świadomi narastającego napięcia continuum. Rozszczepienie światła wzmogło się do tego stopnia, że w miejscach styku światła i cienia powstawały widmowe, rozmywające kontury tęcze. Na wszystkich powierzchniach gromadził się rodzaj statycznych ładunków, wywołując zjawisko odpychania elektrostatycznego, co w połączeniu z wibracją powodowaną przez napęd grawitacyjny sprawiało, że nieduże przedmioty zaczęły się poruszać i ślizgać po podłożu. Tarcie, które istniało w normalnych warunkach, utrzymałoby je w stanie spoczynku. Podstawą stworzonej przez człowieka techniki było to, że tarcie stanowiło niezbędny czynnik wzajemnego przylegania przedmiotów. Jeżeli proces jego zaniku trwać będzie nadal, zaczną się odkręcać i luzować nawet najmocniej przykręcone śruby i nakrętki.

Wildheit widząc narastające niebezpieczeństwo, ponownie nachylił się do aparatu nadawczego.

- Szybciej z tym statkiem ratunkowym! - powiedział do mikrofonu. - Chcemy odlecieć, zanim znajdziecie się w pod - przestrzeni...

W żaden sposób nie potrafiły wyjaśnić im prawdziwej przyczyny takiego pośpiechu. Nawet nie próbował tego robić. Rhaqui, przyzwyczajeni do wszelkich dziwnych zdarzających się w przestrzeni zjawisk prawdopodobnie przypisywali zaistniałe efekty świetlne jakiejś potężnej, szalejącej gdzieś w pobliżu burzy. Będą przeklinać rozsuwające się zamki i zapodziały narzędzia, pomstować na nieprecyzyjny wzrok, zrzucając winę na karb alkoholu albo na jakiś wydumany wir w przestrzeni, przez który przyszło im przelatywać. Tylko Wildheit i Róźdzka wiedzieli, że najbardziej niepokojące są nie same te zjawiska, lecz moment ich ustania,

- Inspektorze, statek ratunkowy gotów - nadeszła wreszcie oczekiwana wiadomość. - Znajdziesz go na dziobie. Za siedem minut będziemy w podprzestrzeni. Miejmy nadzieję, że już się nie spotkamy.

- Oby - odparł Wildheit. - Wyruszamy.

Przypuszczalnie po to, żeby uniknąć dalszych incydentów Cyganie zeszli im z drogi, idąc bowiem na dziób statku nie spotkali żadnego z nich. Za to na miejscu zastali dowody niedawnej pracy - wielkie płachty srebrnej folii wskazywały, gdzie nowiuteńki statek ratunkowy został pospiesznie wyciągnięty z obudowy. Wildheit wyszeptał modlitwę dziękczynną. Obawiał się, że

dadzą im jakiś zdezelowany wrak przygotowany do lotu, z typowym dla Rhaqui niedbalstwem. Nowy pojazd prawie na pewno złupiony z jakiegoś wraku, został uruchomiony, lecz poza tym znajdował się w stanie identycznym, jak w chwili wyprodukowania go. Wildheit pomógł Róźdzce wejść przez ciasny właz, przebiegł wzrokiem rozmyte wskaźniki biegu jałowego i nacisnął klawisz startowy. Sprężony gaz wypchnął ich z rykiem w przestrzeń.

Prawie natychmiast po opuszczeniu statku Rhaqui, Wildheit i Róźdzka zaczęli widzieć normalnie. Ustąpiło wrażenie ślizgania się przedmiotów i powrócił zmysł dotyku. Miniaturowy statek skonstruowany z myślą o szybkim oddaleniu się od źródła zagrożenia utrzymywał stałe przyspieszenie dwóch g aż do całkowitego wyczerpania paliwa silników pomocniczych. Następnie pasażerowie mieli do wyboru: albo lecieć uzyskaną już siłą rozpędu, albo kontynuować lot wykorzystując ekonomiczną moc głównego napędu. Wildheit wybrał to pierwsze. Mogli jedynie wrócić na Mayo, gdyż na podróż z prędkością podświetlną do innego układu nie starczyłoby, im życia. Tu jednak, w układzie planetarnym, do którego należała Mayo i gdzie Hover skieruje statek ratunkowy mogli mieć jakąś nadzieję.

Pojazd Rhaqui nie miał szans na przetrwanie. Stawał się coraz mniej wyraźny, jak gdyby naprężenie continuum spowijało go w coś, co przypominało bańkę mydlaną, w której współczynnik załamania światła różnił się od panującego zwykle w przestrzeni. System był niestabilny, bańka pulsowała, nabrzmiwała i groziła pęknięciem. Panujące w niej zakłócenia narastały. Wildheit usiłował wyobrazić sobie jak Rhaqui, uwięzieni w tym zminiaturyzowanym, zniekształconym wszechświecie, postrzegają otaczającą ich rzeczywistość.

Bańka pękła. Przez chwilę wydawało się, że statek pozostał nietknięty, potem jednak ukazał się w krocie perspektywicznym, jak gdyby popadł w konflikt z względnością, próbując staranować barierę światła, zamiast ją przeskoczyć. Wyzwolona energia natychmiast rozżarzyła cały kadłub statku i wywołała falę sygnałów ostrzegawczych na wskaźnikach bezpieczeństwa statku ratunkowego. Później sytuacja gwałtownie zmieniła się. Przy spadającej szybko temperaturze i próżni energetycznej, spragnionej każdego dostępnego kwantu promieniowania z przestrzeni, statek, który był przejściowo ognistą kulą, stopniał w mroczną nicość, załazek niedostrzegalnie malej, czarnej dziury.

Po chwili Wildheit włączył zainstalowane na statku ratunkowym latarnie kierunkowe w nadziei, że ściągnie na siebie uwagę jakiejś stacji przekaźnikowej i zaczął przeszukiwać fale nadawania FTL. Róźdzka miała wzrok utkwiony w punkcie, w którym znajdował się kiedyś cygański statek. Uważała, że użycie Broni Chaosu było aktem rozpaczki. Zamach nie udał się. Teraz już tylko od wróżbitki i od Nad-inspektora zależało wyjaśnienie stopnia tej rozpaczki. Róźdzka pomyślała, że chyba polubi gwiazdy.

8.

Po siedemnastu godzinach na ekranach Wildheita pojawiły się nie jeden lecz dwa nadlatujące statki. Oba poruszały się z prędkością podświetlną, a ten odleglejszy znajdował się na granicy zasięgu teledetektora. Bliższa jednostka, aczkolwiek mniejsza, poruszała się niewątpliwie szybciej. Wszystko wskazywało na to, że Hoverowi w jakiś sposób udało się skierować na ten obszar statek rozpoznawczy przed Krążownikiem Wojsk Przestrzeni, a żadna z jednostek nie wiedziała, że uczestniczą w tej samej akcji ratowniczej. Wildheit wiedział jak bardzo potrzebne są krążowniki w walce z obcymi, którzy przełamali linie obronne, uznał więc, że ma wystarczający powód, aby poprosić Coula o nawiązanie duchowej łączności z Hoverem. Bóstwo niechętnie, ale zgodziło się.

- Jak twoje nogi, Cass?

- Dobrze, Jym, wspaniale! Musieli już zacząć obcinać paznokcie u palców. Ćwiczenia mięśni w ośrodku hodowli to wprost niewiarygodny widok. Słuchaj, te nogi są piękne! Szkoda mi będzie na nich chodzić, żeby się nie zniszczyły.

- Hm! Trzeba wymyślić jakiś nowy termin psychologiczny na określenie zboczeńców, którzy zakochali się we własnych nogach. Ale połączyłem się z tobą nie po to, by porozmawiać o nogach, Cass. Po ostatnim meldunku udało się nam wydostać z tamtego świata trampem Rhaqui. Teraz dryfujemy, a statek ratunkowy unosi gdzieś nas na peryferiach układu Mayo. Czy możesz porozumieć się z twoimi chłopcami i kazać im szukać nas w przestrzeni, zamiast na Mayo? Krążownika nie potrzebujemy.

- Zrozumiałe, Jym. Przewidujemy przylot statku patrolowego nastąpi za około trzy dni. Przykro mi, ale to wszystko, co możemy zrobić.

- Powtórz to jeszcze raz, Cass, tylko powoli.

- Trzy dni - to wszystko, co możemy zrobić. Nie mamy bliżej żadnej jednostki.

- To dziwne, bo właśnie w tej chwili ma na teledetektorze dwa ptaszki. Obydwa są w zasięgu jednego skoku w podprzestrzeni.

- Wobec tego nie są to statki Federacji. - Hover nagle spowaźniał. - Czy nadajesz sygnał wezwania" pomocy?

- Nie, mam włączoną tylko radiolatarnię kierunkową.

- Właśnie pomyślałem, że kilku maruderów obcych musiało obejść skrzydło atakujących Wojsk Przestrzeni. Uważaj, Jym! Jeżeli .masz jakiegokolwiek wątpliwości co do ich pochodzenia, ustaw możliwie jak najniższy poziom mocy i staraj się jakoś przetrwać niezauważony. Przy wyłączonej radiolatarni kierunkowej istnieje duża szansa, że uznają cię za śmieć kosmiczny. Wyślemy ci krążownik możliwie jak najszybciej.

- Zgoda! Wyłączam radiolatarnię kierunkową. Zostawię otwarty kanał odbioru FTL, abyśmy wiedzieli, kiedy krążownik wejdzie w strefę.

- Skoro mamy wciąż łączność, to jest jeszcze jedna wiadomość, której nie można" nadać kanałem FTL. Pamiętasz, myślałem przedtem, że istnieje jakaś więź między Sarayą, a osobami, które sprowokowały katastrofę w Edel. Śledząc tamtych dwóch znalazłem się w ślepych zaułku, dlatego spróbowałem w zamian wyszperać coś o Sarai. Zgadnij, czego się dowiedziałem. Macierzysta planeta Sarai również nie istnieje. Jest on jeszcze jednym z tych facetów znikąd i bez zarejestrowanej przeszłości.

Wildheit, kończąc duchową łączność z Hoverem, rozpoczął redukcję poziomu mocy statku ratunkowego, pozostawiając na jałowym biegu wyłącznie - układy utrzymujące wewnątrz pojazdu warunki nadające się do życia. Z uczuciem żalu na wszelki wypadek wyłączył teledetektor, aby drganiem mikro - promienia nie zdradzić potencjalnemu wrogowi swej obecności. Przestał widzieć zbliżające się do układu dwa statki i nie mógł stwierdzić, czy ich przylot jest przypadkowy, czy rozmyślny. Niebawem jedynie drażniący uszy podeterowy szum, pochodzący ze słońca planety Mayo, zakłócał przytłumione odgłosy pracujących jeszcze urządzeń, dostając się do otwartego kanału odbiorczego FTL.

Róźdzka przerwała wreszcie tę prawie kompletną ciszę.

- Coł jest bardzo stary, prawda? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Mówi, że jest nieśmiertelny, a ja uważam, że nawet nieśmiertelność to rzecz względna.

- Odczytywałam jego wzory Chaosu. Czy wiedziałeś o tym, że on wywodzi się z czasów sprzed Wielkiego Wybuchu, od którego wszechświat wziął swój początek?

- Trudno mi uwierzyć w istnienie czegokolwiek przed początkiem wszechświata.

- Przed Wielkim Wybuchem był inny wszechświat - powiedziała, jakby stwierdzała rzecz oczywistą.

- Jak to możliwe, żebyś o tym wiedziała?

- Mogę cofać się do prawzorów. W tym wszechświecie entropia wzrasta wraz z upływem czasu, w tamtym - maleje. Nasz wszechświat rozszerza się - ich kurczy. To właśnie było przyczyną Wielkiego Wybuchu.

- Kosmologia nigdy nie była moją mocną stroną - odparł rozkojarzony Wildheit.

Brak informacji o zbliżających się statkach był denerwujący i niebezpieczny. Wildheit uważał, że jeżeli obecność jednostek jest dziełem przypadku, to jego statek ratunkowy dysponuje wystarczającą mocą silników, by wejść na orbitę, na której słońce planety Mayo znalazłoby się między nim a przybyszami. Potrzebna mu była jednak informacja o trajektoriach ich lotów, by mógł dokonać niezbędnych obliczeń. Postanowił zaryzykować włączenie na kilka sekund teledetektora by przekonać się, czy tory lotu intruzów wskazują na planowe działanie. Rzut oka na ekran udowodnił mu, że próba ukrycia się była stratą czasu. Mniejszy z obiektów był na kursie przechwycenia statku ratunkowego, a większy, choć w odległości wielu godzin lotu niewątpliwie tropił mniejszego. Wildheit chciał zidentyfikować natrętów, ale powrotne sygnały nie naprowadziły go na żaden trop.

- Wygląda na to, że będziemy mieli towarzystwo - powiedział do Róźdzki, starając się nie zwrócić jej uwagi na wieloznaczność tego stwierdzenia.

Teraz, kiedy wyłączenie teledetektora nie miało już żadnego sensu, Wildheit z drżeniem obserwował zbliżanie się mniejszego obiektu. Doświadczony pilot za pomocą pojedynczego manewru wytracił prędkość i tak precyzyjnie zrównał się pod względem szybkości i kierunku lotu ze statkiem ratunkowym, że wkrótce oba pojazdy zawisły prawie nieruchomo w odległości około stu metrów od siebie.

Kiedy statek znalazł się w zasięgu wzroku, Wildheit próbował go zidentyfikować przy użyciu dość ograniczonego oprzyrządowania optycznego. Obca jednostka, choć niewielka w porównaniu ze standardowymi, była olbrzymia w porównaniu z małym statkiem ratunkowym. Była to osobliwa konstrukcja przypłaszczona i kanciasta. Zespół napędowy również był zupełnie nieznanego typu, podobnie jak potężnie uzbrojone tarcze wieżyczek strzelniczych. Wyloty luf, sterczące złowieszczo z podwieszonych gondoli, sugerowały ogromną moc urządzeń o nieodgadnionym zasięgu i skutkach działania. Na podrapanej powierzchni kadłuba nie było żadnych symboli ani znaków rozpoznawczych. Rosnące obawy Nad-inspektora łagodziło jedynie to, że ten niezwykle pojazd wydawał się być zaprojektowany i skonstruowany przez człowieka.

Róźdzka, która uważnie przypatrywała się statkowi, westchnęła lekko.

- Co w nim widzisz, żabko? - spytał Wildheit.

- Ten statek jest bardzo stary. Jego wzory sięgają odległej przeszłości.

- Mam nadzieję, że nie czasów sprzed Wielkiego Wybuchu - dodał z lekką kpina.

- Nie. Są sprzed sześciu, może siedmiu tysięcy lat.

- Chyba będziemy musieli wyskalować cię od nowa. Historia człowieka w przestrzeni sięga niewiele ponad dwa tysiące lat wstecz.

- Wiem o tym. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego tak z nim jest, ale mówię ci prawdę.

Spokój, który zapanował od zatrzymania się statku zdawał się potwierdzać przypuszczenia Wildheita, że jednostka nie należała do obcych, gdyż w przeciwnym razie natychmiast by ich zniszczyła. Kanał łączności FTL ożył.

- Ocaleni na statku ratunkowym! Zastosujemy promieniowanie wciągające. Przygotujcie się do dokowania. - Głos był ludzki i mówił w najczystszy Interagalaktycznym Delta.

Wildheit jednym susem znalazł się przy nadajniku.

- Kim jesteś? - spytał. - Podaj, proszę, tożsamość.

- To nie czas na pytania, przyjacielu. Zamierzamy opuścić szybko ten układ, wy zaś udacie się z nami. Przygotować się!

Ostrzeżenie nastąpiło o ułamek sekundy za późno. Statek ratunkowy został bezlitośnie pochwycony przez grawitacyjne kleszcze, które obróciły go o dziewięćdziesiąt stopni, orientując go zgodnie z kierunkiem promieni grawitacyjnych. Manewr był tak gwałtowny, że Wildheita rzuciło na konsolę łączności. Uderzył głową o wystający kant tak silnie, że ogłuszyło go to na moment. Gdy po chwili doszedł do siebie, zobaczył, że to statek ratunkowy pędzi w otchłań luku ładunkowego.

Całą operację przeprowadzono błyskawicznie. Zanim pojazd zatrzymał się na pochylni, właz śluzowy zatrzasnął się i z rykiem odezwał się nieznany napęd. Wildheit i Róźdzka musieli odczekać długi okres przyspieszenia, zanim wreszcie komora wypełniła się powietrzem i mogli opuścić swój mały pojazd.

Mężczyzna w brązowym kombinezonie, który wszedł do komory powietrznej, w ręku miał broń.

- Kogóż to widzimy? Nad-inspektora przestrzeni i chude kurczątko. Co za dziwne rzeczy można złowić w przestrzeni! Rzuć broń, inspektorze. Na tym statku nie masz żadnych szans.

Wildheit spojrział na mówiącego i zrobił, co mu kazano. Dobrze znał wyraz twarzy zawodowców. Do luku zbliżył się drugi mężczyzna i poprowadził przybyszów w głąb statku. Ten uzbrojony szedł - z tyłu.

Wildheit uznał ten pojazd za równie dziwny wewnątrz, jak z zewnątrz. Niewątpliwie zbudowany został przez człowieka, ale jego założenia konstrukcyjne nie miały nic wspólnego ze znanymi Wildheitowi wzorami. Aczkolwiek miał wrażenie, że orientuje się, jakie jest przeznaczenie wielu spośród urządzeń, to całkowicie obcymi były dlań mechanizmy i technologia. Tylko nieliczne wyglądały na wyprodukowane współcześnie. Należał do nich detektor Chaosu oraz zestaw komputerów, który przypominał Wildheitowi urządzenia oglądane w Centrum Chaosu.

Zostali wprowadzeni do kabiny o boazeriach z prawdziwego drewna. Przy biurku siedział trzeci mężczyzna w brązowym kombinezonie, a czwarty i piąty stali po jego obu stronach.

- Nad-inspektor przestrzeni, co?! Łamigłówa zaczyna się układać. Założyłbym się, że to Saraya maczał w tym palce.

- Znasz Sarayę? - spytał Wildheit.

- Można by rzec, iż znamy się od całkiem dawna. - Mówiący te słowa posłał swoim towarzyszom porozumiewawcze spojrzenie. - Saraya nie może się niczego nauczyć.

- Kim jesteś?

- Chodzi ci o nazwiska? Ja jestem Kasdeya. Ten, który przykłada ci broń do kregosłupa, to Jejun, zaś twój przewodnik po statku to Asbeel. Po mojej prawej ręce stoi Gadreel, z którym nie radzę ci szukać zwady, po lewej masz Penemuego. Postąpiłbyś niemądrze, gdybyś go wyzwiał na pojedynek intelektów. Naszą piątkę nazwałbyś, jak sądzę, awanturnikami, a być może renegatami. Nie możesz nie doceniać naszego zdecydowania ani gotowości zabijania.

- Stykałem się z takimi jak wy - wyklętymi przez wszystkich.

- Jestem rad, że się zrozumieliśmy. Ale teraz masz nad nami przewagę, inspektorze. Kim jesteś i co robiłeś ma krańcach galaktyki w statku ratunkowym?

- Jestem Jym Wildheit, Nad-inspektor przestrzeni. Mam do spełnienia ważną misję zleconą mi przez Federację.

- Jaką misję?

- Nie sądzisz chyba, że ci powiem.

- Jeżeli cię nie zmusimy, prawdopodobnie nie odpowiesz. - Kasdeya obrzucił swoich towarzyszy rozbawionym wzrokiem. - Nie sądzę, że brzydzimy się użyciem stosowania przemocy - zwłaszcza gdy zajdzie konieczność. Myślę jednak, że więcej możemy zyskać współpracując, aniżeli stosując przymus. Mam zamiar zadać kilka pytań, aby zorientować się, czy nasze interesy są wspólne. Jeżeli przemilczysz jakieś odpowiedzi, wydusimy je z ciebie później siłą, w zależności od potrzeb i naszego nastroju.

- To zbrodnia przeciw Federacji!

- Nie rozśmieszaj mnie! Mam w nosie wasze idiotyczne prawa. W ogóle cała Federacja jest czymś bez żadnego znaczenia. Przypomina pchłę w pięści wściekłego psa, którego ogonem kręcimy my. W porównaniu z naszymi wrogami wasi wrogowie wyglądają na serdecznych przyjaciół. Chciałbym ci uświadomić jeden fakt inspektorze. Do gry, do której jakimś cudem wszedłeś, nie dorastasz tak dalece, że równie dobrze mógłbyś się w ogóle nie narodzić.

W czasie, gdy mówił statkiem targnął jakiś potężny, bezgłośny wybuch w przestrzeni. Światła przygasły na chwilę, zasilane awaryjnie, po czym się rozjaśniły znów. Kasdeya wstał.

- Skoro mowa o wrogach, to po piętach depta nam wściekły pies. Będziemy zmuszeni wybić mu jeden z jego kłów. Ciąg dalszy naszej rozmowy nastąpi potem.

Kasdeya z trójką ludzi rzucił się do drzwi. Jequn z bronią w ręku dał Wildheitowi i Róźdzce znak, by przeszli do mniejszej kabiny, potem zatrzasnął za nimi drzwi.

Statkiem targnęły trzy kolejne, potężne wybuchy, wstrząsając nim tak silnie, iż Wildheit zaczął obawiać się, że kadłub pęknie. Nic takiego na szczęście się nie stało. Nad-inspektor zrozumiał, że był to statek, który przewyższał wszystkie, z jakimi miał okazję zetknąć. Potem zaczęły dochodzić ze statku odgłosy użycia tych dziwnych broni, a bezgłośnie, choć częste wstrząsy, stały się mniej gwałtowne.

Nad-inspektora nie zdziwił widok trupio bladej twarzy Róźdzki. Postanowił dodać jej otuchy.

- Nie przejmuj się, żabko! Wydaje mi się, że nasi nowi koledzy nie należą do tych, którzy daliby się zapędzić w sytuację bez wyjścia.

- Ach... masz na myśli statek? To mnie nie martwi. - Róźdzka pokręciła przecząco głową. - Jego wzory nadal będą w przyszłość. Nie stanie mu się nic złego. Za to ludzie... oni są sędziwi - niemal wiekowi jak statek.

- Ile mają lat, Róźdzko?

- Po sześć, siedem tysięcy. Ich wzory gwałtownie cofają się w przeszłość. Dabria też był taki jak oni.

- Strażnik Dabria?

- Tak. On również był bardzo stary. Myślał, że nikt o tym nie wie, lecz ja wiedziałam, ponieważ potrafię odczytywać jego wzory.

- I to napawa cię lękiem?

- Dabria był potwornym człowiekiem. Tylko ktoś taki, jak on mógł panować nad jasnowidzami. Ludzie na tym statku są jeszcze straszniejsi niż Dabria. Jak w ogóle można być tak starym?

- Wcale nie jestem przekonany, że są aż tak starzy. Jednak galaktyka staje się najwidoczniej coraz mniejsza. Kasdeya należał do tych, którzy wywołali katastrofę na planecie Edel, gdzie użyta została Broń Chaosu. Najwyraźniej on również zna Sarayę z Terrańskiego Centrum Chaosu, dla którego my pracujemy. Wiemy również, że Saraya pochodzi nie wiadomo skąd. Dołączając do niego Dabrię, mamy w sumie siedmioro ludzi, z których żaden nie pasuje do zrozumiałego dla nas schematu. Skąd oni są, Róźdzko?

- Nie wiem, ale...

Cały statek zadrżał nagle, jednak nie był to tak brutalny wstrząs, jak w trakcie poprzednich wybuchów. Trwało to około dwóch minut. W tym czasie Coul swoimi mocno zaciśniętymi, niematerialnym szponami wbił się głęboko w ramię Wildheita i wyssał mu życiodajne soki wprost z serca.

- Co to było? - spytała Róźdzka.

- Wykonali jakiś skok w przestrzeni, prawdopodobnie by uciec przed prześladowcami. To nie był skok w podprzestrzeń. To coś... innego...

Jeżeli chcieli uwolnić się tym manewrem od przeciwnika, to zamiar się nie powiódł. Gdy tylko zniknęły osobliwe doznania na nowo rozpoczęła się potężna, bezgłówna wibracja o rosnącej częstotliwości i natężeniu. Wildheit zdawał sobie sprawę, iż żaden statek, bez względu na doskonałość konstrukcji, na dłuższą metę nie może wytrzymać tak brutalnych prób. Jednak Róźdzka przepowiedziała, że statek przetrwa. Jedno z drugim nie dawało się pogodzić i pęknięcia, które pojawiły się pod wpływem krytycznych, naprężeń we wzmacniających kadłub wręgach wskazywały dobitnie, iż Róźdzka nie ma racji. Jeżeli wibracja szybko nie ustanie, kadłub będzie musiał ulec rozhermetyzowaniu. Tylko jakiś nowy czynnik mógł dopomóc w spełnieniu przepowiedni Chaosu. I czynnik ten nagle się pojawił.

Do kabiny wtargnął gwałtownie Jequn, tym razem bez broni.

- Inspektorze - powiedział - zostaliśmy wciągnięci w chytrą zasadzkę. Jeżeli nie wyrwiemy się stąd, koniec z nami wszystkimi. Dotyczy to również i was. Czy gotowi jesteście walczyć wspólnie z nami?

- Przeciw komu?

- Zbyt długo trwałoby tłumaczenie. Wystarczy, jeśli powiem, że oni mają Broń Chaosu. .

- Jeżeli wam pomogę, odpowiecie mi na moje pytania. A kiedy bitwa się skończy - żadnego wymuszania.

- Pomóż nam wydostać się z tej opresji, a będziesz mógł stawiać warunki.

Jequn wybiegł z kabiny, zostawiając otwarte drzwi. Wildheit ciągnąc Róźdzkę za rękę, szybko podążył za nim. Jequn zatrzymał się przed kabiną sterowania bronią i wskazał Nad-inspektorowi, by ją zajął. Wildheit wśliznął się na fotel i poczuł, jak przyrządy sterownicze układają mu się pod palcami. Po kilku zaledwie sekundach zapoznawania się z przyrządami celowniczymi, zorientował się w zasadach ich obsługi na tyle, by uzyskać pewność, że potrafi choć trochę się nimi posługiwać. System sterowania ogniem był tak umieszczony, że trudno było go zauważyć.

Róźdzka wcisnęła się za fotel i w ten sposób oboje widzieli na ekranie pozycje i odległości do niezliczonych nieprzyjacielskich okrętów zgrupowanych w potężnej zasadzce. Wildheit wybrał jeden z nich i zaczął umieszczać go w środku pierścienia celowniczego, ale Róźdzka powstrzymała go.

- Nie tam, tutaj!

Nad-inspektor niemal instynktownie przesunął celownik na wskazane przez nią palcem miejsce, które znajdowało się w pobliżu, lecz nie pokrywało się z jednym z widniejących na ekranie obiektów. Współrzędne bez trudu znalazły się w obrębie celownika i Wildheit przycisnął spust. Rozległ się odgłos działania nie znanej broni, a w sześć sekund później cel zniknął z ekranu. Wildheit kiwnął głową z uznaniem. Sam mógł precyzyjnie odłożyć poprawkę dopiero po kilku próbnym strzałach. Zdolność Róźdzki do przepowiadania z najwyższą dokładnością zmian entropii mających związek ze zniszczeniem statku umożliwiała jej przewidzieć położenie obiektu w chwili, gdy niszczący ładunek osiągnie cel.

- To coś nowego w technice artyleryjskiej - powiedział, spoglądając do tyłu na dziewczynę. - A teraz która?

W milczeniu wskazała palcem następną pozycję w pobliżu jednego z obiektów. Wildheit przestawił celownik i odpalił. Zobaczył, jak punkcik na ekranie radaru przesunął się dokładnie w miejsce, w które skierował ogień, po czym zniknął, gdy już dotarł do punktu zbieżności. Gdzieś w

głębi umysłu Nad-inspektora zakiełkował pomysł, że Róźdzka sama w sobie stanowi Broń Chaosu o nieprzeciętnej mocy.

Otworzył ogień seriami, kierując go wszędzie tam, gdzie wskazywała dziewczyna. Nie czekając celował w następny obiekt. Wyniki były niesamowite. Ani jeden strzał nie poszedł na marne, a szybki i całkowicie skuteczny ogień wyrąbywał wielką lukę w gromadzie atakujących okrętów.

Wszystkie wiadomości, jakie mieli na temat obiektów i ich zniszczeń pochodziły z elektronicznego odwzorowania na ekranie. Jednak Wildheit oczyma wyobraźni wyraźnie widział ponurą, bitewną rzeczywistość. Znikanie z monitora urządzenia radarowego niewielkich punkcików było tylko sygnałem gigantycznych wybuchów, krótkotrwałych świstów ulatującego z pękniętych kadłubów powietrza, niszczącego doszczętnie żaru i promieniowania urządzeń napędowych przekraczających stan krytyczny, eksplozji w komorach amunicyjnych, coraz większego zagrożenia zderzeniem ze szczątkami rozbitych statków oraz rozsianymi wszędzie jednostkami ratunkowymi.

9.

W miarę upływu czasu bezgłośnie wibracje, którym byli poddani, zaczęły stopniowo słabnąć, aż wreszcie ustały. Ekran pokazywał wyraźnie, jak jednostki wrogich sił odłączyły się, od formacji i wycofały z walki. Choć bitwa była wygrana, Róźdzka nadal wskazywał nowe obiekty, a Wildheit strzelał, dopóki ostatni z niedobitków nie znalazł się poza zasięgiem rażenia.

W ferworze walki Nad-inspektor tak był pochłonięty koniecznością utrzymania wysokiego tempa ognia do celów wskazywanych mu przez Róźdzkę, że ani razu nie pomyślał o tym, jak wielki jest ich sukces. Teraz, gdy bitwa wygasła, błędził wzrokiem po licznikach tablicy sterowniczej. Wykres w systemie dwunastkowym informował, że oddano dwieście dziewiętnaście strzałów i każdy z nich zniszczył jeden okręt. Zdumiewające! Wildheit uświadomił sobie nagle, że wokół nich pojawili się widzowie. W chwili, gdy bitwa została zakończona, pięciu z załogi statku zgromadziło się, by obserwować, jak rozprawiano się z niedobitkami.

- Taka celność jest nie tylko niewiarygodna, nad-inspektorze, ale wręcz niemożliwa! - przemówił wreszcie Kasdeya.

- Po prostu mam dobry dzień - odparł Wildheit z krzywym uśmiechem.

- Ja nie żartuję, Nad-inspektorze. Znamy potencjał tej broni i granice ludzkich możliwości. Przekroczyłeś i jedno i drugie z nieprawdopodobnym naddatkiem. W jaki sposób?

Wildheit spojrział pytająco na Róźdzkę, a ona odparła.

- Wzory Chaosu nosiły w sobie zapowiedź zniszczenia tych okrętów - powiedziała. - Należało tylko ustalić czas i określić pozycję.

- Oczywiście, możliwe jest przeprowadzenie tego rodzaju obliczeń Chaosu, ale tylko dla pojedynczego przypadku i szerokiej skali odniesienia. W dodatku potrzeba na to około dwóch dni. - Widać było, że Kasdeya myśli intensywnie. - W żaden sposób nie można obliczyć w mgnieniu oka setek punktów Omegi Chaosu.

- To możliwe pod warunkiem, że widzi się wzory. - Róźdzka powiedziała to bardzo spokojnie, ale najwyraźniej miała świadomość, jakie wrażenie wywołają jej słowa.

- Pięciu członków załogi przeszła strzała nieufności, opleciona nicią radosnej nadziei.

- Ty zwariowany kurczaku! - wydusił z siebie Kasdeya - chcesz powiedzieć, że potrafisz odczytywać wzory wprost?

- To prawda - powiedział Wildheit. - Gdyby nie ta zdolność, nadal znajdowalibyśmy się na statku Rhaqui, który zniszczyła Broń Chaosu.

Na twarzy Kasdei odmalował się nagle wyraz zrozumienia.

- Ach, to wiele tłumaczy! Niedawno zauważyliśmy odkształcenie continuum, wskazujące na działanie Broni Chaosu. Nie sądziliśmy, że istnieje cel na Obrzeżu tak ważny, aby nasi wrogowie zużytkowali aż tyle energii. Nasze przyrządy podały, że Broń ta pochłania energię rzędu około dziesięciu mas gwiazdnych na sekundę. Udaliśmy się, by to zbadać, znaleźliśmy jednak tylko was w statku ratunkowym. Wtedy nic z tego nie rozumieliśmy.

- A teraz? - spytał Wildheit.

- Oczywiście, że tak. Wyjaśnia to również rozmiary tej ostatniej zasadzki. Nie znaleźli żadnej katastrofy, którą mogliby spotęgować, więc wysłali w zamian całą flotę. Tej pułapki jednak wcale nie zastawiano dla nas. To wam deptano po piętach.

- Nie do wiary.

- Nie do wiary, ale nie dla nas. Nad-inspektorze, przecież ty i ta dziewczyna zdajecie się być najważniejszymi osobami w całym wszechświecie. Ktoś, kto przepowiada ze wzorów Chaosu przyszłość, nie przejmuje się specjalnie tym, co widzi, odczytując je. Natomiast przebiegając łańcuch przyczynowo - skutkowy wstecz, ma nadzieję znaleźć możliwość takiej zmiany jakiegoś elementu, która w następstwie uchroni go od nieszczęścia.

- W jaki sposób mógłby ten ktoś dojść do Róźdzki i do mnie?

- To nic nadzwyczajnego. Wy Terranie, macie takie przysłowie, które brzmi mniej więcej: "... nie ma gwoźdza - już po podkowie, nie ma podkowy - już po koniu, nie ma konia - już po

jeźdźcu". O gwoździu wystarczy wiedzieć tylko tyle, czy jest, czy go nie ma. Ty i ona jesteście gwoździem, inspektorze. A bitwa, którą jeździec mógłby wygrać, musi się dopiero rozegrać. Jednakże związek między wami i zdarzeniem, czyli bitwą, jest już ustalony we wzorach Chaosu.

- Czy to prawda, Róźdzko?

- Brzmi naiwnie, ale słusznie. Ktoś bada wstecz układ zbieżnych osi, idąc od przyszłego skutku do zaistniałej w przeszłości przyczyny. Stoimy na przeciwległych końcach tego samego łańcucha przyczynowego, katalizując serię zdarzeń, które grożą wszechświatowi wielkim pożarem. Nawiązując do porównania Kasdei, można powiedzieć, że niedawna zasadzka, mająca nie dopuścić do znalezienia gwoźdźcia stanowiła próbę zniszczenia podkowcy.

- W takim razie, co stanie się dalej? - spytał Wildheit.

- Myślę, że w następnej kolejności będą usiłowali zastrzelić konia - uśmiechnął się ponuro Kasdeya. - Zdaje się, że niesłusznie posadziłem Sarayę o nieznamość tej gry. Szkoda gadać, ten chytry lis wymyślił własną grę, stosując całkowicie nowy zbiór prawideł własnego pomysłu. Mistrzowskie pociągnięcie. Inspektorze musimy opuścić tę strefę, zanim przyślą posiłki. Chcę naradzić się z załogą, a potem chyba będziemy mieli dla ciebie pewną propozycję.

- Czy uzyskałem dla nas wolność?

- Nie tylko - osiągnąłeś znacznie więcej. Weź broń z powrotem, inspektorze, jeżeli ma ci to dać lepsze samopoczucie. Zamierzamy przygotować statek do szybkiego lotu. Na dźwięk alarmu, oznaczającego skok w przestrzeni, połóżcie się i zaciśnijcie zęby na czymś miękkim. Wydostanie się stąd będzie przykre.

W czasie, gdy pięciu z załogi krzątało się przy układzie sterowania statkiem, Wildheit z Róźdzką udali się w kierunku ładowni, w której została broń. Znowu uderzyła go osobliwa konstrukcja statku. Wildheit miał wrażenie, iż wszystkie problemy techniczne były tu rozwiązane mądrze, lecz zostało to dokonane przez kulturę całkowicie mu obcą. Było w tym statku coś obcego, chociaż z pewnością zaprojektowały go, skonstruowały i wykorzystują istoty ludzkiej cywilizacji, jednakże taką możliwość odrzucały zarówno jego przeczucia jak i wiedza. Wiedział o istnieniu we wszechświecie całkowicie obcych kultur, lecz nie znał poza Terra żadnej innej planety, która zrodziłaby rasę ludzką.

Wildheit odzyskał pas z bronią i sprawdził zapas pocisków i pojemników z gazem. Niezbyt oszczędne używanie broni, odkąd pozyskał Jasnowidza Chaosu, nadwyrężyło stan amunicji. Można by ją uzupełnić tylko w jednej z baz strategicznych, rozsianych na terenie galaktyki. Mimo to wciąż był dostatecznie uzbrojony, by stoczyć całkiem dużą bitwę, jeśli zajdzie konieczność.

Znajdowali się jeszcze w ładowni, gdy rozległ się alarm, zapowiadający skok przestrzenny. Posłuszni instrukcjom, padli na pokład - Róźdzka zagryzając kawałek zwiniętej tkaniny, a Wildheit z wciśniętym między szczęki podwójnie złożonym bandażem. Skok rozpoczął się. Najpierw tym samym zmysłowym dreszczem, którego doświadczyli już wcześniej. Następnie dreszcz osiągnął dziwne wyżyny, przywołując zarówno rozkosz, jak i męczarnie, jedno i drugie na granicy wytrzymałości. Ponad ramieniem Wildheita bezszelestnie unosiło się zaniepokojone, symbiotyczne bóstwo, sięgając swymi nieziemskimi mackami w głąb, aż do serca Nad-inspektora.

Podczas gdy ciało Wildheita poddane było ciężkiej próbie, jego umysł rozpaczliwie usiłował zanalizować osobliwy charakter zjawiska. Przy znanych mu skokach w podprzestrzeń unikano relatywistycznych ograniczeń prędkości światła, stosując zjawisko tunelowe, które przeprowadzało statek przez zakazaną strefę prędkości światła w przestrzeń tachionową. Na obszarze, gdzie nic nie porusza się z mniejszą prędkością niż światło, znane prawa fizyki zostają odwrócone. Jeżeli w czasie trwania skoku nie zachodzą żadne zmiany prędkości, skutki wywołane przez względność podczas wchodzenia i opuszczania przestrzeni tachionowej znoszą się wzajemnie i nie następuje zjawisko dylatacji czasu.

Ten skok, który poddała ciała Wildheita i Róźdzki takim torturom, miał zupełnie odmienny charakter. Nad-inspektor doszedł do wniosku, że odbierane przez nich wrażenia były symptomem próby adaptacji zmysłów do przyrostów zmieniającego się czasu. Statek w jakiś niezrozumiały

sposób nie przekroczył granicy prędkości światła, lecz przesuwiał się przez nią tak jak przez sieć, przemykając przez przypadkowe przerwy ściany światła na podobieństwo wody przesączającej się przez kamienne podłoże. Siła tego zjawiska nie była stała, lecz zmieniała się nieustannie, atakując falami.

Wildheitowi udało się zerknąć na Róźdzkę. Zagrożający jego własnej świadomości natłok wrażeń podwoił niepokój o dziewczynę. Czy ta ciężka próba nie przekracza przypadkiem jej wytrzymałości? Odkrył w twarzy Róźdzki coś, co zarówno rozproszyło jego obawy, jak i wstrząsnęło nim. Ujrzał ten sam spokój, co wówczas, gdy znalazł dziewczynę w kabinie statku Rhaqui, z dwiema Cygankami u jej stóp. Był wyrazem jakiejś straszliwej wewnętrznej siły, znacznie przewyższającej jego własną. Przypomniał sobie pożegnalne słowa Pilona na Mayo: "... traktuj gwiazdy łagodnie, maleńka. Może kilka z nich przetrwa".

Obliczywszy przypuszczalną ilość istnień ludzkich, które uległy zagładzie od chwili wypowiedzenia tej przestrogi, nad-inspektor uwierzył Pilonowi, że reszta wszechświata nie jest jeszcze gotowa do kontaktów z jasnowidzami.

Gwałtowny wstrząs następnej fazy skoku ugodził w nich z taką siłą, że nawet Róźdzka krzyknęła. Pochwyciła ich miazdząca fala ciemności, która usiłowała jak gdyby wyssać z nich życie, pozostawiając jedynie pustą, cielesną powłokę. Wildheit walczył z tym doznaniem, lecz wkrótce mu uległ. Czuł, jak jego ciało brutalnie pozbawione jest sił witalnych i nie może się temu oprzeć. Wkrótce czas stracił dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Gdy po upływie bliżej nieokreślonej chwili odzyskał świadomość, stwierdził, że wszelkie związane ze skokiem wrażenia ustały. Róźdzka usiłowała sprawiać wrażenie, jakby nie stało się nic szczególnego, ale miała wielce zdziwioną minę.

Wildheit podniósł się i pomacał głowę, chcąc upewnić się, że jest cała. Coul, zgaszony, przycupnął na ramieniu nad-inspektora.

- Ach! - rzekł Wildheit. - Kiedy ci chłopcy zapowiadają, że skok będzie przykry, to z pewnością nie można im zarzucić przesady.

- "Ci chłopcy", jak ich nazywasz, mają wzory, z których odczytać można przeszłość aż do początków zarejestrowanej historii Terry. - Coś trafiło Róźdzkę. - Gdzie teraz jesteście? - spytała.

- Po takim skoku mogliśmy znaleźć się w dowolnym punkcie galaktyki.

- Nie miałam na myśli położenia w stosunku do gwiazd. Chciałam spytać, w którym wszechświecie.

- Hm! Wydaje mi się, że mamy kłopoty z definicjami. Dla mnie termin "wszechświat" obejmuje wszystko. Wszystkie planety, wszystkie galaktyki, całą przestrzeń - po prostu wszystko. Istnieje tylko jeden wszechświat, ponieważ z samej definicji wynika, iż zawiera on wszystko.

- To nie tak! - uczyniła gest sprzeciwu. - Przed Wielkim Wybuchem istniał jeszcze inny wszechświat. Na początek mamy już zatem dwa.

- Wierzę ci na słowo. Jednak nie przekonuj mnie, że skoczyliśmy we wszechświat przed Wielkim Wybuchem.

- Nie w tamten, ale w inny, podobny.

- Skąd ten pomysł?

- Nad-inspektorze Jym, ja potrafię odczytywać wzory. Na obszarze, w który obecnie wkroczyliśmy entropia maleje wraz z czasem.

- To niemożliwe!

- Dlaczego? Kierunek entropii jest jedynie symptomem rozszerzania się wszechświata. A ten się kurczy. Nasz rozpoczął się wraz z Wielkim Wybuchem. Ten się wraz z nim skończy.

- Masz nade mną przewagę. Nie mam możliwości sprawdzenia, czy to co mówisz, jest prawdą.

- Przejdźmy zatem do sterowni! Być może gwiazdy opowiedzą nam swą historię.

Wildheit pełen wątpliwości czy po niedawnych przeżyciach Róźdzka zdoła znieść kolejne napięcia, podążył za nią. Gdy dotarli do celu, Nad-inspektor zwątpił czy on sam znieśie to, co

przyjdzie mu oglądać. Ponad rozpiętą nad sterownią spłaszczoną, przezroczystą kopułą rozciągał się niezmacony widok na kosmiczną hemisferę. Okazało się, że światło omyłkowo wzięte przez Nad-inspektora za sztuczną, bardzo silną iluminację pomieszczenia, było niczym innym, jak światłem gwiazd o niewyobrażalnym wprost blasku.

Poczuł się jak zamroczony. O nagły zawrót głowy przyprawiła go świadomość realności niezliczonej masy gwiazd, tak wspaniale rozmieszczonych w przestrzeni. Gołym okiem widać było miliardy nieprawdopodobnie gęsto rozsianych gwiazd, tworzących świetlny mur, przez który z trudem dało się dostrzec ciemne zakamarki. Chociaż Nad-inspektor miał niezachwianą pewność, że każdą gwiazdę dzieli od sąsiednich wiele lat świetlnych, trudno mu było uwierzyć, że nie zagraża im niebezpieczeństwo katastrofalnego zderzenia. To, co widział, stanowiło tylko część wielkiego układu galaktycznego. Galaktyka ta była tak ściągnięta w przestrzeni, że zagęszczenie gwiazd musiało być nieporównywalnie, wiele milionów razy większe, aniżeli w jakimkolwiek znanym przez Wildheita układzie w jego wszechświecie.

Zatrważające wydało mu się prawdopodobieństwo, że wiele miliardów podobnych galaktyk - każda z podobnym gwiazdozbiorem - będzie nadciągać z kurczącego się wszechświata, dążąc, do ostatecznej zagłady. W tym momencie materia całego wszechświata powróci do wielkiej, ostatecznej jedności, która stanie się początkiem. Czego? Wielkiego Wybuchu, czy całkowitego unicestwienia?

Kasdeya przesunął się bezgłośnie za ich plecami i wyregulował natężenie pól polaryzacyjnych w kopule - tak, by przyćmić gwiazdne światło do poziomu wciąż jeszcze imponującego, lecz bardziej znośnego.

- Nad-inspektorze Wildheit - przemówił - obiecałem, że będę miał dla ciebie propozycję. Moi koledzy jednogłośnie zgadzają się z tym, co chcę powiedzieć.

Kasdeya podszedł do pulpitu sterowniczego, podciągnął się, by móc na nim usiąść, po czym odwrócił się przodem do Wildheita i do Róźdzki. Skośnie padające promienie przyćmionego, gwiazdnego światła wydobywały na jego twarzy tysiące zmarszczek. Wildheit uwierzył przez chwilę, że mężczyzna rzeczywiście jest tak stary, jak twierdziła Róźdzka. Stojąc na pokładzie tego z lekka obcego statku, w nieprawdopodobnym gwiazdnym świetle i towarzystwie dwóch równie nieprawdopodobnych osób - Kasdei i Róźdzki, zdał sobie nagle sprawę tak z dramatyizmu, jak i z nierealności sytuacji. Była to chwila poza czasem, w której wszystko mogło się zdarzyć. Następane słowa Kasdei w pełni pasowały do nastroju.

- Nie bardzo wiem od czego zacząć, ponieważ jest wiele spraw, o których nie masz pojęcia. Myślę, że Róźdzka dzięki unikalnym zdolnościom percepcyjnym w połowie odgadła już prawdę. Dla ciebie, inspektorze, ta historia okaże się najbardziej niewiarygodna ze wszystkich, jakie kiedykolwiek ci opowiadano. Wystarczy stwierdzić, że gdyby nie była prawdziwa, żaden z nas nie znajdowałby się w tym miejscu i w tym czasie.

- Czy twoja opowieść ma jakiś związek z Bronią Chaosu? - spytał Wildheit.

- Istotnie ma, jak się wkrótce przekonasz. Zaczniemy jednak od momentu, który jest ci już znany. Jak mówiła ta mała, ktoś bada wstecz układ zbieżnych osi, idąc od przyszłego skutku do zaistniałej w przeszłości przyczyny. Wy dwoje stoicie na przeciwległym końcu tego samego łańcucha przyczynowego.

- Rozumiem znaczenie twoich słów, Kasdeya. Nie pojmuję jednak przyczyny.

- Przyczynę najłatwiej zrozumieć wtedy, gdy uzna się istnienie dwóch wszechświatów - twojego i tego, w którym obecnie się znajdujemy.

- Za dowód muszę przyjąć to, co widzę. We wszechświecie, który znam, nie istnieje tego typu koncentracja gwiazd.

- Doskonale! Oszczędzi mi to wielu wyjaśnień. Jest jednak jedna rzecz, o której nie miałeś sposobności się dowiedzieć: mieszkańcy tego wszechświata, których skrótowo będę nazywał Ra, już od dawna są świadomi dwoistości continuum. Odkąd ich wszechświat skazany został na zagładę, w twoim zaczęli upatrywać możliwości kontynuacji istnienia. To oni właśnie władają

Bronią Chaosu. Jest to część oręza, dzięki któremu chcą dokonać podboju. To Ra zaniepokojeni są zagrożeniem, które wy oboje stanowicie.

- Nadal nie rozumiem, na czym polegać ma to zagrożenie.

- W Centrum Chaosu poza Sarayą autorytet masz tylko ty. Udziel Sarai w tej całej sprawie wyjdzie na jaw trochę później, a póki co uznajmy, że jest jednym z Ra, a zarazem ich śmiertelnym wrogiem. Przez wiele lat prowadził badania Chaosu, poszukując przyczynowego zapalnika, który powstrzymałby plany Ra, albo nawet całkowicie je zniweczył. Sądząc po gwałtownych wysiłkach ze strony Ra, by cię powstrzymać, przypuszczam, że Sarayą znalazł wreszcie właściwy zapalnik. Są nim: Jasnowidz Chaosu i Nad-inspektor Przestrzeni, wspomagani przez pięciu najbardziej zaciekle przeciwników Ra.

- Wspomagani?

- Tak jest, Nad-inspektorze. Myślę, że Sarayą wziął nas wszystkich pod uwagę. Twój wróg jest również naszym odwiecznym wrogiem. My mamy nad nimi przewagę w postaci wiedzy i możliwości poruszania się między obydwojma wszechświatami, ty przewagę pewnych powiązań z Chaosem. Proponuję byśmy zjednoczyli nasze siły.

- Pod warunkiem, że odpowiesz mi na piekielnie dużo pytań. Kim właściwie jesteś, Kasdeya?

Zapytany westchnął.

- Mówiłem już, że będzie to najbardziej nieprawdopodobna historia, jaką ci kiedykolwiek opowiadano. No dobrze, oto ona. Przejście przez continuum, którego właśnie doświadczyłeś, jest zawsze trudne, niebezpieczne i przykre. Do niedawna budowa statków kosmicznych, które zdolne były wykonać taki przeskok, trwała całe lata. Pojazdy o ograniczonej wielkości mogły pomieścić najwyżej dziesięć osób. Jeszcze kilka lat temu masowa wędrówka ze starego wszechświata do nowego była właściwie niemożliwa. Pionierzy przejść przez continuum zdawali sobie sprawę z tego faktu i dokonywali inwazji na nowy wszechświat z zapalem kolonizatorów. Niestety, musi istnieć określona minimalna wielkość samowystarczальной kolonii, dlatego też wszystkie te pionierskie, ryzykowne przedsięwzięcia nie powiodły się. Kiedyś jeden ze statków oblatujących nowy wszechświat natknął się na krainę, którą zamieszkiwały stworzenia tak podobne do ludzi, iż problem kolonizacji został szczęśliwym trafem znakomicie rozwiązany. Pionierzy, stosując zabiegi genetyczne i krzyżowanie gatunków, przeszczepili, w metaforycznym sensie, człowieka na teren samowystarczальной kolonii zwierzęcej. I ta przetrwała.

- Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie.

- Istotne jest przede wszystkim ustalenie, kim jesteś, Nad-inspektorze. A więc świat nazywa się Terra, zwierzęciem - Neandertalczyk, a w wyniku skrzyżowania gatunków powstał Cro

- Magnon - przodek Homo Sapiens.

10.

Wildheit walczył intensywnie z myślami, aż spytał.

- Uważasz, że Homo Sapiens nie rozwinął się na Terze? - Jego ewolucja zatrzymała się na Neandertalczyku. Podobnie jak w przypadku wielu jego odmian, było to ostatnie stadium. Żaden z ziemskich ssaków naczelnych nie miał cechy, która dawałaby mu przewagę nad innymi. Tak, tak, inspektorze. Dopiero dzięki naszej interwencji Neandertalczyki obdarzeni zostali najpierw inteligencją, a później kulturą. Impuls ten sprawił, że zeszli z drzew i opuścili jaskinie, by udać się w przestrzeń.

- Ty również jesteś jednym z Ra?

- Cała piątka, i Sarayą, i jeszcze paru innych. Wszyscy jesteśmy stamtąd. Stanowimy pozostałość ostatnich ekip, opiekujących się młodą kulturą pochodzącą ze skrzyżowania gatunków. Cro - Magnon przejawiał skłonności do łączenia się w pary ze swoimi bardziej zwierzęcymi braćmi, wielokrotnie kalając rasę. Kolonia przetrwała stulecia wyłącznie dzięki powtarzającej się ingerencji i selekcji w obrębie gatunku. Wreszcie batalia została niemal wygrana i ustaliła się jednolita genetyczna tożsamość Homo Sapiens. Za to zwycięstwo wyklęto was.

- Wyklęto?

- W przenośni. Realia były o wiele bardziej przykre, Dawne załogi przechodzące przez continuum miały ocalić przyszłość człowieka przed masakrą grożącą ze strony kurczącego się wszechświata. Dokonały tego siejąc rozum w nowym wszechświecie. Jak już wspomniałem, ta praca trwała o wiele za długo. Tymczasem wśród Ra następowała zmiana nastrojów. I nagle okazało się, że nie chodzi już o przetrwanie rodzaju ludzkiego, ale ich samych.

- Całkiem ludzka reakcja.

- Prowadząca do nieprzewidywanych następstw. W miarę, jak zmniejszał się stary wszechświat, całe galaktyki pod wpływem rosnącego naporu zaczęły zraszać się w jedną całość. Granice dziesiątków tysięcy zaludnionych światów zacierały się. Czas się wyczerpywał. Czego właściwie dokonały ekipy pionierów? Masowe przekraczanie continuum, wciąż było niemożliwe i okazało się, że w rzeczywistości ekipy te ofiarowały cały nowy wszechświat nie Ra, lecz nowej rasie ludzkiej.

- Sytuacja zrodziła zjawisko znane pod nazwą Wielkiego Gniewu. Załogi przekraczające continuum zostały doszczętnie zniszczone przez gwałtowny przypływ niewiarygodnej zawziętości i przemocy. Zaledwie kilku ekipom udało się uciec. Byliśmy jedną z nich, a po to, by przeżyć, musieliśmy czmychnąć przez styk w głąb naszego wszechświata.

- Kiedy się to wszystko działo?

- Około trzech tysięcy lat przed rozpoczęciem ery obowiązującego was czasu. Kiedy wybuchnął przeciwko nam Wielki Gniew, pracowaliśmy w pięciu przy zakładaniu sumeryjskich miast - państw.

- Przecież to było siedem tysięcy lat temu - zaprotestował Wildheit. - Czyżbyście byli nieśmiertelni?

- W takim samym stopniu jak i ty. Weź pod uwagę fakt, że przejście przez continuum wymaga bezpośredniego przekroczenia bariery prędkości światła, a nie jak przy waszych skokach w podprzestrzeni, omijania jej. Dlatego wszystkie pojazdy przechodzące przez continuum zdolne są do lotów z prędkością światła. Owszem, tropiono nas i ścigano, jednak zawsze mogliśmy się wymknąć. Jako ludzie bez domu, zdesperowani, byliśmy gotowi na jedno poświęcenie, na jakie naszych prześladowców nie było stać.

- Co to takiego?

- Dylatację czasu. Nasze subiektywne poczucie czasu, przy 99,999% prędkości światła, redukowało każde przemijające w rzeczywistości stulecie do sześciu miesięcy. W ciągu siedemdziesięciu wieków które upłynęły, postarzeliliśmy się tylko o trzydzieści waszych lat. Nasi prześladowcy, mając rodziny i dzieci w swym własnym czasie, nie mogli sobie pozwolić na tego rodzaju poświęcenie.

- Przecież oni wszyscy od dawna nie żyją. Z pewnością już cię nie ścigają.

- Wielki Gniew był tak potężny, że nawet ich potomków nauczono nienawiści do nas. Mniej więcej co sto lat porzucaliśmy nasz czas w nadziei, że już zapomnieli. Za każdym razem odnajdowali nas jednak i zmuszali do ucieczki w przyszłość. I to jest powód, dla którego proponujemy połączyć nasze siły, Nad-inspektorze. Po siedmiu tysiącach lat gonitwy nieśmiertelność już nas zmęczyła,

- Czy Saraya należał również do ekipy, która przeżyła?

- Saraya, Dabria, Selemia, Ethan i Asiel. Różnili się między sobą, ale wszyscy byli pełni poświęcenia. Pomimo, że Wielki Gniew zmusił ich do ucieczki w strefę dylatacji czasu, nadal przez całe stulecia pielęgowali stworzoną przez siebie młodą kulturę, aż do stanu jej dojrzałości. Wydaje mi się, iż ten czyn nadawał jakiś cel ich przekreślonemu życiu. Osiadali kolejno w przemijających stuleciach, by resztę życia przeżyć w normalnym tempie. Chyba jeszcze tylko Dabria i Saraya pozostali.

- Dlaczego sądzisz, że Saraya nie wie, co się dzieje?

- My nadal wyprawiamy się w stary wszechświat, a on tego nie robi. Zaszły wielkie przemiany, których może nie być świadom.

- Jakie przemiany?

- Ra udoskonalili przede wszystkim technikę Chaosu. Jest ona obecnie tak dobra, że pozwala przewidzieć nasze posunięcia na całe stulecia naprzód. Ilekroć wynurzamy się ze strefy dylatacji czasu, zastajemy oczekujące na nas ich flotylle. Zresztą nie w tym leży najgorsze zło.

- A w czym?

- Saraya może nie wiedzieć jeszcze jednego. Ra rozwiązali problem masowego przekraczania styku continuum. W końcu opuszczanie własnego wszechświata i wędrówka do naszego stały się dla nich realne, I cóż tu zastają? Uzbrojoną Federację Galaktyczną, zajmującą większość zamieszkałych planet w obrębie jednej galaktyki i przygotowaną do rozprzestrzenienia się na inne - słowem potężnego uzurpatora, który okupuje wszechświat od wieków przyrzeczony Ra.

- Wielki Gniew zostaje w ten sposób wzniecony na nowo. Czy to dlatego Ra używają Broni Chaosu przeciw Federacji?

- Tak. To polityka burzenia porządku i osłabiania. Ze względu na długość linii dostaw wojskowych Ra nie byłoby w stanie prowadzić w przestrzeni żadnej większej wojny z siłami Federacji. Zaatakują dopiero wtedy, gdy cała konstrukcja zacznie rozpadać się na kawałki.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - powiedział Wildheit. - W nowym wszechświecie człowiek jako gatunek zamieszkuje tylko jedną galaktykę - stanowiącą drobną cząstkę całości. Czy nie znalazłoby się tam również miejsce dla Ra?

- Nad-inspektorze, techniczne problemy podróży między - galaktycznych zostały już rozwiązane. Federacyjne statki kolonizacyjne przekraczają pustą przestrzeń. Wyobrażasz sobie, w jak fantastycznym tempie może rozmnażać się ludzkość przy nieograniczonej przestrzeni i możliwościach. Zajmując dziś jeden świat, będziesz za sto lat potrzebował ich tysiąc, a za dwa stulecia - milion. Chcesz się założyć, czy za pięćset lat wszechświat będzie na tyle duży, aby pomieścić was i Ra?

- Masz rację. Jednak jak Saraya może myśleć, że uda mu się ich powstrzymać?

- Przypuśćmy, że opracowujesz taktykę bitwy, mając dostęp do spisanych historii z przyszłości. Ustalasz plan bitwy i jej skutki. Jeśli stwierdzisz, że zostałeś pokonany, wycofujesz się, by jeszcze raz przemyśleć taktykę. Potem znów sprawdzasz historię.

- Czy historię przyszłości można odczytać z wzorów Chaosu?

- W najogólniejszym sensie tak. Możesz przepowiedzieć szczyty entropii i zlokalizować je. To ci nie odpowie, kto zwycięży, ale dowiesz się z pewnością, czy wielkie wybuchy nastąpią w obrębie twego świata, czy też ogień zapłonie u twojego przeciwnika. Historia ma swoje kaprysy - czas, zbiegi okoliczności, oddziaływania jednostek wpływają na skutki w sposób całkowicie

niewspółmierny. Są katalizatorami zdarzeń. Jeśli uda ci się zlokalizować i opracować właściwą kombinację katalizatorów, możesz w dowolny sposób pokierować reakcją.

- I to właśnie robi Saraya?

- Tak. A Ra o tym wie. Pokładają nadzieję w Broni Chaosu i liczebnej przewadze. Saraya, nie posiadając takich możliwości obrony własnej młodej kultury, zajął się badaniem katalizy.

Wildheit odnalazł regulator polaryzacji i przywrócił fantastycznemu polu gwiazdnemu nad kopułą poprzednią jasność. Stał wpatrzony w przyprawiającą o zawrót głowy konfigurację gwiazd. Róźdzka także spoglądała w górę. Zachowywała całkowity spokój, w przeciwieństwie do Nad-inspektora, którego przygnębiała straszliwa perspektywa walki z tymi wszystkimi gwiazdami. Spokój Róźdzki opierał się na przeraźliwej pewności, że przewaga rzędu tysięcy miliardów do jednego nie jest specjalnym problemem. W tym - właśnie momencie Wildheit miał okazję zastanowić się, dlaczego Dabria uznał za słuszne, by poświęcić resztę życia usiłowaniami zapanowania nad jasnowidzami.

Gwałtowny spadek natężenia gwiazdnego światła sprawił, że wszyscy troje spojrzeli nagle w górę. Niedaleko od statku ukazał się szereg olbrzymich pojazdów kosmicznych. W sterowni i na całym statku rozległa się seria dzwonek alarmowych. Kasdeya zaklął i rzucił się do pulpitu sterowniczego. Gdy był w połowie drogi, następane cztery wielkie maszyny przesłoniły widok gęsto rozsypanych gwiazd.

- Co się dzieje? - spytał Wildheit.

- Ra! Tym razem niszczyciele. Nie uda się ich wystrzelać jak kaczki. Nie mamy ani promieni, ani pocisków, które mogłyby przebić takie osłony.

Jequ i Asbeel wbiegli do pomieszczenia i zajęli pozycje przy przyrządach.

- Myślę, że tym razem, inspektorze, przybyli, aby zastrzelić konia - wykrzyknął Jequ z wymuszonym uśmiechem.

- Kasdeya walił dłońmi po przyrządach kontrolnych. Potężny ryk nieznanymi silnikami narastał, wznosząc się ku ultradźwiękom. W miarę, jak tony stawały się coraz bardziej piskliwe, wszystkich przeszywał lekki dreszcz. W momencie osiągnięcia przez nie przełomowej częstotliwości wygasły światła gwiazd. Przedtem jeszcze statkiem wstrząsnął szereg potężnych, bezgłośnych wybuchów. W kilka minut później gwiazdne światło znów rozbłysło, lecz pochodziło już z innych gwiazd, z innych konstelacji. Po upływie kilku sekund olbrzymie okręty wojenne również zajęły swoje pozycje, a niemal równocześnie nastąpiła kolejna seria bezgłośnych wybuchów. Kasdeya położył ręce na przyrządach, wysyłając statek w kolejny skok. Kiedy wyłonili się w normalną przestrzeń zastali niszczycieli na pozycjach gotowych do ataku. Silne wybuchy następowały bardzo blisko. Tylko cud sprawił, że przeżyli. Natychmiast powrócili do bezwzględnej strefy przejściowej, ale twarz Kasdei przybrała grobowy wyraz.

- Gdyby nie ta ich coraz większa dokładność, stałoby się to nudne - stwierdził Wildheit.

- Zgadza się! - skrzywił się Kasdeya. - Teraz widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o ich biegłości w sprawach Chaosu. Przewidują nasze przybycie z dokładnością do kilku sekund, a pozycję co do kilku metrów. W najlepszym wypadku mamy szansę wynurzyć się jeszcze ze dwa razy, nim będą nas mieli na muszce. Jedynym sposobem, żeby się ich pozbyć, jest wejście w strefę dylatacji czasu.

- Nie! - ten okrzyk był pierwszym słowem, jakie po dłuższej przerwie wydała z siebie Róźdzka. - Czy nie widzisz, że im właśnie o to chodzi?

- Co takiego? - Kasdeya gwałtownie podniósł wzrok.

- Oczywiście, że tak! To dla nich jedyna droga do zwycięstwa - skierowanie katalizatorów Sarai w tak odległą przyszłość, aby móc dokonać inwazji, zanim się ponownie uaktywnimy.

- Czy to coś gorszego niż zniszczenie wszystkich katalizatorów naraz? - dłoń Kasdei zawisła niepewnie nad przyrządami sterowniczymi. - Masz jakieś lepsze pomysły?

- Czy nie ma na pokładzie czegoś takiego, czym można by zniszczyć statki tam, w przestrzeni?

- Dysponujemy mnóstwem min, które zrobiłyby tę robotę. Tylko trzeba je porozmieszczać. To nie pociski, którymi możemy strzelać do celu. Ra z pewnością nie zamierza wisić w przestrzeni i czekać, aż obsiejemy minami cały sektor.

- Nad-inspektorze Jym - dziewczyna zwróciła się do Wildheita - w jaki sposób możemy użyć tych min?

- Ile czasu zajmuje rozmieszczenie ich w przestrzeni? - ten z kolei spytał Kasdeyę.

- Są napędzane gazem, aby mogły szybko oddalić się od pojazdu. Potrzeba około minuty na to, żeby dotarły do miejsc, w których pojawią się okręty Ra.

- Zatem trudność polega na pojawieniu się w określonym punkcie na minutę przed czasem podanym przez przepowiednię Chaosu. Czy to jest do zrobienia Róźdzko?

- Mogę przewidzieć miejsca wyznaczone przez wzory Chaosu i powiedzieć Kasdei, jak dokonać wyprzedzenia. Aby równanie Chaosu zostało spełnione, będziemy musieli pozostać w tej pozycji przez całą minutę.

- Dlaczego?

- Ponieważ po to, by uzyskać zgodność z wzorem Chaosu, musimy tam być wtedy obecni. Jeśli nie spełnimy tej części równania, wzór Chaosu trafi poza rzeczywiste miejsce naszego wynurzenia się z przestrzeni, a nie w punkt, który chcemy upozorować.

- Ten wywód przekracza możliwości mojego pojmowania

- powiedział Wildheit. - Spróbujmy jednak.

- Za duże ryzyko - przecząco potrząsnął głową Kasdeya.

- Jeśli dziewczyna się pomyli, a my będziemy usiłowali przesiedzieć tam pełną minutę, równać się to będzie wyrokowi śmierci.

- W jaki sposób mogę się omylić, idioto! - głos Róźdzki pozostał spokojny. Jednak Wildheit zauważył, że na jej twarzy pojawił się najzwyczajniejszy przebłysk gniewu. Nie mógł się zdecydować, czy było to młodzieńcza reakcja, czy też Kasdeya dotknął jakiegoś bolesnego punktu. Obawiał się, że stało się to drugie, więc przejął inicjatywę.

- Jequn, uzbrój miny - powiedział stanowczo. Zawiadom mnie, jak będą gotowe. Kasdeya ustaw czas według wskazań Róźdzki. Róźdzko, jak tylko Jequn będzie gotów, określ nam tę jedną minutę, której potrzebujemy.

- Czemu przypisać tę nagłą stanowczość? - Kasdeya wciąż był nastawiony krytycznie.

- Co za pożytek z katalizatora, jeśli nie ma on wpływu na reakcję? Nie jesteśmy na pozycji umożliwiającej odpieranie ognia, dlatego spróbujemy odeprzeć Chaos Chaosem.

Kiedy padł rozkaz Róźdzki, ławice gwiazd ponownie znalazły się w polu widzenia, wielkie statki kosmiczne zniknęły ze sceny. Jequn, posłuszny instrukcjom Wildheita, odpalił serię min. Przez krótką chwilę widać było, jak smugi dymu wydostawały się ze statku śladem rozsiewającej się w przestrzeni śmiercionośnej broni. Potem nastąpiła cisza. Nikt nic nie mówił. Napięcie, wyraźnie wzrastało w miarę mijających sekund. Przełomowa minuta upłynęła i nic się nie wydarzyło.

Rozczarowany Kasdeya wpadł w gniew.

- Mówiłem, że ta gęś jest pomyłona! Teraz nie wiemy, kiedy do diabła, znów nas napadną.

- A może tchórzostwo zmusiło cię do wykonania dodatkowego czasowego skoku w przestrzeń? - spokojnie spytała Róźdzka.

- Co?! - Kasdeya zamachnął się, by uderzyć ją grzbietem dłoni. Cios jednak chybił celu. Udaremniała zamach z niewiarygodną szybkością i wykręciła do tyłu rękę atakującego. Nagle pojawiły się okręty wojenne. Natychmiast rozpoczęło się niezwykle widowiskowe dzieło zniszczenia. Wszystkie jednostki eksplodowały tak świetlistym ogniem, że polaryzatory w kopule sterowni przysłoniły pole widzenia usiłując odciąć gwałtowną i niebezpieczną falę promieniowania.

Upłynęły dokładnie dwie minuty, zanim gwiazdy znów stały się widoczne. Ukazała się wówczas przestrzeń wypełniona olbrzymimi kulami rozżarzonego metalu, które buchały iskrami ognia. Były to jedyne pozostałości wielkich, posepnych okrętów.

- Wynośmy się stąd!

Asbeel zajął miejsce Kasdei przy sterach. Ten ostatni, blady i ponury, przyciskając silnie nadwerżone ramię, śmiało spoglądał na niewiarygodnie spokojną Róźdzkę.

- Ty piekielna suko! Dlaczego to zrobiłaś?

- Myślałaś, że będę stać i czekać, aż mnie uderzysz? Zapamiętaj sobie, że potrafię przewidzieć twoje zamiary, zanim sam podejmiesz decyzję. Jeśli następnym razem ty lub ktokolwiek inny spróbuje czegoś takiego, pozabijam was.

- Co zrobisz? Ty nieopierzona gąsko! - Kasdeya nie mógł uwierzyć własnym uszom. Niemalże dławił się z niedowierzenia. - czyżbyś nie wiedziała, jaką opinią się cieszę? - Już zaczął podnosić drugą rękę i wygrażać nią, kiedy zorientował się, że spogląda właśnie na wylot lufy jednego z miotaczy Wildheita.

- Skończcie już z tym! - krzyknął Nad-inspektor. - Czy nie sądzicie, że z całym wrogim wszechświatem na karku mamy dość nieprzyjaciół? Nie potępiam cię za to, co się stało Róźdzko. Jednak dobrze byłoby, gdyby zostało nam kilku sprzymierzeńców, skoro teraz właśnie zabieramy się za Ra. Lepiej unieruchomić to ramię, Kasdeya. Jequn, pomóż mu.

- Wydajesz rozkazy na moim statku? - spytał Kasdeya wojowniczo.

- Nie dlatego, żebym miał na to ochotę, uwierz mi. Jeżeli nie przywrócimy między nami zgody, to jesteśmy zgubieni.

- Na jakiej podstawie uważasz, że potrafisz przejąć dowództwo?

- Posłuchaj, co powiem. Róźdzka i ja w ciągu kilku godzin zlikwidowaliśmy więcej okrętów Ra, niż ty w ciągu siedemdziesięciu stuleci. Czy to nie wystarczający powód?

- Tak, ale...

- Jeżeli zostawimy ci zupełną swobodę działania, będziesz żył przez kolejne siedem tysięcy lat uciekając, aż wreszcie dogoni cię śmierć. A ja nie mogę sobie pozwolić na taką stratę czasu. Sam zaproponowałeś, abyśmy połączyli wysiłki. Zgadzam się, ale to ja będę podejmował decyzje i wydawał rozkazy, dopóki robota nie zostanie wykonana. Potem możesz pójść swoją drogą aż do samego piekła, w takim tempie, w jakim ci się uda.

Kasdeya skrzywił się cierpko. Najwyraźniej odczuwał straszliwy ból ramienia i nie był w nastroju do dalszej dyskusji.

- Doskonale! Spróbujemy po twojemu. Tylko niech ta głupia gęś nie wchodzi mi drogę. W przeciwnym razie pokażę jej kilka sposobów użycia siły, których nie będzie w stanie przewidzieć.

Wildheit zobaczył kątem oka, jak Róźdzka sprężyła się do skoku jak dzika tygrysyca. Nagle zatrzymała się i zastygła jak znieruchomiały posązek. Przewidziała zamiary Nad-inspektora - by ją zatrzymać chciał użyć pocisku z ładunkiem obezwładniającym. Obróciła się i spojrzała na niego oczyma pełnymi tłumionej furii.

- Tak, to dotyczy również ciebie, Róźdzko. - Wildheit był bezkompromisowy. - Może nie jesteśmy zbyt dobrze dobrani, ale w tym wypadku mamy cel nadrzędny - zniszczyć tę przeklętą Broń Chaosu. Nie myśl, że pozwolę, aby ktokolwiek stanął mi na przeszkodzie. Czy dałoby się jakoś nawiązać łączność radiową z Terra - zwrócił się do Asbeela.

- Żadnych szans. Przez styk continuum nie przedostanie się nic co jest oparte na zjawisku wzajemnych oddziaływań. Chyba, że ma się dostęp do czegoś takiego, jak Broń Chaosu, która powoduje naprężenia w samym continuum. Łączność radiową dałoby się uzyskać jedynie wtedy, gdybyśmy powrócili do nowego wszechświata. Czy to aż tak ważne?

- Saraya stworzył ten nasz zespół katalizatorów, więc przypuszczam, że wie jak go wykorzystać. Kłopot polega na tym, że zapomniał nam to powiedzieć. Nawet przy najbardziej [bujnej wyobraźni] byłoby bez sensu przyjąć wyzwanie całego wszechświata, dysponując jedynie naszą bronią - . Dlatego należałoby się dowiedzieć, co wymyślił Saraya.

11.

Mam duchową łączność z Tallothem. Nad-inspektor Hover chce z tobą mówić, ale przedtem ja chciałbym zamienić kilka słów z Tallothem. Wildheit, obudzony, zwałół się z koi i zapalił światło j w niewielkiej kabinie. Sprawdził chronometr, lecz chodziło mu raczej o przygotowanie własnej psychiki na niezwykle precedens - porozumiewania się symbiotycznych bóstw z ich własnej woli - aniżeli o ustalenie, która godzina.

- O co chodzi, Coul?

- To wszystko, do czego się przygotowujesz przeraża nawet nas - bogów.

- Świadomie do niczego się nie przygotowywałem. Ale proszę mów dalej.

- Już wcześniej zdarzył się taki kataklizm. Wielu z nas nie poddało się tej ciężkiej próbie.

Kiedy dochodzi do zderzenia wszechświatów, nawet wymiary się zmieniają, kształty wypaczają. Wielu z nas zginęło w czasie niezwykle burz, których nawet my nie potrafimy zrozumieć.

- Opisujesz kosmologie, które przekraczają moje zdolności pojmowania. Czego chcesz ode mnie?

- Pytanie dotyczy bardziej tego, czego ty oczekujesz od nas. W tym wymiarze jesteś moim wiernym i kochanym żywicielem. W zamian za to staram się od czasu do czasu ratować cię przed konsekwencjami twojej własnej głupoty. Jednak to, w co się pakujesz, wykracza poza wszelkie możliwości naszej interwencji. Nie odważymy się podążyć tam, dokąd zamierzasz wkroczyć.

- Innymi słowy, kiedy droga stanie się naprawdę wyboista, mam liczyć tylko na siebie?

- To właściwa interpretacja. Ludzie w swoim krótkim i jednowymiarowym życiu żywią pogardę dla śmierci. Nie mogą jej podzielać ci, którzy są nieśmiertelni i mają złożoną tożsamość. Dla wyrównania strat, zanim cię opuszczę, otrzymasz specjalne przywileje. Przez krótki okres czasu możesz mnie wzywać nawet w sytuacjach, które nie stwarzają śmiertelnego zagrożenia.

- Dziękuję za propozycję. Kiedy masz zamiar odejść?

- Pozostanę prawie do ostatniej chwili, a kiedy zorientujesz się, że już mnie nie ma na twoim ramieniu, będziesz wiedział, że nadciąga ostateczna katastrofa. Teraz, jeśli odprężysz się, przekaże ci przyziemne myśli Nad-inspektora Hovera.

- Jym! Dzięki Bogu, że żyjesz! - głos Hovera wydobywał się z ust Wildheita. - Piekielnie trudno było namówić Tallotha do nawiązania łączności. Upierał się, że nie grozi ci niebezpieczeństwo, które by to sankcjonowało.

- Prawdę mówiąc, w tej chwili jest to chyba prawda. Jak się miewają twoje nogi, Cass?

- Rosną lepiej niż syntetyczna cebula. Wczoraj przebiegłem milę w ciągu czterech i pół minuty. Przypuszczam, że pod koniec miesiąca zejść poniżej czterech.

- To wspaniale, że sobie z tego żartujesz. Czy ustalili już datę ich zamontowania?

- O mój Boże!

- Co się dzieje?

- Jym, jak ci się wydaje, ile czasu upłynęło od naszej ostatniej rozmowy?

- Gdy złapaliśmy kontakt, byłem na statku ratunkowym, zaraz po opuszczeniu Mayo. Myślę, że jakieś trzydzieści godzin.

- Jym, mój chłopcze, posłuchaj mnie uważnie. Tamta rozmowa miała miejsce prawie dwadzieścia miesięcy temu, a nie przed trzydziestoma godzinami.

- W takim razie naprawdę masz już nogi?

- Założone i sprawne. A na dowód mam nawet odciski. Co ci się u diabła, przytrafiło?

- Chyba się domyślasz. Wpadłem w towarzystwo paru typów, którzy nader beztrzesko obchodzą się z prędkością światła. Przypuszczam, że niektóre ich manewry pociągają za sobą wymierną dylatację czasu.

- W epoce podróży w podprzestrzeni? Gdzie ty teraz jesteś?

- Nie sądzę, abyś w to uwierzył, Cass.

- No to spróbuj!

- Jestem w zupełnie innym wszechświecie, razem z dzieckiem, które potrafi z głowy przepowiadać Chaos, z symbiotycznym bóstwem, które właśnie złożyło rezygnację i z pięcioma typami, którzy uprawiali socjologię około dwa tysiące przed naszą erą.

- Masz rację - nie wierzę ci. Chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż Saraya stoi tuż koło mnie i na wszystko, co mówisz, kiwa potakująco głową.

- Powinien. Przecież to on mnie w to wpakował. Spytaj go, co ma jeszcze w programie. ; Wildheitowi przerwało głośne i natarczywe stukanie do drzwi kabiny.

- Poczekaj, Cass. Wygląda na to, że mamy kłopoty.

Za drzwiami stał Gadreel. Z czoła spływał mu pot.

- Inspektorze, Ra szykują się do zmasowanego ataku. W przestrzeni pojawiło się wiele tysięcy statków. Kasdeya chce się z tobą zobaczyć

- Zaraz tam będę - odparł Wildheit, ponownie zamykając drzwi. - Cass, powiedz Sarai, że rozpoczyna się inwazja Ra.

- Tak jest! Klnie na czym świat stoi i mówi, że miał nadzieję, iż nie zrobią tego właśnie teraz. Przekroczywszy granicę między wszechświatami mogą sami wywołać nieszczęścia, a potem rozszerzać ich zakres przy użyciu Broni Chaosu. Czy rozumiesz to, Jym?

- I to bardzo.

- Dlatego trzeba koniecznie unieszkodliwić - raz na zawsze Broń Chaosu. Czy jesteś w stanie to zrobić?

- Nie wiem jak, ale mogę spróbować.

- Saraya mówi, że samo próbowanie nie wystarczy. Bezwarunkowo musi się udać.

- Jeśli to leży w ludzkiej mocy, dokonamy tego.

- Świetnie! Talloth zaczyna się denerwować, wobec tego przerywamy łączność. Uważaj na siebie...

Wszyscy łącznie z Róźdzką, udali się do sterowni. Włączono ekrany monitorów, choć i bez nich można było dostrzec niezliczona ilość świetlnych punkcików, poruszających się na tle gwiazd. Początkowa ocena Gadreela okazała się zaniżona, ponieważ tysiące statków przemieniło w dziesiątki tysięcy, a potem w setki tysięcy. Wędrowcy wyroili się z przestrzeni jak złociste owady i niezwykłym, imponującym warkoczem podążali w kierunku swej ziemi obiecanej.

Ekrany ukazywały powiększony i znacznie bardziej złowrogi obraz. Między niczym nie wyróżniającymi się statkami, które Wildheit uznał za transportowce, leciały równie liczne, paskudnie wyglądające pojazdy, które były niewątpliwie silnie uzbrojonymi, nowoczesnymi okrętami wojennymi. Czoło całej armady stanowiły olbrzymie jednostki bojowe, podobne do tych, przed którymi cudem umknął pojazd Kasdei. Swą liczebnością już dorównały siłom federacyjnych Wojsk

Przestrzeni, a nic nie wskazywało, by potężny strumień kosmicznych jednostek miał się kiedykolwiek skończyć.

- Czy to wszyscy się tu pchają, cały wszechświat? - spytał Wildheit. W jego głosie pobrzmiwała żalosna nuta.

- Nie te proporcje, inspektorze - odezwał się Kasdeya z ponurym uśmiechem. To siły pięciu układów gwiazdnych. Zaledwie zwiad. W tej galaktyce istnieje ze sto tysięcy zamieszkałych układów, a w tym wszechświecie, co najmniej sto miliardów galaktyk. Masz przed sobą najcieńszy skrawek najmniejszego z możliwych wycinków wszechświata.

- I oni boją się Federacji?

- Ich jednostki nie mają możliwości uzupełniania paliwa, ani amunicji. Tylko niektóre z nich wyposażone są dość dobrze, by móc odbyć podróż między wszechświatami w tę i z powrotem. Z logistycznego punktu widzenia znajdują się w skrajnie niekorzystnym położeniu. Okręty

Federacji mogą je zaatakować, a potem wrócić do bazy, gdzie zostaną naprawione oraz zaopatrzone w broń i paliwo. Ra muszą wozić ze sobą każdą najdrobniejszą rzecz. Dopóki nie uda im się założyć kolonii przemysłowo - dostawczych, stanowiących oparcie dla lotów w przestrzeni, co zajmie im najmniej dwadzieścia lat, nie mogą liczyć na żadną pomoc znikąd. Dlatego ta pierwsza część floty jest spisana na straty i jej zadaniem jest tylko zdobycie i utrzymanie przyczółka.

Wildheit wrócił do monitorów, usiłując pogodzić widok uzbrojonych, potężnych wojsk z opinią Kasdei, uważającego je za spisany na straty zwiad. Musiał przyznać, że różnica poglądów mogła wypływać z odmiennej skali, jednak zdrowy rozsądek zawodził go na widok nieprzerwanego, złocistego potoku statków, który płynął, jak się wydawało, z nieskończoności.

- Gdzie jest Broń Chaosu? - spytał nagle.

- Chwilowo umieszczono ją gdzieś na styku wszechświatów. Co masz zamiar zrobić, inspektorze?

- Chcę ja unieszkodliwić.

- Jesteś równie pomyłony, jak ta gęś.

- Dlaczego? Czy sabotaż jest niemożliwy?

- Z podejmowaniem decyzji zaczekaj, aż ją zobaczysz. Nie wydaje mi się, abyś zdawał sobie sprawę z rozmiarów tej Broni. Oni wysysają całe gwiazdy aż do jądra, aby dostarczyć jej energii. By zogniskować promień utworzyli stabilizowany pierścień z dziesięciu czarnych dziur - każda o masie dwukrotnie przewyższającej masę słoneczną. Kiedy Broń zaczyna działać, powoduje zniekształcenie wartości pi w promieniu ponad pięciu lat świetlnych.

- Mimo wszystko musimy spróbować. Jeżeli ta flotylla przedostanie się do nowego wszechświata, a Broń Chaosu będzie ciągle sprawna, Ra mogą zwyciężać wszędzie gdzie zaatakują.

- Dlaczego?

- Czy możesz sobie wyobrazić bardziej morderczą kombinację, niż samobójcza flota w połączeniu z Bronią Chaosu? Gdy przedostaną się na drugą stronę styku, będą mogli swobodnie inicjować katastrofy w dowolnych miejscach.

- To stwierdzenie świadczy o dużej spostrzegawczości, inspektorze. Zdziwiasz mnie, ponieważ do tej pory twoja wiedza na temat Chaosu była, najłagodniej mówiąc, powierzchowna.

- Mam opóźniony zapłon - odparł Wildheit, nie chcąc wdawać się w szczegóły. - Czy atak już się rozpoczął?

- Spytaj tego kurczaka. Wydaje się, że ona dość dokładnie widzi przyszłość.

- Czyżbym słyszał niechętnie uznanie?

- Inspektorze, widziałem jak się zatrzymała, kiedy zaledwie pomyślałeś o tym, by skierować w jej stronę lufę granatnika. Przysięgam, że nie drgnął ci nawet jeden mięsień, a ona wiedziała o twoim zamiarze. Łatwo przekonują mnie fakty, które pomagają przetrwać.

- Róźdzko?

- Wzory działają z większą gwałtownością, niż można to opisać słowami. Powoli nadciąga ostateczna katastrofa. Jest jeszcze czas na zaatakowanie Broni Chaosu i nie zachodzą poważne zmiany entropii. Myślę, że powinniśmy spróbować.

- Zgoda - powiedział Kasdeya. - Penemue, podaj wykres przebiegu styku wszechświatów. Chcę, aby inspektor sam zobaczył, na co się porywa. Osobiście nie widzę możliwości uporania się z obiektem o takich wymiarach, ale być może katalizatory Sarai zdolne są osiągnąć więcej niż logika.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Wildheit, gdy skończyła się udręka szybkiego lotu.

- Dokładnie na styku, teoretycznie nigdzie. - Okazało się, że jedyną osobą kompetentną jest Penemue, na którego barkach spoczywał ciężar większości prac obliczeniowych. - W tym miejscu nie należymy do żadnego z wszechświatów. Znajdujemy się na styku, który oddziela dwa

wszechświaty. Jest to teren jedyny w swoim rodzaju, bezwiedny, nie posiadający masy, teoretycznie nieskończony, gdzie obowiązują odwrócone zasady fizyki. Jego granice określa tylko prędkość światła. Nie jest to ani przestrzeń stojąca, ani wirująca, ani jakkolwiek inna, którą dałoby się określić. To w ogóle nic, w najbardziej dosłownym sensie.

- Jednak materia może tutaj istnieć? - Wildheit wysiłił się, aby zrozumieć Penemuego.

- Z pewnością, ale nie daj się zwieść oczywistą prostotą tego faktu, inspektorze. Matematyka tej przestrzeni jest obłądna. Podstawową zasadą w odniesieniu do przedmiotów jest to, że prawo względności oddziałuje tu wyłącznie w ich wnętrzu. Mówiąc przystępnie, to kadłub tego statku umożliwia zachowanie w jego wnętrzu podstawowych zasad fizyki. Na zewnątrz żadne ujednoczone prawa fizyki nie istnieją.

- Wydawało mi się, że obiecałeś używać prostych słów - poskarżył się Wildheit. - Jakie to ma znaczenie w praktyce?

- Takie, że jest to jedyne miejsce, w którym mogła zostać stworzona Broń Chaosu. Co do charakteru samego styku - masa nie ma tu ciężaru, bezwładności, ani pola grawitacyjnego. Człowiek mógłby tu ręcznie przesuwać planety, jak gdyby były wypełnionymi powietrzem balonikami. Poruszałyby się w tym kierunku, w którym zostały popchnięte i zatrzymywały w miejscu, w którym człowiek by je zatrzymał. Manipulować można nawet czarnymi dziurami. Bez względu na to, jak silne jest ich wewnętrzne pole grawitacyjne, poza ich skorupą siły przyciągania, zgodnie z definicją, przestaje działać. Te właśnie warunki, inspektorze, umożliwiły stworzenie i uruchomienie tego.

Penemue dramatycznym gestem nacisnął przycisk. Po chwili ożył jeden z największych ekranów odsłaniając wyłaniającą się z nicości, zapierającą dech konstrukcję. Po lewej stronie ekranu, wokół niewidocznej osi, bez końca obracała się lśniąca metalicznie, ażurowa konstrukcja przypominająca gigantyczne łożysko kulkowe bez kulek. W centrum ekranu na tej samej osi, co obracająca się konstrukcja, widniała olbrzymia aparatura, który najbardziej kojarzyła się Wildheitowi z wnętrzem starodawnej lampy elektronowej. Zespoły płytek odchylających i toroidalnych pierścieni wyraźnie sterowały trzonem tego dziwnego urządzenia.

Po lewej stronie ekranu, również na tej samej osi, widniała olbrzymia, szeroka tarcza, która obracała się zgodnie z kierunkiem ruchu metalowej klatki. Ze środka tarczy sterczał olbrzymi złoty lej, którego otwarty koniec rozszerzał się, jak jakiś, niezwykle, kosmiczny róg. Nie koniec na tym. Poniżej, wokół całej konstrukcji orbitowały migocząc niewielkie stacje satelitarne. Całą scenę oświetlały cztery niewielkie słońca, wiszące nieruchomo, jak gdyby powiązane niewidzialnymi nićmi.

- I to jest Broń Chaosu? - spytał wreszcie Wildheit.

- Tak, inspektorze. A teraz przedstawię ci niektóre szczegóły. W tej konstrukcji znajduje się, choć nie możesz tego zobaczyć, dziesięć czarnych dziur, z których każda ma średnicę około dwóch kilometrów i masę ^{dwukrotnie} przewyższającą masę twojego ziemskiego słońca. Średnica konstrukcji wynosi około dwudziestu pięciu kilometrów. W centrum znajduje się sekcja akceleracyjna, która liczy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów długości, a z prawej strony umieszczony jest reaktor wirowy o wysokości piętnastu i średnicy trzydziestu kilometrów. Róg spełnia funkcję kolektora. Gwiazdne tworzywo ze starego wszechświata jest do niej wciągane z szybkością ponad dziesięć mas gwiazdnych na sekundę.

- Do licha!

- Wiązka promieni, wychodząca z tej konstrukcji - to czysta entropia, oczyszczona ze wszystkich ubocznych zjawisk. Jej energia jest tak ogromna, że pomimo kolosalnego tłumienia podczas przechodzenia przez styk, nadal zachowuje zdolność modyfikowania zdarzeń w dowolnym punkcie nowego wszechświata.

- To nie ma sensu - powiedział Wildheit. Tak potężna aparatura i energia, by osiągnąć tak ograniczone efekty?

- Efekty są czymś względnym, zależnym od punktu widzenia i potrzeb, inspektorze. Widzisz, oni nie zajmują się pojedynczymi zdarzeniami. Dokonują serii obliczeń Chaosu i próbują przekształcać łańcuchy zdarzeń, które wydają im się niebezpieczne zarówno w teraźniejszości, jak w przyszłości. Skala efektów fizycznych jest niewspółmierna do rzeczywistych skutków. Liczy się ilość zmian, które udaje im się zrzęcznie przeprowadzić.

Kasdeya, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie stojąc z tyłu, zbliżył się teraz.

- Czy nie widzisz, inspektorze, że zniszczenie planety może znaczyć tyle, co strata gwoźdźcia do podkowy, gdy w grę wchodzi zwycięstwo lub klęska w rozstrzygającej bitwie? W rzeczywistości, zawsze, gdy była użyta Broń Chaosu największe katastrofy powodował raczej efekt podmuchu powrotnego, nadmiernie naprężonego continuum, a nie użyta energia. Jak już wcześniej bardzo trafnie zauważyłeś, z chwilą, gdy statki przeciwników znajdują się po drugiej stronie styku, atak zyskuje nowy wymiar. Mogą wówczas wywoływać niewielkie katastrofy i potęgować ich działanie za pośrednictwem efektu podmuchu.

- Inspektorze - wykrzyknął Gadreel, śledząc uważnie obraz na ekranie. - Zdaje mi się, że będziemy mieli pokaz.

Wszyscy stoczyli się wokół ekranu, a Gadreel wykreślał tor szybko przemieszczającej się cieniutkiej nici, która jak gdyby niesiona przez jakąś trąbę powietrzną, szukała na oślep wejścia do potężnego rogu. Odnalazłszy je, włókno skręciło się w naprężoną spiralę, która stawała się coraz grubsza. Przemieniła się w motek, a później w sznur wibrującej energii, która wydostając się z odległych krańców nicości, gorączkowo szukała wejścia do wnętrza kielicha złocistej trąby. Wkrótce olbrzymia, ognista nić zaczęła pulsować, gdy przypominające perły skupiska czystej energii ze wzrastającą częstotliwością wślizgiwały się w gigantyczną paszczę nieprzerwanie wirującego reaktora.

- Wygląda na to, że szykują coś wielkiego - Peneume wyraźnie był pod wrażeniem. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - to zasilanie, z taką szybkością! Ciekawe, co oni knują? Jeśli uwolnią całą tę energię w jednym tylko wybuchu, to wstrząs przerzuci każdego na drugi kraniec rzeczywistości.

- Zmieniają namiar - powiedział Kasdeya. - Spójrz w jaki skoordynowany sposób to wszystko się obraca. Tylko tutaj, na styku, można osiągnąć tak wielką manewrowość.

Wildheit nie słuchał ich. Coul był niepokojąco spięty. Nad-inspektor odwrócił się, by popatrzeć na Róźdzkę. Wstrząsnął nim widok przerażenia malującego się na jej twarzy. Mimo iż spazmatycznie poruszała rękoma, usiłując coś w ten sposób wyrazić, jej struny głosowe musiał sparaliżować tak silny strach, że nawet nie była w stanie krzyknąć.

Wildheit, gorączkowo próbując zorientować się w sytuacji, znów odwrócił się w stronę ekranu. Natychmiast powód przerażenia Róźdzki stał się dla niego oczywisty. Zorientował się, że spogląda na wycelowaną w nich Broń Chaosu...

12.

Kasdeya również to zobaczył. Rzucił się do przyrządów sterowniczych, zamierzając wyprowadzić statek z zasięgu działania Broni, nim zdąży ona wystrzelić. Różdżka w niewytłumaczalny sposób otrząsnęła się z szoku, krzyknęła na znak protestu i wcisnęła się między Kasdeyę i tablicę z przyrządami. Odepchnął ją i chwycił za stery, lecz ona natychmiast wróciła i zaczęła szarpać jego dłonie tak gwałtownie, że jej paznokcie wbijały mu się w skórę.

- Nie wyprowadzaj statku! - krzyczała, niemal płacząc.

- Zjeżdżaj stąd, durna babo! - Kasdeya odtrącił ją na bok, odzyskując miejsce przy tablicy sterowniczej. Po krótkiej chwili znów była przy nim, jeszcze bardziej zdecydowana mu przeszkodzić. Niespodziewanym ciosem, wymierzonym grzbietem delikatnej dłoni, powaliła go nieprzytomnego na pokład.

Gadreel, jak w hipnotycznym transie, obserwował kierującą się w ich stronę Broń Chaosu. Odgłosy awantury zmusiły go do obejrzenia się. Natychmiast skoczył, by zająć miejsce zwałonego z nóg Kasdeyi.

- Co ty wyprawiasz, mała? Chcesz nas pozabijać?! - krzyknął. Odwrócił się w stronę Różdżki, w pełnej gotowości, przygotowany na odparowanie każdego ciosu. Okrążyła go ostrożnie, a gdy dotknął sterów wrzasnęła:

- Nie! Nie dotykaj tego!

Gadreel chcąc ją odpędzić udał, że atakuje i jednocześnie wezwał Penemueego na pomoc. Na ekranach przyrządów sterowniczych ukazała się Broń Chaosu wycelowana w sam środek statku... Wciąż z zawrotną szybkością gromadziła energię... W żaden sposób nie można było stwierdzić, ile sekund pozostało jeszcze do odpalenia.

To chwilowe odwrócenie uwagi dało Różdżce szansę, której tak potrzebowała. Dziewczyna zadała zręczny cios w ramię Gadreela, zmuszając go do zasłonięcia się. Robiąc zwrot, stracił jednak równowagę, a kończące uderzenie - tak szybkie, że nie dawało się nadążyć za nim wzrokiem - sprawiło, że runął jak kłoda. Widok jego nienaturalnie przekreślonej głowy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, iż Gadreel był martwy. W tej samej chwili pod sufitem wybuchł jeden z obezwładniających minipocisków Wildheita. Różdżka spiralnym ruchem osunęła się na pokład. Reszta zniknęła w niezwykle ograniczonej przestrzeni, także została na chwilę ogłuszona. Peneume był pierwszym, który dosięgnął przyrządów sterowniczych. Kiedy jego dłonie gorączkowo tańczyły po pulpicie, wciąż jeszcze oszołomiona Różdżka usiadła i ostatnim wysiłkiem bezskutecznie usiłowała chwycić go za nogi. Zaraz opadła gwałtownie do tyłu, szlochając. Wildheit, mimo narastającego huku silników, dosłyszał jej słowa. Przeszyły go jak włócznia, rodząc wątpliwości, czy robił mądrze popierając Kasdeyę.

- Wy skończeni głupcy! - mamrotała dziewczyna. - Czyż nie widzicie, że w tym miejscu nie mogą nas tknąć? Tak jest zapisane we wzorach.

Na przerwanie lotu było jednak za późno. W tej właśnie chwili statek opuścił strefę, w której logika Chaosu uniemożliwiała jakiekolwiek oddziaływanie. Kiedy wyskoczyli z niezwyklej przestrzeni między wszechświatami, Wildheit spojrzął po raz ostatni na ekrany monitorów, które przekazały obraz wystrzelonych w ich kierunku promieni świetlistej energii Broni Chaosu. Gdzieś na granicy prędkości światła potężna wiązka czystej energii ugodziła w statek i grzmotnęła nim o sprężyste ściany wszechświata. Nawet Coul zaskomlał z przerażenia.

Tego co nastąpiło potem nie da się opisać. Do przenikliwego drżenia, spowodowanego przekroczeniem granicy prędkości światła, dochodził jeszcze nowy typ wielopłaszczyznowej wibracji. Wildheit przypuszczał, że był to jakiś rodzaj rezonansu powstającego na styku wszechświatów, po którym statek się ześlizgiwał. Bez względu na charakter zjawiska, jego siła groziła wszystkim pasażerom statku zagładą.

Posuwisto zwrotne naprężenia konstrukcji i wyposażenia statku zaczęły dosłownie rozdzierać go na kawałki. Spoiny pękały złowieszczo, a połamane, metalowe sworznie strzelały z wręg jak pociski, Stelaże na sprzęt wyłamywały się ze śrub i zamocowań, odchylając się od pionu

jak pijane. Tańczyły po pokładzie jakby w takt przedziwnego walca. Na popękanych złączach pojawiły się iskry i dym, a zapach ozonu i gryzący swąd przepalanej izolacji wprost zatykał, prawie uniemożliwiając oddychanie.

W samym środku tego koszmaru Wildheit poczuł, że Róźdzka dotyka jego ramienia.

- Pomóż mi, inspektorze. Tam... - wskazała na pulpit sterowniczy.

Nie wiedział, co chciała zrobić, ale starał się ułatwić jej przejście po straszliwie rozedrganym pokładzie, odwalając kawałki sprzętu potłuczonymi, proszącymi o litość nogami.

Róźdzka zamknęła oczy, koncentrując się i po omacku zaczęła szukać dźwigni sterujących. Trwało to dopóty, dopóki wniknęła w Chaos na tyle, by wiedzieć, jaki odzew wywołają poszczególne czynności. Jej dłonie były dotkliwie potłuczone wskutek wibracji kluczy, którymi usiłowała manipulować.

Wreszcie zaczynało jej się udawać. Wyszukując łagodniejsze wiry mieszających się wzorów Chaosu, powoli wprowadziła statek w trochę spokojniejszy prąd, by doprowadzić go w końcu do stanu całkowitego spoczynku, gdzieś w cichym, osłoniętym od burz i wiatrów entropii zakątku przestrzeni. W chwili, gdy operacja kończyła się, Kasdeya odzyskał przytomność i podszedł do dziewczyny. Posłusznie przyjmował jej instrukcje, stopniowo, w miarę zmniejszania się i ustępowania harmonicznym wstrząsów, przejmując stery.

- Inspektorze - Kasdeya zmarszczył czoło - jestem winien tej małej przeprosiny. Gdybym jej od razu posłuchał, uniknęlibyśmy całego zamieszania. Na dodatek, bez niej w ogóle byśmy z tego nie wyszli. Nie wiem, jak ona to zrobiła, ale uratowała nam wszystkim życie. - Powodowany nagłym odruchem ukłękła i ucałował opuchnięte palce Róźdzki. - Ja również popełniłem błąd - powiedział Wildheit. - Jednak sama mnie sprowokowałaś, Róźdzko. Jesteś pewna, że bylibyśmy bezpieczni, gdybyśmy tam pozostali?

- Oczywiście! Broń Chaosu bez potencjalnej katastrofy, którą może manipulować, w ogóle nie jest żadną bronią. Może być użyta tylko wówczas, gdy sami postawimy się w sytuacji potencjalnego zagrożenia.

- Wobec tego co cię tak przstraszyło, kiedy skierowano ją przeciwko nam?

- Zobaczyłam nagły wybuch Chaosu w chwili, kiedy Kasdeya wpadł w panikę. Ale ujrzałam również coś więcej - przyszłość.

- I co tam dostrzegłaś?

- Ostateczną katastrofę. Tego nie da się opisać słowami, inspektorze.

Peneume przyglądał się leżącemu na podkładzie ciała Gadreela.

- Nie żyje - powiedział, a w jego głosie brzmiały zaduma i podziw. - Sądziłem, że nikt nigdy nie zdoła pokonać Gadreela, a co dopiero go zabić. Cóż za straszni mistrzowie uczyli tę małą na Mayo, inspektorze. Ta dziewczyna jest przerażająca.

- Ostrzegano mnie - odparł Wildheit. - podejrzewam jednak, że to, co zobaczyliśmy, to tylko przedsmak przyszłych wydarzeń. Gdybym był jednym z Ra, bałbym się okrutnie.

Kasdeya przestał wreszcie sterować i przy pomocy ocalałych przyrządów sprawdził stan jednostki. Jego ostateczny wniosek był zasmucający.

- Kadłub jest w całkiem dobrym stanie i mamy dość powietrza - oświadczył. - I na tym mniej więcej koniec. Większość aparatury nie działa, a chociaż silniki pozostały nietknięte, nie odważymy się ich uruchomić bez sprawnych mechanizmów kontrolnych. Wręga wzmacniająca konstrukcję nawet przy prędkościach mniejszych niż prędkość światła rozpadnie się na kawałki. Krótko mówiąc, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Znajdujemy się wewnątrz wraku, który stoczył swój ostatni bój. Możemy liczyć najwyżej na przetrwanie.

- To niewiele - powiedział Wildheit. - W którym wszechświecie teraz jesteśmy?

- W nowym, sądząc po zagęszczeniu gwiazd. Za to nie ma możliwości ustalenia, w której galaktyce. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim przekroczyliśmy styk, możemy być w dowolnym punkcie przestrzeni.

- Jak w takim razie mam się dostać z powrotem do Broni Chaosu?

- Nie uda ci się. Docłapiesz rozbitym statkiem na jakąś nadającą się do zamieszkania, a w najlepszym razie na zamieszkałą planetę i przeżyjesz resztę swoich dni w rzeczywistym czasie, próbując zorganizować na tamtejszym terenie jakąś obronę na wypadek, gdyby Ra kiedyś cię odnaleźli. Istnieje druga możliwość - w ogóle nie dotrzesz na nadającą się do zamieszkania planetę, tylko gdzieś w opuszczonym zakątku przestrzeni zginiesz albo z rąk Ra, albo swoich własnych.

- A więc bitwa jest przegrana. W jednym i w drugim przypadku. Nie mogę poddać się bez walki. Masz jakiś pomysł, Róźdzko?

- Nie widzę możliwości podjęcia jakichkolwiek sensownych działań. Wzory nie naprowadzają na ślad żadnego miejsca w przestrzeni, w którym można by przeżyć. Dlatego proponuję poczekać na Ra. Tylko oni będą nas szukać i tylko oni zdatni są nas znaleźć.

- Czekać na Ra? - powtórzył osłupiały Kasdeya. - Nic bardziej by ich nie cieszyło, jak odnalezienie nas na pokładzie uszkodzonego statku. W oka mgnieniu by się nas pozbyli.

- Jeszcze nie teraz - upierała się Róźdzka. - Katalizatorzy Sarai zniszczyli im mnóstwo statków. Będziemy ich interesować. Myślę, że raczej wezmą nas do niewoli.

- To jeszcze gorzej. Wiesz, jak Ra traktują swoich jeńców? Wielki Gniew nigdy, nie był tak silny jak obecnie. Nie po to przez siedem tysięcy lat uciekałem przed nimi, żeby teraz dać im okazję do ostatecznej zemsty.

- Nie masz wyboru.

- Czyżby? Mogę doprowadzić silniki do przekroczenia punktu krytycznego i statek stanie w ogniu, pochłaniając także wszystkich Ra, którzy odważą się podejść zbyt blisko.

- Co, biorąc pod uwagę ich liczebność, byłoby nader mizernym gestem - oświadczył Wildheit. - W każdym razie, gdyby tak łatwo było usunąć nas z reakcji Chaosu, to w ogóle nie wdawaliby się z nami w żadną grę. Róźdzka ma rację. Czekamy na Ra.

- Dobrze ci tak mówić, inspektorze. To nie do ciebie żywią urazę od siedemdziesięciu stuleci. My czterej zamierzamy uciekać najszybciej jak tylko się da, a jeśli nas dopadną, będziemy walczyć aż do końca. Jeżeli nie chcesz się do nas przyłączyć, możesz wrócić na swój statek ratunkowy i czekać tam aż Ra przybędą i cię odnajdą.

- Na tym ma polegać ta proponowana przez ciebie wielka . współpraca?

- Bądźmy realistami. Współpraca martwych nic nie da.

- Mam do wykonania zadanie. Muszę zniszczyć Broń Chaosu. Twój statek nie przeniesie mnie w jej pobliże, przedostać się przez styk wszechświatów może tylko statek Ra. Dlatego zaczekamy na Ra, a potem zobaczymy co się da zrobić.

- Tylko wy dwoje, inspektorze. To moje ostatnie słowo.

- Nie, my wszyscy - ręce Wildheita niedwuznacznie krążyły wokół granatników.

Kasdeya patrzył wilkiem, a zmarszczone czoło świadczyło, że zastanawia się nad wystawieniem inspektora na próbę. W końcu z posępną miną odwrócił się tyłem, by sprawdzić przyrządy, a chwilę później rozłożył ręce na znak porażki.

- Dyskusja jest czysto akademicka - powiedział. - Ra już tu są.

Na przyćmionym ekranie na pół działającego monitora, który przekazywał obraz z zewnątrz, ukazała się ponura prawda. Zwartym szykiem nadciągał co najmniej tuzin olbrzymich okrętów wojennych, a jeden jeszcze większy pojazd leciał tak blisko, że z łatwością można było dostrzec szczegóły konstrukcyjne kadłuba.

Kasdeya spojrzał na sprzęt bojowy w kabinie pilota, lecz bezruch wskaźników wszystkich przyrządów mówił sam za siebie - brakowało energii. Potem nastąpiła długa cisza, w czasie której jednostki Ra zajmowały pozycje, otaczając ich ciasnym pierścieniem. Jednak wyraźnie opóźniały atak czy próbę kontaktu. Potem pojawiła się widoczna przez kopułę sterówki, bładniebieska luna, która zaczęła się rozrastać, aż otoczyła statek Kasdei szczelnie zamkniętą sferą.

- Jak ci się wydaje, co oni robią? - spytał Wildheit.

- Tworzą zabezpieczającą powłokę energetyczną - odpowiedział Penemue. - Jeżeli natrafisz na rozbity statek, nigdy nie wiesz czy lub kiedy zespół silników może eksplodować, więc

najpierw zabezpieczasz się, otaczając go polem siłowym. Potem już możesz robić, co ci się podoba. Teraz niczego nie ryzykują. To bardzo silna powłoka. Nie przebiły się przez nią nawet wybuch.

- Kiedy nawiążą kontakt?

- Sądzę, że każdej chwili. Skoro trafiła im się największa wygrana stulecia, na pewno niezwykle starannie obmyślą sposób postępowania.

- A ten wielki okręt? Co to takiego?

- Nie wiem. W stosunku do swych rozmiarów jest bardzo słabo uzbrojony. Może to jakiś statek naukowo - badawczy? Zresztą wkrótce się dowiemy...

W czasie, gdy Penemue mówił, tworzące pierścień okręty wypuściły nagle jasnoniebieskie promienie, które delikatnie, ale zdecydowanie pochwytyły niewielki pojazd i zaczęły prowadzić go w kierunku olbrzyma. Ten otworzył swą ogromną paszczę i widać było, że jego ładownia łatwo pomieści cały statek Kasdei. Wychodzące z wnętrza dodatkowe promienie dosięgnęły schwyty statek i zaczęły wprowadzać go do obszernej śluz. Dokładnie w chwili zetknięcia się obu jednostek zniknęło pole siłowe. Kasdeya przyglądał się w skupieniu układowi sterowania zespołem silników.

- Eksplozowanie ich nic nie da - zauważył stojący z tyłu Penemue. - W ten sposób zniszczymy tylko samych siebie.

Wszyscy popatrzyli na prowadzące do wnętrza statku drzwi. W końcu otworzyły się i wyszła z nich grupka osób w mundurach.

- Komitet powitalny czy pluton egzekucyjny? - spytał Asbeel.

- Ekipa śledcza - odparł Kasdeya zdradzającym napięciem głosem. - Gdyby mieli zamiar nas zniszczyć, mogli to zrobić jeszcze tam.

Do zewnętrznej strony kadłuba przytwierdzono coś, co wydało głośny, metaliczny brzęk. Przez kadłub przeniknął czyjś głos. Mówił językiem, którego Wildheit nie znał.

- Każą nam wyjść nago i bez broni - przetłumaczył Kasdeya. - Mamy dwie minuty. Potem zamierzają wypełnić wnętrze gazem paraliżującym system nerwowy. Każdy, kto pozostanie w środku, skona w straszliwych męczarniach.

- Sympatycznie ludzie - skomentował Wildheit.

- Jak na Ra, to zachowanie bardzo powściągliwe. Zazwyczaj najpierw rozpylają gaz, a dopiero potem ostrzegają. Dzięki temu jeńcy biegną do nich ochoczo. Mają olbrzymi dar perswazji.

- Może wobec tego lepiej zejdźmy do nich - stwierdził Wildheit. - To nieuprzejme kazać czekać gościnnym gospodarzom.

Wszyscy rozebrali się do naga. Różdżka bardzo niechętnie, ustępując jednak na widok srogiej miny Wildheita. Kiedy wyłonili się z włazu, Kasdeya okazał właściwą dla poddających się postawę, idąc z podniesionymi rękoma i szeroko rozcapierzonymi palcami, żeby nie było żadnych podejrzeń, iż ukrył w dłoniach jakąś broń. Kiedy doszedł do oczekującego oddziału, na szyję i na ramiona zarzucono mu masywne, białe jarzmo przytwierdzając do niego przeguby, łokcie i ramiona. Wszyscy, łącznie z Różdżką, zostali skrupowani w ten sam sposób.

Wydano rozkazy, które Kasdeya natychmiast przetłumaczył.

- Teraz maszerujemy. Każdy, kto okaże się nie dość posłuszny i uległy oberwie laną.

- Co?

- Myślę, inspektorze, że można to nazwać złośliwą akupunkturą, wykonywaną za pomocą podskórnych strzał. Są w tym bardzo dobrzy. Okrucieństwo polega na odmawianiu śmierci, o którą błagasz.

Kasdeya, wypełniając rozkaz, jako pierwszy przeszedł przez służbę do wnętrza położonej w głębi metalowej komory.

Wildheit zastanawiał się przez chwilę, dlaczego jeńców uwięziono w jarzmach, zamiast po prostu związać im ręce i nogi albo zakuć w kajdany. Teraz zrozumiał. Zakończenia jarzma umocowane zostały do metalowej ramy, którą podniesiono w górę tak, iż wszyscy zawisli na ramionach z głowami na tej samej wysokości. Po dokonaniu tego, oprawcy wyszli z komory. Po

chwili ze wszystkich ścian, z pokładu i z sufitu zaczęły tryskać gorące strumienie jakiegoś płynu. Ich uderzenia sprawiły, że nieszczęśnicy kołysali się jak kukły.

- Cóż to jest, do diabła? - Wildheit przekrzykiwał przeraźliwy gwizd rozpylanej cieczy.

- Połączenie upodlenia z odkażaniem i identyfikacją - Kasdeya z trudem odkrzyknął odpowiedź. - Zaraz będzie jeszcze ciekawiej.

- Gdy rozpylacze przestały działać, komorę zaczął wypełniać jasny, słomkowy płyn. Jego poziom szybko się podnosił, a temperatura stawała się nie do zniesienia. Ciecz wydzielala organiczny, silny zapach, który drapał ich w gardle, utrudniając oddychanie. Pompowano go pod takim ciśnieniem, że od ścian komory odbijały się wysokie, rozkołysane fale. Jeńcom zaczęło grozić utopienie, gdyż poziom cieczy podniósł się aż do gardeł.

Wskutek kolejnego, potężnego przyływu pompowanej cieczy, poziom jej wzrósł tak gwałtownie, że zakryła im głowy. Trwało to przez chwilę i byli już przeświadczeni, że się utopia, lecz ciecz równie szybko ustąpiła i nadeszła pora na wspomniany przez Kasdeyę proces identyfikacji. Wildheitowi udało się przetrzeć piekące oczy, spojrzął i aż dech mu zaparło ze zdumienia - on i jego współtowarzysze ufarbowani zostali na świecący, żółtozłoty kolor. Wisieli teraz jak pozłacane posążki.

To jeszcze nie był koniec. Wildheit wciąż uwięziony w jarzmie, został ustawiony na kole obrotowym, w świetle całej baterii reflektorów i poddany działaniu wielu urządzeń, które uznał za sprzęt do diagnostyki medycznej. Zespół ludzi badał wszystkich za pomocą sprawiającej szalony ból sondy, na którą reagował dosłownie każdy mięsień ciała. Wildheit, mimo iż oddzielony od reszty, chwilami mógł dojrzeć pozostałych, których poddawano identycznym zabiegom. Odczuwał szczególne współczucie dla Róźdzki, gdyż i ona poddana była tej ciężkiej próbie.

Wreszcie całą procedurę zakończono. Odprowadzono nad-inspektora do niedużej celi. Dano mu skąpe żółte ubranie, a jarzmo przytwierdzono do ściany, używając specjalnego uchwytu. Znajdował się on na takiej wysokości, że uwięziony, chcąc odciążyć ręce, musiał stać w niewygodnej pozycji na czubkach palców.

Kasdeya i Penemue, pozłoceni i śmiertelnie przerażeni, poddawani byli tym samym katuszom, co Wildheit. Asbeela i Jequna umieszczono tu wkrótce potem, a Róźdzkę wprowadzono trochę później. Z nich wszystkich tylko ona zachowywała równowagę i pewność siebie. Zawisła przed nimi jak złota nimfa, swoim opanowaniem wprowadzając spokój, łagodząc strach.

- Dlaczego pomalowali nas na złoto? - spytał Wildheit Kasdeyę.

- Przede wszystkim dlatego, że jest to jedyny kolor skóry, który dla narodów Ra nie jest naturalny. Historycznie symbolizuje degradację i ma związek z legendarnymi złotymi bestiami, które w prehistorii wniosły do natury ludzkiej prymitywne instynkty zwierzęce. Z psychologicznego punktu widzenia jest to perfidne usprawiedliwienie dla zbrodni. Ra nie czują wyrzutów sumienia maltretując i zabijając złotą ofiarę. Fakt, że sami przedtem ją pomalowali na ten kolor, jest oczywiście przemilczany i ignorowany.

- Nadaj komuś złe imię, a będziesz mógł go powiesić - skomentował Wildheit.

- Ach! Możesz być szczęśliwy, jeżeli cię powieszą. Ra nie lubią tak pobłażać swym wrogom.

13.

Po upływie godziny ogromny statek ruszył. Narastające odgłosy pracy silników przekroczyły i w końcu próg słyszalności. Wildheit podejrzewał, że przelatowali z powrotem przez styk wszechświatów. Przynajmniej z tego był zadowolony, ponieważ tylko Ra posiadali możliwości przetransportowania go w bliskie sąsiedztwo Broni Chaosu. Uwięziony i skrzepowany, nie mógł sobie wyobrazić, jakim cudem zdoła wykonać swoje zadanie. Reakcja Ra na przewidywane katalityczne oddziaływanie Róźdzki i jego samego dowodziła wyraźnie, że pisane im było zadać potężny i rozstrzygający cios. A cóż mogło być bardziej rozstrzygające niż zniszczenie Broni Ghaosu?

Już od dawna czuli się dość osobliwie, tak samo, jak na statku Kasdei w czasie zbliżania się do granicy prędkości światła. Tym razem jednak, gdy wnikali w strukturę świetlnego muru, doznania okazały się o wiele silniejsze. Stali w niewygodnej pozycji, na czubkach palców, co znacznie powiększało ich cierpienia. Wszyscy odczuli ulgę, gdy ogromny statek wśliznął się wreszcie w przestrzeń pomiędzy wszechświatami i nieznośne doznania ustały.

Zaraz potem Jequn, Asbeel, Penemue i Kasdeya zostali wyprowadzeni przez strażników.

- Co widzisz we wzorach, Róźdzko? - spytał Wildheit, przygryzając wargi.

- Ostateczną katastrofę. Umysł nie jest w stanie pojąć jej ogromu. To klęska, przy której bledną wszystkie inne nieszczęścia.

- Czy jej źródłem jest zniszczenie Broni Chaosu?

- Trudno przewidzieć, ale myślę, że nie.

- Jak to możliwe?

- Wzory są zbyt złożone, by być czegokolwiek pewnym. Wiem tylko tyle, że to się stanie.

Wildheit jakoś zasnął.

Od czasu do czasu budził się, by zobaczyć, że Róźdzka w ogóle nie śpi, lecz obserwuje go ze spokojem. Podziwiał wewnętrzną siłę, pozwalającą jej organizmowi funkcjonować, podczas gdy on, przypuszczalnie silniejszy fizycznie, był tak wyczerpany, że spał bez względu na wszelkie niewygodności. Za którymś razem obudził go jakiś mężczyzna, przypuszczalnie lekarz. Obejrzał Wildheitowi ramię, na którym siedział Coul, po czym porównywał to, co udało mu się zobaczyć z jakimiś zapiskami na białej kliszy. Nie znalazł niczego godnego uwagi, pewnie dlatego, że jego postrzeganie było zbyt niedoskonałe, by mógł zobaczyć siedzące na ramieniu Nad-inspektora bóstwo. Później przyprowadzono z powrotem Kasdeyę, już bez jarzma na ramionach.* Fizycznie najwyraźniej nie ucierpiał, jednak oczy miał przestraszone, jak gdyby to co przeżył, odebrało mu jakąś część jego człowieczeństwa.

- Inspektorze, teraz twoja kolej. Twoja i tej młodej. Zgłosiłem się na ochotnika jako wasz tłumacz. Wytargowałem w ten sposób parę godzin życia.

- A tamci trzej?

- Ucierpieli, ale przyjdą do siebie. Widać nie jesteśmy teraz ważni. Wielki Gniew przeistoczył się w Wielką Ciekawość - ciekawość ciebie, tej małej i zagrożenia, które według nich stwarzacie dla Chaosu. Nie mogą uwierzyć w istnienie tak potężnych efektów katalitycznych ani też poddać w wątpliwość prawdopodobieństwa spełnienia ich własnych przepowiedni.

- Powiedz im - odezwał się Wildheit - że domagam się, by zdjęli nam z ramion te jarzma.

- Ukarzą cię za sam pomysł - odparł zaniepokojony Kasdeya.

- Mimo wszystko powiedz im. Powiedz im również, że muszą zawiadomić dowódcę.

- Co masz zamiar osiągnąć?

- Wydaje mi się, że dzięki przepowiedniom Chaosu i zeznaniom, które z ciebie wydusili, Róźdzka i ja jesteśmy już dla nich czymś w rodzaju legendy. A dobra legenda musi pozostać żywa.

- Mam nadzieję, że mnie też zachowają przy życiu, żebym mógł ją przekazywać - powiedział niepewnie Kasdeya. - Jednak trzeba próbować. - Zwrócił się w stronę strażników. Tłumaczył szybko i drobiazgowo. Wreszcie jeden ze strażników wyszedł, przypuszczalnie, by

porozumieć się ze zwierzchnikiem. Wrócił po bardzo długich dziesięciu minutach. Za nim podążał mężczyzna, który sądząc po okazywanym mu szacunku był znacznie starszy rangą.

- Wprawiliście ich w zakłopotanie - powiedział spokojnie Kasdeya. - Jarzma mają być usunięte.

- Świetnie! Bądź wiernym tłumaczem, Kasdeya! Nie tylko tłumacz to, co mówię, ale oddawaj także nastrój wypowiedzi. I nie dziw się niczemu.

- Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzasz, inspektorze.

- Zamierzam wykorzystać nasze atuty tak, jak się tylko da. W tym właśnie Nad-inspektorzy są najlepiej wyszkoleni. Czy nigdy nie wydawało ci się dziwne, że Federacja, by rozstrzygnąć wojnę, ogranicza się do wysłania jednego tylko człowieka?

Wyższy rangą oficer, który nadszedł w towarzystwie strażnika, przyglądał się uważnie, jak uwalniano z jarzma Róźdzkę i Wildheita. Ręce, tak długo skrępowane, zupełnie im zdrętwiały. Nad-inspektor dokładnie przyjrzał się oficerowi i obmyślił sposób postępowania. Twarz mężczyzny porysowana była głębokimi bruzdami. Masywna jak skala czaszka, pokryta stalowoszarymi włosami, zapowiadała potężny intelekt. Oficer niewątpliwie był człowiekiem nietuzinkowym pod każdym względem.

Róźdzka i Wildheit przeprowadzeni zostali pod bronią do obszernego pomieszczenia o oślepiająco białych ścianach. Kazano im stanąć na niskim, okrągłym podwyższeniu, znajdującym się pośrodku wnętrza. Oficer zajął miejsce przy stole z przezroczystym blatem i zamyślony oparł podbródek na złożonych dłoniach. Uzbrojeni strażnicy, po trzech pod każdą ścianą, trzymali jeńców na muszce. Kasdeya przezornie stanął poza linią ognia, na wypadek, gdyby to prowokowanie Ra przez Nad-inspektora miało doprowadzić do logicznego, gwałtownego finału.

- Z kim rozmawiam? - Wildheit pierwszy rozpoczął przesłuchanie.

Oficer skrzywił się z wyraźnym rozbawieniem.

- Masz przed sobą Dowódcę Floty. Komandora Zecola z Formacji Naukowej Sił Wojennych Ra. Jestem specjalistą od Chaosu, Nad-inspektorze Wildheit.

Kasdeya tłumaczył dosłownie, starając się oddać zarówno znaczenie słów, jak i intonację głosów.

- Wobec tego znajdziemy wspólny język - odparł Wildheit, skubiąc w zamyśleniu podbródek. - My również jesteście fachowcami: Róźdzka - od Chaosu, a ja - od obrony Federacji. To szczęście dla ciebie, Komandorze, iż odznaczam się tolerancją, w przeciwnym razie miałbym ci za złe, że tak nas potraktowaliście. Rozumiem twoją wprost rozrzewniającą potrzebę zachowania ostrożności, ale brak ci podstawowego zrozumienia tego, co czynisz.

- Och? Doprawdy? - Zecola rozbawiło to jeszcze bardziej. - Rozumiem, masz coś przeciwko temu, że zostałeś pozłocony. Kasdei z dużą wiernością udało się oddać sarkazm w głosie komandora.

- Ależ wcale nie! - szyderczo uśmiechnął się Wildheit. - To był błąd, który gra na naszą korzyść. Złote bestie istniały również i w naszej zamierzchłej historii. My jednak wciąż nie wyrosliśmy z naszych legend. W ostatecznym rozrachunku, ze wszystkich istot żywych przetrwają bestie. W ten sposób dopomagasz nam wyobrazić sobie nie tylko twoich przodków, lecz również następców. Dlatego wypada, byś okazał pokorę.

Zecol zmarszczył brwi. Przez jego twarz przemknął gniew. Popatrzył na Kasdeyę, by sprawdzić czy przekład jest wierny, następnie przerzucił leżący na stole stos zapisanych białych klisz.

- Tego się nie spodziewałem. Nic tu nie wskazuje na megalomanię, ani też na nadmierne rozwinięte pragnienie śmierci. Wnioskuje, Nad-inspektorze, że prowadzisz ze mną jakąś grę. To bardzo nierozsądne. Z pewnością będziesz żałował.

Skinieniem ręki przywołał strażników.

- Zabierzcie stąd inspektora - powiedział - i poddajcie jakiemuś zabiegowi, który wyleczyłby go z nieposłuszeństwa. Po powrocie chcę go widzieć na kolanach, błagającego.

Zabierzcie również dziewczynę, by była świadkiem tej lekcji. Później poprowadzę dalsze przesłuchanie.

- Ty cholerny głupcze! - wykrzyknął Kasdeya z wściekłością. - Dotknąłeś go w czułe miejsce, mówiąc o złotych bestiach. Czy naprawdę sądziłeś, że on to zniesie?

- Teraz jeszcze nie, ale niedługo tak - odparł Wildheit. - Na początek trzeba, by trochę zmiękł.

Strażnicy z powrotem założyli Wildheitowi jarzmo na ramiona i zabrali go do przyległego pomieszczenia. Tam powieszono jarzmo na uchwytych i skrupowano jeńcowi stopy. Jeden z Ra, o wyglądzie fachowca wysokiej klasy, zaczął do czerwoności rozgrzewać w palenisku drugie metalowe szpile. Potem odwrócił się do bezbronnej ofiary i z uwagą obejrzał udo i ramię.

- Inspektorze, radzę ci, abyś już teraz zaczął błagać o litość

- powiedział Kasdeya. - Wtedy, być może, skończy się na minimalnym bólu.

- Tłumacz dalej - powiedział Wildheit. - Nie zrozumiesz tego, ale wszystko idzie po mojej myśli.

- O anioły przestrzeni! Chyba wiesz, co on z tobą robi?!

- Wiem, ale on nie wie, co ja mam dla niego w zanadru.

Oprawca zacisnął uchwyt na rozżarzonych szpilach, podniósł w górę jedną z nich i przybliżył do oczu inspektora.

- Zobaczymy, złota bestio, ile wytrzymasz, zanim się ugniesz. Większość wytrzymuje tylko trzy, cztery. Widzisz, sztuka jest wiedzieć, gdzie to przyłożyć, aby uzyskać najlepszy rezultat.

- Nie radziłbym ci próbować - powiedział chłodno Wildheit.

- Inspektorze, zaklinam cię na wszystkie demony przestrzeni! - Kasdeya, pełen desperacji spojrzął na Różdżkę oczekując wsparcia, lecz twarz jej jak zwykle wyrażała jedynie spokój.

Ra cofnął stygnącą igłę, by ponownie rozgrzać ją do odpowiedniej temperatury. Następnie wybrał miejsce na udzie Wildheita i wbił szpilę precyzyjnie i z premedytacją. Rozszedł się swąd przypalanego ciała, zabrzmiał jęk bólu, ale to Ra był tym, który się zatoczył, gdy szpila w całości wbiła się w jego własne ramię. Przez ułamek sekundy gapił się na nią ogłupiały, a jego mózg odmawiał pojmowania tego, co zmysły odebrały jako przeraźliwą prawdę - że to, co przeszył igłą to jego własna ręka. Gdy ostatecznie fakt ten dotarł do jego świadomości, zawył z przerażenia. Może właśnie wtedy mignęła mu sylwetka brzydkiego, ulotnego bóstwa, które żyło na ramieniu Wildheita. Trudno odgadnąć, czy zrozumiał to, co zobaczył, w każdym razie wykrzyknął z siebie coś w dialekcie, którego nie znał nawet Kasdeya i uciekł.

- Dzięki ci, Coul - odetchnął z ulgą Wildheit. - Zrobiłeś dobrą robotę.

- Obiecałem ci przecież specjalną dyspensę, skoro wkrótce mam cię opuścić. Myślę jednak, że jeszcze będziesz mnie potrzebował.

Niebawem zjawili się trzech strażników Ra, a wśród nich niedoszły oprawca Wildheita z rozpylonym na ręce opatrunkiem chirurgicznym. Wszyscy trzej wdali się w namiętą dyskusję. Wreszcie dwóch podeszło do skutego inspektora a trzeci, pełen obaw, pozostał z tyłu.

- Dyskutują na temat możliwości... że siedzi na tobie... - Sam Kasdeya nie rozumiał jeszcze istoty zaistniałego zdarzenia.

Dwaj strażnicy dokładnie obejrżeli szyję i ramiona Wildheita. Niczego oczywiście nie znaleźli, chociaż Coul pozostawał nadal ulotnie obecny. Pierwszego strażnika zachęcano do dalszego torturowania jeńca, lecz odmówił, tłumacząc, że nie jest w stanie pracować z powodu odniesionych obrażeń. Wobec tego jeden z pozostałych wyciągnął szpilę z paleniska i z groźnym narzędziem w dłoni pospieszył w stronę Wildheita. Zraniony strażnik cofnął się natychmiast przekonany że, zobaczył przycupnięte, złowrogie wcielenie bóstwa. Krzykiem przestrzegł swojego kolegę ze szpilą, który to zlekceważył. Wildheit poczuł gwałtownie wzmagający się ból ramienia. Wstąpiła w niego odwaga. Czekał na niespodziewane wypadki

Gdzieś w oddali dał się słyszeć podobny do grzmotu odgłos. Mężczyzna z rozżarzoną igłą zatrzymał się i potrzęsął głową, jakby podejrzewał, że dźwięk ma swoje źródło we wnętrzu jego

własnej czaszki. Następny grzmot był bardziej donośny i bliższy. Metalowe ściany komory zareagowały silną wibracją. Jeden ze strażników, sądząc, że wszystko to dzieje się gdzieś na statku, wybiegł by ustalić przyczynę. Mężczyzna ze szpilą nie zatrzymał się. Potem uderzył piorun.

Coś czarnego, co jakby eksplodowało na środku pomieszczenia, wymierzało dookoła miękko, ale obezwładniające ciosy. Palenisko natychmiast wygasło, a szpila, którą strażnik trzymał w dłoni, wbiła mu się głęboko w rękę. Czarna trąba powietrzna, czy coś w tym rodzaju, opłotła wewnątrz swymi skręconymi, niewidocznymi mackami. Jakieś osobliwe siły unosiły w górę wszystkie nieumocowane przedmioty, które obijały się z łoskotem i brzękiem o metalowe ściany. Następnie spirala podmuchu zacisnęła się jeszcze mocniej, usypując wszystko w jeden stos na środku pomieszczenia. Znalazły się tu także ciała dwóch strażników. Ich twarze były szare jak popiół, a przyczyna śmierci niewyjaśniona.

Strażnik, który opuścił pomieszczenie, aby sprawdzić, skąd biorą się grzmoty, wrócił teraz do drzwi. Stał jak wryty. Ogarnął spojrzeniem obraz śmierci i zniszczenia, i chwycił broń, by zabić tego, którego uznał za winowajcę - inspektora. Głos z zewnątrz, który był głosem Zecola, wydał gwałtowny zakaz. Uzbrojony mężczyzna potrząsnął głową na znak sprzeciwu i strzelił. Broń wypaliła mu w twarz i runął jak długi obryzgując krwią. Pojawił się w nich Zecol i zamarł, bojąc się przekroczyć próg. W jego oczach malowała się głęboka powaga, kiedy usiłował zrozumieć, co zaszło.

- Jak na człowieka skrupowanego posiadasz, inspektorze, nadzwyczajnie niszczącą moc. - Kasdeya musiał przewyciężyć osłupienie, by móc przetłumaczyć słowa Zecola.

- No cóż - powiedział Wildheit. - Powinieneś zobaczyć, jakie szkody potrafię wyrządzać, kiedy mam wolne ręce!

Jakby na dowód jego mocy, jarzmo rozleciało się nagle na kawałki, a klamry spinające ramiona utworzyły coś w rodzaju naramienników. Żelaza, do których przytwierdzone były jego stopy oderwały się tak gwałtownie, że poszczególne kawałki rozleciały się daleko po wszystkich kątach pomieszczenia. Na dodatek ogniwa łańcucha krępującego mu kostki, pospadały na pokład oddzielnie, nietknięte. A Nad-inspektor nie poruszył nawet jednym mięśniem.

- Czy to wystarczy? - spytał Zecol. - A może mam zademonstrować ci coś więcej?

- Myślę, że już swoje udowodniłeś, inspektorze, co z ciebie za stwór? - gniewne spojrzenie komandora zwiastowało burzę.

- Jak już powiedziałem, uosabiam, komandorze, zarówno twoich przodków, jak i następców. Jestem jedną ze złotych bestii, które zadreślały was w przeszłości, dręczą obecnie i będą dręczyć w przyszłości.

Zecol, potrząsając głową, poprowadził Wildheita z powrotem do obszernego, białego pomieszczenia i oparł się o stół, zamiast za nim sięść. Rozstawieni po kątach strażnicy nerwowo manipulowali przy broni, ale tym razem już nie kierowali jej ku więźniom. Najwyraźniej dotarła do nich wiadomość o losie ich kolegi po fachu, który próbował strzelać do Nad-inspektora. Przez kilka sekund Wildheit badawczo przyglądał się oficerowi.

- Rozumiem, że nie przekonałem cię jeszcze dostatecznie, Komandorze. To nieroztropne z twojej strony, że podejrzewasz mnie o jakieś sztuczki, chociaż nie potrafisz wykryć, w jaki sposób ich dokonałem. Co byś powiedział na jeszcze jeden przykład, który wykaże, jak wielka różnica klas nas dzieli?

- To szaleństwo!

- Czy masz jakichś ludzi wprawnych w walce wręcz?

- Wielu doskonałych.

- Wyznacz trzech, którzy staną do walki na śmierć i życie. Wezwij także pięćdziesięciu z załogi na świadków. To dla ciebie jedyna szansa. Tylko tak możesz zabić rozwijającą się legendę.

- Tylko trzech ludzi przeciwko tobie i twojej magii, inspektorze? Czy to jest ta pułapka, którą na mnie zastawiasz

- Zecol, zamyślony, uniósł swą wielką głowę.

- Wcale nie! Proponowałem trzech twoich ludzi przeciwko jednej dziewczynie.

- O ile wiem, ona nie dysponuje legendarną bronią nad-inspektorów. - Oczy Zecola wyrażały poważne wątpliwości. Spojrzał na strażników, którzy z zainteresowaniem przysłuchiwali się rozmowie, udając, że nie dociera do nich ani jedno słowo. - A jeśli odmówię, to oczywiście jeszcze bardziej podtrzymam legendę. Przystaję na twój blef, inspektorze. Walka będzie przebiegać tak, jak powiedziałeś, aczkolwiek nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć.

- Zapytaj raczej co masz do stracenia, jeśli trzech twoich ludzi nie zdoła pokonać jednej dziewczyny. Róźdzko, czy odpowiada ci taki układ?

Kiedy ich spojrzenia spotkały się, była spokojna i próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie udało jej się powstrzymać uśmiechu.

- Jesteś starym, przebiegłym lisem, inspektorze Jym - powiedziała.

- Muszę, biorąc pod uwagę towarzystwo, w jakim przebywam.

- Przebiegłym czy nie - powiedział Zecol - ale tym razem padniecie ofiarą własnych krętałów.

Komandor wezwał straż i wydał serię rozkazów. Wkrótce zebrana załoga zaczęła formować dwuszereg. Naturalną wesołość z powodu tej nieoczekiwanej rozrywki powstrzymywała nieco obecność srogiego Zecola. Kiedy już wszyscy ustawili się wzdłuż ścian pomieszczenia - według oceny Wildheita sprowadzono tu około setki ludzi - komandor kazał wystąpić swoim mistrzom. Szli rozbawieni. Byli muskularni, a ich lekki chód świadczył o ich szybkości i precyzji ruchów. Śmiejąc się od ucha do ucha, żartowali jak potraktują tę złotą bestię rodzaju żeńskiego przed jej zabiciem.

Róźdzka stała pośrodku niskiego, okrągłego podwyższenia i obserwowała, jak nadchodzą. Tylko oczy zdradzały jak bardzo jest skupiona. Twarz była wciąż spokojna. W tym opanowaniu było coś co sprawiło, że mężczyźni zatrzymali się na chwilę. Zecol jednak warknął rozkaz i znowu ruszyli w kierunku dziewczyny.

Jeden z nich przejął inicjatywę i wskoczył na podium, czyniąc wystudiowany zwód, raczej starając się chwycić dziewczynę, aniżeli ją zaatakować. Było to z jego strony idiotyzmem, za który drogo zapłacił. Róźdzka niszczycielsko spożytkowała jego rozpęd. Wykonała kilka zaledwie dostrzegalnych ruchów. Wykorzystując nierozważny skok przeciwnika, podrzuciła go w górę, obróciła w powietrzu, a następnie uderzyła jego ciałem o kant podwyższenia. Mężczyzna potoczył się z przetrąconym krzyżem. Jego oczy stały się szkliste i nieruchome. Rozległo się pełne przerażenia westchnienie wszystkich widzów.

Pozostali dwaj uczestnicy walki, uświadomiwszy sobie grożące im śmiertelne niebezpieczeństwo, natychmiast spoważnieli. Zabawa, której się spodziewali, straciła swój urok, rzeczywiście okazała się walką na śmierć i życie. Odbyli krótką naradę, po czym jeden z nich ruszył naprzód, przybierając bojową postawę.

Róźdzka obserwowała, jak się zbliża. Sprawiała wrażenie nie przygotowanej do jakiegokolwiek obrony. Nie dał się zwieść - przyjął doskonałą pozycję, by zadać jeden, jedyny cios, który powinien ją zabić.

Straszliwy cios trafił w powietrze. A potem ona była przy nim, za nim i wokół niego, wykonując fantastyczny taniec, którego choreografia oparta była na przewidywaniu i wyprzedzaniu ruchów walczącego. Zbity z tropu i zdezorientowany, że nie może wyprowadzić ani jednego skutecznego uderzenia, wpadł w złość i zrobił się trochę nieostrożny. Zadana przez Róźdzkę seria krótkich jak ukłucie żądłem ciosów, których nie mógł odparować, wprawiła go w furję. Wtedy jednak dziewczyna zaczęła walić już na serio, chcąc zmasakrować ciało, zanim wymierzy ostateczny cios. Jej przeciwnik bez przerwy walił na oślep, usiłując trafić, ale ona za każdym razem wyprzedzała go o drobnutki ułamek sekundy. Mimo swej zaciekłości nie był w stanie nic jej zrobić.

W tym czasie, ostatni z wyznaczonych do walki krążył bezustannie, starając się znaleźć za plecami Róźdzki. Czekał na okazję, by zaatakować ją od tyłu. Ta niegodna taktyka wywołała

uwłaczające komentarze kolegów stojących pod ścianami. Jednak mistrzowskie, umyślne przedłużanie przez Róźdzkę masakrowanie człowieka, którego miała przed sobą, przekonało czającego się za nią Ra o słuszności obranego sposobu walki. Nagle dał susa, by zadać cios łokciem i złamać przeciwnicze kręgosłup. W powstałym nagle zamieszaniu, nikt nie zdołał dostrzec, co się stało. W rezultacie jednak, jeden z przeciwników Róźdzki leżał krztusząc się własną krwią, a drugi z dziwnie wywichniętymi rękoma uciekał z pola walki na złamanie karku.

Ryk protestu, który podniósł się pod ścianami, powstrzymał zbiega, a kiedy Róźdzka uniosła w górę rękę, zapanowało kompletne milczenie. Bez słowa kiwnęła palcem na niedoszłego dezertera. Gdyby zbiegł przed złotą bestią, naraziłby się na pogardę kolegów. Gdyby powrócił do walki z połamanymi rękoma, naraziłby się na prawie pewną śmierć. Stał rozpaczliwie usiłując podjąć decyzję. Okrzyki kolegów przechyliły szalę. Z beznadziejną rezygnacją niepewnym krokiem ruszył w stronę Róźdzki. Ona zaś jednym, dobrze plasowanym ciosem przetrąciła mu kark.

14.

Na twarzy Kasdei stojącego tuż obok inspektora malowała się zmieszana z niedowierzaniem ulga.

- W ogóle cię nie rozumiem - powiedział do Wildheita. - Dlaczego naraziłeś tę małą na takie ryzyko? - padło pytanie, w którym zabrzmiała nuta oskarżenia.

- Ryzyko było niewielkie, Kasdeya. Przypominasz sobie, jak pokonała Gadreela? Zrobiła to na sposób Ra. Dabria musiał osobiście przyłożyć rękę do jej wyszkolenia. Wiedziała, jakie zadawać ciosy i jakich oczekiwać.

- Tak, ale jedna dziewczyna przeciwko trzem...

- ...to nieuczciwe, ale nie w takim sensie, jak sobie wyobrażasz. Ona ma jedną wielką przewagę, której żaden Ra nie posiada. Potrafi przewidzieć czas i miejsce każdego ciosu, a nawet wykryć powstanie decyzji, która nim rządzi. W porównaniu z nią Ra, których pokonała byli ślepcami. Na dodatek Ra są zabójcami jedynie dzięki treningowi, zaś w przypadku Róźdzki jest to kwestia instynktu. Myślę, że któregoś dnia będzie próbowała zabić również i mnie.

Komandor Zecol, którego twarz spochmurniała od gniewu, ujął Wildheita pod ramię. Aby do niego podejść, musiał przedrzeć się przez tłum członków załogi i techników, powołanych na świadków walki. Wszyscy oni zajęci byli teraz dyskusją, wyrażając krzykliwie wielką sympatię i podziw dla złotej bestii.

- Inspektorze, zabierz ze sobą dziewczynę i chodź za mną - zadysponował Zecol. - Mam wam coś do powiedzenia.

Wildheit dał znak Róźdzce, by do nich dołączyła. Kilku strażników chciało im towarzyszyć, ale Zecol odprawił ich zniecierpliwionym ruchem ręki i ruszył w szalonym tempie. W ślad za nim podążyli Nad-inspektor, jasnowidz i Kasdeya. Komandor, po wejściu do obszernej i dobrze wyposażonej kabiny, zatrzasnął drzwi i zwrócił się gniewnie do Wildheita.

- Dojdźmy do porozumienia, inspektorze. Możliwe, że masz jakiegoś opiekuńczego ducha, ale jestem pewien, że zabicie ciebie nie jest czymś niemożliwym. Nie kuś mnie, bym spróbował. Zgodnie z naszymi obliczeniami Chaosu, oboje stanowicie najpotężniejszy ze znanych dotychczas katalizatorów. Osobiście mogę zaświadczyć, że siła waszego oddziaływania jest całkowicie niewspółmierna do siły dwóch normalnych osób. Ale ta indywidualna przewaga jest wszystkim, czym dysponujecie. Cała gadanina o złotych bestiach jest kłamstwem, czystym wymysłem.

- Możesz wierzyć, w co chcesz - powiedział Wildheit. - Ręcę jednak, że wśród niższych rangą członków załogi statku legenda działa znacznie silniej. W każdej kulturze istnieje tajemne umiłowanie własnych szatanów, ponieważ jednostki nigdy nie są w stanie dorównać własnym świętym.

- Aha! - Zecol natychmiast przystąpił do rzeczy. - Sądziłem, że trąci to jakąś socjologiczną tresurą. A tymczasem sprawiłeś mi duży kłopot. Zaraziłeś moich strażników zabobonami i naruszyłeś dyscyplinę, dzięki której dowodzę tym statkiem. Wywierasz zgubny wpływ, którego nie mogę tolerować, ale nienawidzę również myśli, by cię zlikwidować. Musimy bowiem włożyć wiele pracy, aby odwrócić skutki twojej katalizy.

- To rzeczywiście dylemat - stwierdził Wildheit.

- Istotnie, ale wkrótce dam sobie z nim radę. Zamierzałem przeprowadzić analizę twoich zdolności katalitycznych na pokładzie mego statku. Zastaniesz jednak przekazany do stacji naukowej Chaosu, gdzie utrzymanie dyscypliny jest mniej istotne. Jeżeli będziesz z nimi współdziałał, to może uda ci się przeżyć. Ale jeżeli wytniesz jeszcze jakieś sztuczki, podobne do tych, które oglądaliśmy dzisiaj, zniszczę cię bez względu na wszystko. Ostrzegam cię, Nad-inspektorze, zostań w tym pomieszczeniu i nie próbuj urządzić już żadnych przedstawień, bo w przeciwnym razie osobiście dopilnuje, żeby cię wyrzucono w przestrzeń, jak śmieć.

Komandor wyszedł, trzaskając drzwiami. Zamknął je za sobą na klucz. Wildheit wzruszył ramionami i zaczął chodzić po kabinie, badając jej wnętrze.

- Mówiłem ci, że wszystko potoczy się po mojemu, Kasdeya.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, co to znaczy "po twojemu". Nie tylko Ra przeżyli dzisiaj parę wstrząsów. Swoją drogą nie wydaje mi się, by wielu więźniów zaszczycono zamknięciem w kabinie komandora. To świadczy o wrażeniu, jakie wywarłeś na Zecolu. Bardzo chciałbym usłyszeć, jak będzie próbował odeprzeć zarzut ulegania wpływom złotych bestii.

Wildheit z uwagą przyglądał się jakiemuś pulpitowi. W jego górnej części znalazł wmontowany sześcian, przypominający ekran.

- Potrafisz to uruchomić? - zwrócił się do Kasdei.

- Trochę skomplikowane, ale symbole instrukcji są dosyć proste. Co chciałbyś zobaczyć?

- Ciekaw jestem, czy ten odbiornik może przekazywać obrazy z ekranów nawigacyjnych.

Chciałbym wiedzieć, gdzie mają zamiar nas zostawić.

- Z pewnością wlecieliśmy w styk między wszechświatami, ale nie dokonaliśmy przejścia na drugą stronę. Przypuszczalnie znajdujemy się wciąż między dwoma wszechświatami. Jedna pewna do tej pory informacja to ta, że mają nas odstawić do jakiejś stacji.

- Na jakiej podstawie doszedłeś do takiego wniosku?

- Zecol mówił wyraźnie o ulokowaniu nas gdzieś, gdzie utrzymanie dyscypliny jest mniej istotne. Mam wrażenie, że chodzi raczej o jakąś spełniającą warunki bezpieczeństwa stację kosmiczną, aniżeli dużą placówkę badawczą na planecie.

W trakcie całej rozmowy Kasdeya rozpracował układ regulacji, umieszczony pod sześcianem. Mógł już uzyskać pewną liczbę obrazów, przekazywanych najwyraźniej przez kamery znajdujące się w obrębie statku. Następnie dostał się do banku zaszyfrowanej informacji, prawdopodobnie układu przesyłania danych. Wreszcie zaczął odnajdować puste pola, które, jak dowiedzieli się z opisu na skraju ekranu, były radarowymi obrazami z pustych obszarów na granicy wszechświatów.

- Jak na razie nie ma na co patrzeć, co nie znaczy, że tam w ogóle nic nie ma. Stacja kosmiczna to niezwykle mały punkcik pośród nieskończoności.

- Jak styk wszechświatów może być nieskończony, skoro posiada granice?

- Penemue mógłby wytłumaczyć to lepiej. Ja mogę udzielić ci tylko jednej odpowiedzi - granice styku są określone przez prędkość, a nie przez wymiary. To najdziwniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić.

Wildheit zasiadł przy pulpicie i obserwując pusty ekran starał się zrozumieć sytuację na podstawie tajemniczych symboli, od których roило się wokół obrazu. Choć na ekranie nie było widać żadnego ruchu, w wyobraźni Nad-inspektora olbrzymi statek pędził z szaloną prędkością do jakiegoś punktu zbyt jeszcze odległego, by można go było dostrzec. Czasami wydawało mu się, że odkrywa na powierzchni sześcianu maleńką smużkę światła, odbijającą się od monotonna tła. Jednak za każdym razem było to tylko złudzenie. Obserwacja ekranów zdawała się mieć niemal hipnotyczne działanie. Nad-inspektor rozsiadł się wygodnie w fotelu. Jego uwaga osłabła, aż w końcu zapadł w lekką drzemkę.

Obudził go jazgot rozbrzmiewających na całym statku sygnałów alarmowych. Gdy jego spojrzenie padło na ekran monitora, gwałtownie wyprostował się i przywołał Róźdzkę i Kasdeyę.

- Chodźcie tu i zobaczcie, dokąd zdążamy - powiedział. Oboje rzucili się w stronę ekranu. Ich oczom ukazała się fantastyczna konstrukcja Broni Chaosu. Jej szczegóły z sekundy na sekundę stawały się coraz bardziej wyraziste, w miarę jak statek podchodził do lądowania.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności!

- Nie wiem czy naprawdę szczęśliwy - powiedział zamyślony Kasdeya. - Powinniśmy byli wcześniej się nad tym zastanowić. Fakt, że aparatura naukowo - badawcza znajduje się w bezpośredniej bliskości potężnej Broni ma dla ciebie istotne znaczenie. Jednak najważniejszy jest charakter samego styku. W strefie granicznej między wszechświatami nie zachodzą żadne zjawiska fizyczne, stanowi więc ona spokojne podłoże, dzięki któremu dokładnie można obserwować zdarzenia Chaosu. Podejrzewam, że przede wszystkim dlatego Zecol wprowadził swój statek do styku.

Trwali w bezruchu, czując respekt przed ogromem Broni Chaosu. Upłynęło kilka godzin, w czasie których między statkiem i jednym z satelitów, krążących zawzięcie wokół wyglądającego jak olbrzymi dysk reaktora gorączkowo kursowały promy kosmiczne. Do kabiny podano posiłek. Przyniesiono również kombinezony, które jedynie na wpeł skrywały złotą barwę skóry.

Nad-inspektor długo obserwował widoczne na ekranie szczegóły Broni Chaosu. Kasdeya ustalił, jak obsługiwać regulator zbliżenia obrazu i jak zmieniać kąt teledetektora, aby uzyskać obraz całej Broni. Konstrukcja techniczna Broni była imponująca, ale dwa razy bardziej fascynowały jej gigantyczne rozmiary. Całość urządzenia, łącznie z przerwami między poszczególnymi częściami składowymi, osiągała długość blisko dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Teraz było nieczynne. Widok wnętrza części wielkiego rogu, do którego wpuszczana była wirowo materia gwiazdna, odsłaniał olbrzymie spiralne zwoje i leje. Materiał, z którego to wszystko było zbudowane, uległ poważnemu zniszczeniu wskutek stykania się z zabieraną gwiazdom plazmą.

Zecol, gdy powrócił, zastał Wildheita nadal pochłoniętego studiowaniem obrazu na ekranie. Z ubolewaniem pokiwał głową.

- Jeśli zlokalizujemy kiedyś jakiś uszkodzony statek z nad-inspektorem na pokładzie, wydam rozkaz by go natychmiast zniszczyć. Nie sądzę, bym mógł znieść jeszcze jedno takie spotkanie - powiedział komandor, zwracając się wyraźnie do Kasdei. - Inspektora i dziewczynę przekazujemy właśnie do laboratorium naukowego Chaosu, by poddać ich doświadczeniom. Pozostała czwórka dotrzyma im towarzystwa, pełniąc rolę tłumaczy. W ten sposób, być może, zyskacie niewielkie odroczenie egzekucji.

- Rozumiem - powiedział Kasdeya grobowym głosem.

- Nie myśl sobie, że uda się wam zbiec. Nie macie dokąd uciekać. Szansa przeżycia jest wprost proporcjonalna do stopnia waszego współdziałania. W komorze służowej czeka na was wahadłowiec. Zbierz resztę i zgromadźcie się tam.

Kasdeya, z lekka oszołomiony nieoczekiwanym udzieleniem mu pewnej swobody, udał się po Asbeela, Jequna i Penemuego. Następnie całej szóstce zezwolono na przejście do służby. Towarzyszyli im Zecol i dwóch strażników. Po kilku minutach unosili się już w przestrzeni, uczestnicząc w zawitych operacjach, mających na celu zrównanie ich prędkości i pozycji z prędkością i pozycją jednej ze stacji na orbicie Broni Chaosu.

Manewr wejścia na nową orbitę został wykonany doskonale. Wkrótce stąpali po rozległym wnętrzu czegoś, co ze statku wyglądało na miniaturowy, sztuczny świat. Ciągące się bez końca metalowe korytarze i metalowe ściany prowadziły do olbrzymich sal, wyposażonych w sprzęt, którego wygląd mówił Wildheitowi niewiele albo w ogóle nic. Wyraźnie jednak dowodził, iż nauka Ra uczyniła postępy, które znacznie przewyższają dokonania Frderacji. Oglądane w przelocie laboratoria i pomieszczenia obsługi, ze względu na dostosowanie konstrukcji do potrzeb człowieka, sprawiały wrażenie czegoś raczej futurystycznego niż obcego.

Róźdzka, Wildheit i Kasdeya zostali wkrótce odseparowani od reszty i wprowadzeni do obszernej sali, wypełnionej zwartymi rzędami krzesel, które przywodziły Nad-inspektorowi na myśl amfiteatralną salę wykładową. Przy półokrągłym stole, umieszczonym na najniższym poziomie, siedziała grupa cywilów. Nad-inspektorowi, Róźdzce oraz tłumaczowi polecono stanąć przed nimi.

Przesłuchujący wstał i obejrzał uważnie Wildheita.

- Czy wiesz, dlaczego tu jesteś, Nad-inspektorze? - zapytał.

- Oczywiście. Jestem tu po to, żeby was zniszczyć - odpowiedział Wildheit lekko.

Wśród zebranych przeszedł szmer. Zecol ze smutkiem potrząsnął głową.

- Skąd bierzesz pewność, że jesteś w stanie nas zniszczyć?

- To jest zapisane we wzorach Chaosu.

- Wzory można różnie interpretować. Istnieją różne techniki manipulacji i sposoby podstawiania, dzięki którym spełnione zostaje równanie Chaosu bez potwierdzenia konkretnej przepowiedni.

- Ale nie w tym przypadku - oświadczył Wildheit.
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Ponieważ stoicie w obliczu ostatecznej katastrofy - powiedział Nad-inspektor spoglądając na Róźdzkę. - To będzie klęska, przy której zbledną wszystkie inne nieszczęścia. Tu niczego nie da się podstawić ani zmienić. Nic z was nie pozostanie.

Nastąpiło długie, przytłaczające milczenie. Potem podniósł się kolejny mówca.

- Możesz mi wierzyć albo nie - powiedział - ale wasza przepowiednia pokrywa się z naszą. Jednak my mamy zestawy wielu zmiennych o potencjalnie różnorodnych interpretacjach i zamierzamy je wykorzystać.

- Tonący brzytwy się chwyta - powiedział Wildheit.

- Nie sądzę. Stwierdzono u was obojga niezwykle potężną moc katalityczną. Jestem świadomy faktu, iż zabicie was nie musiałyby przerwać katalizowanej reakcji. Niekiedy, w przypadku wydarzeń społecznych o charakterze martyrologicznym, śmierć przywódcy może właśnie wyzwolić reakcję. Dlatego zamierzamy przeprowadzić na was analizę Chaosu, by określić charakter waszej katalizy i pokierować nią tak, by zmniejszyć rozmiary zniszczeń.

- To się nie uda - odparł Wildheit. - Wzory są już ustalone i nie ma w nich przyszłości dla Ra.

- Wobec tego trzeba ją tam wpisać, inspektorze. Chcemy się właśnie dowiedzieć, jak to zrobić. Dzięki temu, co uzyskamy poddając was badaniom, nie tylko będziemy mogli przetrwać, lecz także z góry zapisać kształt własnej historii. Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli zajmiemy się teraz praktyką, ponieważ czas płynie, a mamy wciąż mnóstwo do zrobienia.

Klatka, w której umieszczono Wildheita, pomyślana była nie tyle jako sposób na uwięzienie go, ile jako winda, za pomocą której można by przenosić go do olbrzymiego aparatu w jednej z sal ze sprzętem naukowo - badawczym. Nad-inspektor, zamknięty jak ptak w kulistej klatce został uniesiony wysoko w górę. Nie mógł oprzeć się myśli o średniowiecznych sposobach karania. Polegały one właśnie na windowaniu uwięzionego w klatce człowieka wysoko ponad ziemię i pozostawianiu go tam, by umarł z pragnienia, głodu i zimna, stając się pożywieniem dla padlinożernych ptaków. Miejsce przeznaczenia klatki z Wildheitem było znacznie mniej eksponowane.

W olbrzymim bloku, o ścianach o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych, wykonanym z jakiegoś materiału ochronnego, przewiercony był pionowy szyb. Pod kątem prostym do ścian, między przeciwległymi płaszczyznami sześcianu, wydrążono okrągłe tunele. Dźwig zwiózł więźnia ostrożnie i powoli na dno szybu, aż do miejsca przecięcia się tuneli. Kulista klatka została ustawiona na osiach trzech wymiarów. Do wnętrza przedostawało się jedynie przytłumione światło z góry. podczas krótkiej jazdy Nad-inspektor zauważył, iż na końcach poziomych tuneli zainstalowane były głowice, które prawdopodobnie miały napromieniować klatkę i zarejestrować uzyskane wyniki.

- Słyszysz mnie, inspektorze? - spytał nagle rozbrzmiewający echem w tunelu głos.

- Kto tam jest?

- Penemue. Będę tłumaczem podczas tego seansu.

- Co zamierzają ze mną zrobić?

- Zostałeś osłonięty, najbardziej jak to możliwe, przed ubocznym promieniowaniem entropii. Poddany będziesz teraz zmianom stanu entropii w celu określenia twoich widm Chaosu. Mają nadzieję, że wydedukują wówczas charakter twojego katalitycznego oddziaływania.

- Czy to im dużo powie?

- Nie sądzę. Jeżeli Saraya należycie wykonał swoją robotę, prawdziwym katalizatorem staje się sytuacja, a ty jesteś zaledwie pośrednikiem, z którym ta sytuacja się łączy. Myślę, że Ra również obawiają się, że to prawda, co nie przeszkadza im próbować udowodnić, że jest inaczej.

- Czy należy spodziewać się bólu?
- To zależy od pola, jakie zastosują i od wyników, jakie uzyskają.
- Powiedz im, żeby się pospieszyli, bo w tej klatce dla papugi drętwieją mi mięśnie, których i tak już prawie nie czuję.

Penemue nie miał raczej możliwości przyspieszenia programu, aczkolwiek przyrządy niemal natychmiast zaczęły działać. Najpierw nastąpił silny podmuch powietrza, włączanego poziomymi tunelami i wylatującego przez szyby pionowe. Wildheit znalazł się w samym centrum miniaturowego huraganu. Wicher hulał ze świstem między drążkami klatki. Następnie wprowadzono do akcji aparaturę świetlną. Na końcach tunelu rozbłysła czerwona, pulsująca jasność. Nieprzerwane, jęklive buczenie sygnalizowało kolejną fazę procesu, w trakcie którego w głąb każdego poziomego tunelu wystrzelono wiązki jakichś promieni, ześrodkowane na osobie Nad-inspektora.

Wildheit nie wiedział, jaki charakter mają te promienie. Przez chwilę odczuwał jedynie silne promieniowanie ciepłe. Następnie został porażony jedynie ładunkiem elektrycznym. Włosy stanęły mu dęba. Iskry wyładowań z prętów klatki skakały mu po ciele. Cofnął się możliwie najdalej od prętów, lecz duże, strzelające iskry przeskakiwały mu między palcami, z ramion na klatkę piersiową, a z brody i uszu na szyję.

- No i jak? - spytał zaniepokojony Penemue.
- Kiedy piecze się mięso, powinno się dolać trochę sosu i wrzucić nieco jarzyn. Oni smażą mnie żywcem. Powiedz im, żeby wyłączyli tę piekielną maszynę.
- Spróbuję - głos Penemuego brzmiał niepewnie. Nim zdążył przekazać prośbę inspektora, gdzieś z sali dobiegł dźwięk głośnego wybuchu. Maszyna zamarła.
- Nie musiałeś przedstawiać im tego tak przekonująco - powiedział Wildheit z drwiną.
- To nie ja, sam to zrobiłeś - odrzekł podniecony Penemue. - Kiedy zaczęli badać przyszłość, twój wskaźnik Chaosu podniósł się znacznie i nadal piał się w górę do nieskończoności. Jego wzmocnienie było tak silne, że nie zdołali zapobiec przeciążeniu. Rozsadziło im mnóstwo sprzętu. Zecol odchodzi prawie od zmysłów. Gotów przysiąc, że zrobiłeś to by mu dokuczyć.

- Co z tego wynika?
- Na podstawie skutków, które do tej pory widziałem, sądzę, że twoja przepowiednia ostatecznej katastrofy pozostaje w mocy. To nie wszystko - przepowiednia wskazuje, iż w chwili wybuchu znajdziesz się gdzieś w pobliżu jego epicentrum. Dowodzi to rzeczywistego istnienia katalizatora sytuacyjnego, a ty jesteś pośrednikiem, który wywołuje reakcję. Nie są tu jedynomyślni co do charakteru samej katastrofy, ani co do sytuacji, w której ją wyzwolisz.

- Wolałbym osobiście uzyskać trochę informacji. Czy oni mają zamiar mnie stąd wyciągnąć?

- Jeszcze nie. Próbują zamontować jakiś nowy sprzęt kontrolny, by dokonać jeszcze prób ze zmianą niektórych parametrów. W jednym punkcie obliczenia czasowe są zupełnie niezgodne z pierwotnymi przepowiedniami. Według was katastrofa powinna wydarzyć się w ciągu kilku dni, podczas gdy oni uważają, że jest to sprawa lat. Jeżeli wy macie rację, a oni są w błędzie, bardzo niewielu Ra miałoby w ogóle jakąś szansę ujrzenia nowego wszechświata.

15.

Zakwaterowano ich w jednym ze skrzydeł stacji, gdzie czekał ich nieoczekiwany luksus - jednoosobowe kabiny i świetlica do wspólnego użytku. Nadzór ze strony strażników miał wyłącznie symboliczny charakter. Poza rzadkimi przylotami statków z zaopatrzeniem, nie było żadnych sposobów ucieczki. Z wyjątkiem kilku specjalnie strzeżonych stref, mogli właściwie poruszać się swobodnie po całej stacji. Wildheit zamierzał to wykorzystać. Zaangażowanie wszystkich czterech renegatów Ra w charakterze tłumaczy oznaczało w praktyce, iż wspólnie mieli oni dostęp do większości wyników testów. Jednocześnie dysponowali wystarczającą ilością wolnego czasu, by zbadać stację i jej związki z Bronią Chaosu. Najcenniejszą informacją, którą uzyskali dzięki swobodzie poruszania się było to, że właśnie tu, na tej stacji, programowano obiekty bombardowań. Natomiast systemy sterowania Bronią były kontrolowane przez inną stację, znajdującą się nie opadał. Najbardziej przygnębiający był fakt, iż wszelkiego typu porozumiewanie się między orbitującymi stacjami odbywało się za pomocą komunikatów. Prawie nigdy nie wymieniano między stacjami ludzi. Udaremniło to plan Wildheita, zakładający próbę sabotażu.

Tymczasem napięcie wśród technicznej załogi stacji rosło. Zgodnie z podejrzeniami Penemuego potwierdziło się to, że katalizatorem Chaosu był splot okoliczności, a inspektor spełniał wyłącznie rolę pośrednika. Ra nie potrafili uzyskać rozstrzygających wyników z czegoś tak niematerialnego jak sytuacja teoretyczna. Przeprowadzane przez nich testy coraz wyraźniej wskazywały na istnienie związku przyczynowego między Wildheitem i ostateczną katastrofą. Dowodziły także znacznej niezgodności czasowej między przepowiedniami dokonany na podstawie wzorów Wildheita i tymi, które pochodziły z analizy Chaosu przez Ra.

Ra przeżyli jednak chwilę triumfu, kiedy poświęcili swoją uwagę Róźdzce. Dotyczące jej wzory pozostawały w całkowitej zgodzie z ich własnymi i nic nie wskazywało, by miała być wyzwajającym katastrofę katalizatorem. To, że napawający ich przerażeniem katalizator Chaosu dzielił się na dwie nieidentyczne składowe, zostało uczczone nocnym świętowaniem. Byli coraz bardziej przeświadczeni, że wkrótce uda im się rozwiązać problem.

Kasdeya także zmienił zdanie o Róźdzce. Złościło go to, że chętnie współpracowała z Ra podczas testów, jak również i sposób prowadzenia uczonych dyskusji z technikami na temat wyników badań. Kiedy jej to zarzucił, udzieliła wymijającej odpowiedzi i wpadła w ponury nastrój. Gdyby Zecol ich nie pogodził, mogłoby dojść do ostatecznego rozłamu.

W godzinach przeznaczonych na odpoczynek przybyła grupa uzbrojonych strażników, którzy zabrali Róźdzkę, Asbeela i Jequna do służby, gdzie potajemnie został sprowadzony wahadłowiec. Wyruszył ku nieznanemu miejscu przeznaczenia, pozostawiając Wildheita, Kasandrę i Penemuego w rozpacz i w gniewie. Wraz z odlotem Róźdzki zostali pozbawieni klucza, dzięki któremu mogliby sprawdzać słuszność swych poczynań, konfrontując je z przepowiedniami Chaosu. Nagle cała kampania wydała im się daremna, a perspektywa szybkiego urzeczywistnienia się ostatecznej katastrofy mniej realna niż stopy wykresów, z których pozornie wynikało, iż wydarzy się ona w bardziej odległej przyszłości.

Nie mogli mieć pewności, czy podział był zamierzony, czy wynikał po prostu z przebiegu badań. Wizyta Zecola wzmogła jeszcze ich rozczarowanie. Był w ogromnie radosnym nastroju.

- Nasza misja ma się ku końcowi - oświadczył. - Wezwałem już okręt żandarmerii, który zabierze was do Bazy Wojennej. Kasdeya i Penemue staną tam przed sądem za udział w wydarzeniach, które sprowokowały Wielki Gniew oraz w licznych, późniejszych, świadczących o zdradzie zajściach. Na uniewinnienie nie ma szans. Co się tyczy ciebie, Nad-inspektorze, opór przyspieszy tylko twoją śmierć zresztą i tak nieuniknioną.

- Dziwie się, że zadajecie sobie taki trud - powiedział Kasdeya. - Baza Wojenna znajduje się daleko stąd. Czy ma sens zabieranie nas tam wyłącznie w celu wykonania wyroku?

- Nie rozumiesz istoty sprawy. Teraz, gdy cień, który nad nami wisiał został rozproszony, wasz pokazowy proces będzie jedynym z ciekawszych punktów naszego święta.

- Gdy cień został rozproszony? - szybko zareagował Penemue.

- Pozostało jeszcze do załatwienia kilka drobiazgów, ale nie ma już problemów nie do rozwiązania. Dziewczyna z Mayo wykazuje w takich sprawach nadzwyczajną bystrość, zwłaszcza od czasu odseparowania jej od inspektora. Bez jej pomocy nie zaszlibyśmy tak daleko w tak krótkim czasie.

- Za jaką cenę kupiliście tę pomoc? - spytał nagle Wildheit.

- Nie twój interes. Zresztą skoro już pytasz, za obietnicę wyzwolenia ludu planety Mayo spod ucisku Federacji.

- Do licha! Powiniennem się domyślić - Wildheit prawie się uśmiechnął. - Komandorze, przekonasz się, że dobiłeś najgorszego ze złych targów.

- Nie ma tam nic takiego, czego nie załatwiłoby kilka miotaczy - cynicznie odparł Zecol.

- Nie wydaje ci się, że Róźdzka przepowiedziała by to zawczasu? O nie, komandorze, nawet diabeł pomyślałby dwa razy, nim zdecydowałby się paktować z którymś ze Zmysłowców.

- Rozczarowujesz mnie, inspektorze. Oddaję ci cześć jako człowiekowi dzielnemu, ale przegranemu. Nie psuj wyobrażenia o sobie szukaniem dziury w całym. Nie planujemy już więcej żadnych testów. Możesz więc odprężyć się do czasu przybycia żandarmerii.

Kiedy komandor opuścił stację, Wildheit zebrał swoich ludzi.

- Coś tu nie gra - zaczął. - Penemue, widziałeś wyniki ostatniego testu? Czy cokolwiek wskazywało na zasadniczą zmianę wzorów?

- Wręcz przeciwnie. Doszły dwie cyfry istotne dla dokładnego określenia czasu.

- Wobec tego jaką grę prowadzi Zecol? Zapewne nie jest aż tak głupi, żeby polegać na tej małej. Z przepowiedni Chaosu nie dowie się, co ona knuje.

- Jak myślisz, dokąd zabrali Róźdzkę?

- Pewnie nie dalej, niż do stacji sterowania Bronią.

- Mieli zatem dość czasu na wykonanie dodatkowych badań Chaosu - stwierdził Penemue.

- Niewykluczone, że znaleźli coś jeszcze. Podejrzewam jednak inne rozwiązanie. Sądzę, że mała pokazała im metodę przedstawiania, dzięki której odnoszące się do ciebie równanie może być spełnione przez zniszczenie ciebie. Skutek, aczkolwiek gwałtowny, będzie miał czysto lokalny zasięg. Innymi słowy, to co się teraz stanie, nie oznacza ostatecznej katastrofy w ogóle, lecz ostateczną katastrofę przydarzającą się Nad-inspektorowi J. Wildheitowi.

- Wątpię, czy można czegoś takiego dokonać - zaprotestował Kasdeya. - Wyzwolono by za dużo energii. Jeśli na przykład w tej chwili zostałaby wyzwolona energia wszystkich znajdujących się na tej stacji urządzeń napędowych, z pewnością uległoby zniszczeniu kilka najbliższych stacji. Jeżeli Róźdzka jest w jednej z nich, zginęłaby i ona.

- Nieprawda - zareagował Penemue. - W strefie styku skutki ulegają przestrzennemu ograniczeniu. Ta stacja uległaby zagładzie, a inna, oddalona zaledwie o metry, pozostałaby nietknięta. W obrębie styku nie istnieje wzajemny przepływ energii.

- Czy to możliwe, żeby zaplanowali właśnie coś takiego? Przypuśćmy jednak, że rzeczywiście zamierzają zniszczyć stację razem z inspektorem, by dokonać podstawienia entropii, spełniającego równanie Chaosu.

- Do zrównoważenia liczbowych wartości energii konieczny byłby piekielny wybuch.

To prawda. Ale zmagazynowana energia, której nie wysłano by na styk musiałaby zostać odbita. Stacja ma kolisty kształt, a odbicia wewnątrz kuli wywołałyby w samym jej środku zjawisko indukcji.

- Co zatem robimy, inspektorze - spytał Penemue. Z brutalnych praw termodynamiki zaczyna wynikać, że ostateczna katastrofa może być upozorowana właśnie tu, na tej stacji.

- Powiem wam, co zrobimy: skoncentrujemy wszystkie wysiłki, by wydostać się stąd wszelkimi dostępnymi środkami. Jeżeli mnie tu nie będzie, przewidywany przez Chaos wybuch zostanie zastąpiony przez jakieś inne zjawisko. Największa szkoda, jaką możemy wyrządzić Ra - to kradzież statku nadającego się do lotu w głębokiej przestrzeni i wyprowadzenie go poza styk do

starego wszechświata. I niech tam, gdzieś w samym środku flotyli Ra, dokonującej inwazji, dosięgnie nas katastrofa.

- Ten plan odpowiada mi całkowicie - stwierdził Penemue. - Tak, naprawdę, chociaż ma jedną słabość - nie mamy tutaj dostępu do żadnych jednostek, które można by ukraść.

- A ten okręt żandarmerii, który ma przylecieć? - przy - pomyślał Kasdeya.

- Ciekaw jestem, czy to w ogóle prawda - Penemue pogrążył się w głębokiej zadumie. - Jeżeli zamierzają dokonać podstawienia, nie ma najmniejszego sensu, żeby przysyłali okręt żandarmerii. Wtedy, nawet jeżeli by tu przybył, nie będzie co zbierać. Jeśli natomiast pojazd rzeczywiście się zjawi, to byłibyśmy w błędzie co do podstawienia.

- W tej kwestii nie możemy się mylić. W żaden inny sposób nie da się wytłumaczyć różnicy między ustaleniem czasu katastrofy przez inspektora i przez nich.

- To paradoks. Sądzę, że mała potrafiłaby go rozwikłać.

- Zaczynam zastanawiać się, czy Róźdzka nie ponosi za niego odpowiedzialności - oświadczył Wildheit. - Umie przepowiadać Chaos w czasie realnym. Zaś Ra potrzebują kilku megaton sprzętu i wiele czasu na obliczenia, aby uzyskać choćby ułamkową część danych, które ona odczytuje jednym spojrzeniem. Bije ich na głowę, jeśli chce.

- Do czego zmierzasz, inspektorze?

- Co by było, gdyby podstawienie zmagistrował nie Zecol, tylko Róźdzka? Jeżeli ona wykorzystuje zarówno nas, jak i Ra dla swych własnych celów?

- Posuwasz się za daleko...

- Zastanów się nad tym. Dla pozorów dobiła targu z Zeco - lem, w zamian za co uzyskała obietnicę uwolnienia Mayo z jarzma Federacji. Przecież to planeta nigdy nie znajdowała się pod panowaniem Federacji. Mayo sama narzuciła sobie izolację. Cóż zatem to dziewczyna chciałaby osiągnąć usiłując wytargować coś, co nie jest jej potrzebne?

- Nie wiem. - Kasdeya był zaniepokojony. - Jednak czułbym się o wiele lepiej na statku, gdzieś w głębokiej przestrzeni. Teraz nikt z nas nie ma już nic do stracenia. Bez względu na podstawienie, teoretycznie wszyscy jesteśmy martwi. Zaczniemy zatem szukać sposobu wydostania się stąd.

Przy założeniu, że przybycie okrętu żandarmerii nie jest mistyfikacją, ułożyli śmiały plan, który wymagał precyzji działania. Technicy Ra, zakończywszy testy Chaosu, powrócili do swych - normalnych zajęć, a nadzór sprawowany nad więźniami przez niewielki oddział straży stał się jeszcze mniejszy. Spiskowcy mieli więc łatwy dostęp do wszystkich stref stacji, z wyjątkiem kilku specjalnie strzeżonych. Wykorzystywali tę swobodę na zaznajomienie się ze szczegółami konstrukcji stacji i jej urządzeń, a szczególnie uważnie przyjrzeni się strefie zawierającej aparaturę łączności oraz wyposażeniu służby prowadzącej na zewnątrz kulistego kadłuba.

Penemue podkreślił, że stacja zbudowana była wyłącznie w celach naukowo - badawczych, a projektanci nie brali w ogóle pod uwagę ewentualności sabotażu. Cała konstrukcja podzielona była za pomocą hermetycznych grodzi na pięć głównych stref. Te z kolei podzielone były na poziomy w taki sposób, iż pęknięcie grodzi głównego segmentu, w którym znajdowały się magazyn i urządzenia służowe, spowodowałoby przecięcie statku na pół. Jednocześnie przejście z jednej części do drugiej byłoby możliwe wyłącznie dla osób ubranych w skafandry. W górnej części stacji zlokalizowano pomieszczenia mieszkalne i rekreacyjne dla personelu, a bezpośrednio pod nimi główne laboratoria. Jeszcze niżej znajdował się segment magazynów i służ. Na najniższych poziomach mieściły się pozostałe laboratoria, pomieszczenia obsługi, kabiny łączności i te, w których ustalono obiekty bombardowań Bronią Chaosu.

Obserwując kilka cyklicznych dyżurów załogi, Kasdeya dokładnie obliczył liczbę osób personelu. Odkrył, że w czasie przeznaczonym na odpoczynek, gdy dokonywano zmiany wachty, poniżej głównego segmentu służ znajdowało się mniej niż pięciu ludzi. W tym samym czasie ponad setka była na górze. Zniszczenie w starannie dobranym momencie całości uszczelnień

próżniowych strefy śluz pozwoliłoby zbiegom przejąć kontrolę nad prawie połową stacji, wraz z jej środkami łączności zewnętrznej.

Pozostał jeszcze problem zatrzymania ludzi schwytych w pułapkę w górnej połowie stacji. Szybko założywszy odpowiednią odzież, staraliby się oni przejść strefę próżniową. Trudność tę rozwiązał Wildheit prostym sposobem. Zdołał niepostrzeżenie zniszczyć wszystkie znalezione na półkach ze sprzętem ratunkowym skafandry. Z każdego odłączył przewody doprowadzające powietrze, wyrzucając je do spalającego śmieci pieca. Takie same skafandry, znajdujące się w dolnej połowie stacji, pozostawił nietknięte, do własnego użytku.

Największy kłopot stanowiła synchronizacja w czasie. Plan zawładnięcia połową stacji mógł okazać się w pełni skuteczny jedynie wówczas, gdy przeprowadzony był w konkretnym momencie cyklu wachtowego. Przyszli uciekinierzy musieli być wcześniej ostrzeżeni o przylocie okrętu żandarmerii lub innego stosownego pojazdu. Pewne było, że w razie wykonania jakiegokolwiek przedwczesnego ruchu, Ra schwytni w pułapkę na górnych poziomach stacji zdążyliby naprawić uszkodzone albo uzyskać wystarczającą ilość dobrych skafandrów, by przekroczyć próżniową barierę. Mogliby także wymyślić jakiś sposób skontaktowania się z innymi stacjami, niwecząc próbę ucieczki.

Uzyskanie informacji o zbliżających się statkach bezpośrednio z pomieszczeń łączności, bez zwrócenia na siebie uwagi było jednak niemal zupełnie niemożliwe. W związku z tym cała trójka musiała poprzestać na obserwacji drużyn, obsługujących komory śluzowe w czasie bezpośrednio poprzedzającym przyloty statków z zaopatrzeniem. Ustalenie zakresu czynności każdego członka załogi śluz oraz odnotowanie osób powoływanych do poszczególnych drużyn, pozwoliłoby dość trafnie przewidzieć jakiego typu statek będzie rozładowywany.

Ostatni problem stanowiło zdobycie broni. Planujący ucieczkę odkryli, iż ta niewielka ilość broni, jaka znajdowała się na stacji, w całości należała do oddziału straży. Były to pociski gazowe o ograniczonym zasięgu, które mogły okaleczyć lub zabić, nie stanowiąc jednak zagrożenia dla szczelności kadłuba. W czasie obchodu obiektu strażnicy nosili tę broń przy sobie, kiedy indziej leżała ona rozrzucona niedbale po służbowej kabinie. Wildheit i Kasdeya byli zgodni co do tego, iż dopóki nie podejrzewano zagrożenia, mieli spore szansę wejść do służbowej kabiny i zabrać kilka miotaczy. Synchronizacja w czasie i w tym przypadku odgrywała decydującą rolę. Optymalny moment niekoniecznie musiał wypaść podczas zmiany wachty czy przylotu pojazdu kosmicznego, nadającego się do podróży w głębokiej przestrzeni.

Problem ustalenia czasu pozostawał w dalszym ciągu nierozstrzygnięty. Kiedy się nad nim zastanawiali, Penemue doniósł o niezwykłym poruszeniu wokół śluz. Dzwonki alarmowe zwoływały strażników, którzy mieli dozorować oddział przy nowo przybyłym statku. Niecodzienna procedura sugerowała, że jeżeli nawet nie przyłeci okręt żandarmerii, to może jest nadzieja na ucieczkę czymś lepszym niż zwykłym statkiem towarowym. Z tego względu Wildheit powziął decyzję ataku, mimo że nie był to najkorzystniejszy moment.

Wraz z Kasdeya natychmiast pobiegł uporać się ze - strażą. Obecność więźniów we wszystkich rejonach stacji przyjmowana była życzliwie, dlatego trzech mężczyzn znajdujących się w służbowej kabinie przywitało ich przyjaznym gestem. Dwóch strażników, zanim w ogóle zdążyło się zorientować w zamiarach przybyszów, leżało już bez przytomności, a trzeci - martwy. Wildheit chwycił broń, załadował ją i strzelając wtargnął do przyległego pomieszczenia. Wewnątrz nie zastał nikogo, co znaczyło, że przynajmniej trzech strażników na służbie i pod bronią znajdowało się gdzieś na obchodzie. Nie przewidywał takiej komplikacji, ale nie było już czasu na zmianę planu. Kasdeya chwycił pozostałe dwa miotacze i wyskoczył na zewnątrz, osłaniając wejście. Był skoncentrowany, gotów do szybkiego biegu na miejsca następnego etapu operacji.

Penemue, ubrany w skafander próżniowy, przechodził przez strefę magazynów w środkowym segmencie stacji, torując sobie drogę do pomocniczej komory śluzowej. Znając mechanizm śluz, miał nadzieję, że uda mu się uruchomić fałszywy sygnał, informujący

wewnętrzne blokady awaryjne, że od zewnątrz został przymocowany wypełniony powietrzem rękaw komunikacyjny, a ciśnienia wyrównane. W ten sposób można było odblokować cały system.

Z uwagi na niesprzyjający czas akcji, tylko przypadek sprawił, że w magazynach nie było w tym momencie ludzi. Penemue szybko zdał osłonę z urządzeń sterujących. Przeklinał, napotkawszy nieoczekiwane utrudnienia, które zmusiły go do wprowadzenia nieprzewidzianych zmian w pierwotnym planie działania. Uruchomił następnie główny nastawnik, modląc się, aby drzwi śluzy otworzyły się, ukazując próżnię styku wszechświatów.

Nic się jednak nie stało. Drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Na tablicy sygnalizacyjnej zapaliła się seria światełek ostrzegawczych, powtórzona przez indykatory na terenie stacji, sygnalizująca cały szereg uszkodzeń mechanizmu sterowania śluzą. Wskaźniki, które powinny milczeć zdradzały, że Penemue dobierał się do śluzy. Bliski rozpaczy wykorzystał nadaną przez urządzenia ostrzegawcze informację do zanalizowania i naprawienia popełnionego przez niego błędu logicznego. Ten błąd mógł prowadzić do fiaska całego przedsięwzięcia.

Wreszcie drzwi otworzyły się. Towarzyszył temu głośny jęk i świst uciekającego powietrza. Penemue miał niezwykle mało czasu, by się zabezpieczyć i nie dopuścić do gwałtownego wyrzucenia swego ciała w absolutną nicłość przestrzeni styku. Prowadzące do wyższych i niższych sektorów stacji drzwi bezpieczeństwa szybko zareagowały na spadek ciśnienia. Zamarły donośnie brzmiące dzwonki alarmowe. Uciekające powietrze uniemożliwiło przewodzenie dźwięku. Penemue ruszył w stronę głównej śluzy. Miał nadzieję, że Wildheit i Kasdeya spieszą mu na spotkanie.

Nad-inspektor i renegat Ra również nie sądzili, że wszystko idzie po ich myśli. Niekorzystne umiejscowienie całej operacji w czasie sprawiło, że w niższych rejonach stacji przebywało znacznie więcej ludzi niż przewidywano. Początkowo nie zdawali oni sobie sprawy z jakiegokolwiek zagrożenia. Czterech z nich zostało zastrzelonych jeszcze przed alarmem, który, powiadamiając o sukcesie Penemuego, postawił wszystkich w stan pogotowia. Pozostali trzej strażnicy na szczęście byli teraz w drodze do śluzy. Od razu zrozumieli co się dzieje i popędzili z powrotem, zaskakując Wildheita i Kasdeyę w jednej z wielkich sal laboratoryjnych.

Podczas gdy inspektor ściągał na siebie ogień, kryjąc się za dużym skupiskiem aparatury, Kasdeya desperacko wspiął się na jeden z potężnych sześciennych izolatorów Chaosu i leżał spokojnie, czekając aż trójka strażników zaryzykuje wejście. Niewiarygodnie celnym i szybkim strzałem powalił trzech wchodzących i wrócił, by pomóc Wildheitowi oczyścić korytarz z kilku dzielnych, nie zważających na niebezpieczeństwo techników, którzy zdecydowali się zagrozić im drogę. Ta rzeź nie była przyjemna, jednak konieczna, by przeżyć. Starcie pochłonęło cenny czas, który winni byli przeznaczyć na zablokowanie łączności.

Wildheit postanowił zaryzykować, mimo iż przedwczesne nawiązanie kontaktu z nadlatującym pojazdem później mogło wywołać trudności. Dał znak Kasdei, iż powinni założyć skafandry i bezzwłocznie udać się do centralnej części statku. Nie było to łatwe, bo jeden z techników miał broń i przypierał ich do ściany za szafą ze sprzętem ratunkowym, aż Kasdeya wreszcie znalazł dogodną do strzału pozycję.

Od tego momentu nie natrafili już na dalszy opór. Ubrani w skafandry dotarli do drzwi, które jak się okazało, nie miały śluzy umożliwiającej przejście w próżnię i w związku z tym nie można było ich otworzyć. Jednak następne, znajdujące się nie opodal, wyposażono w to urządzenie, dzięki czemu wdarli się wreszcie do komory, gdzie Penemue z niepokojem oczekiwał ich przybycia.

16.

Penemue zdołał już odłączyć oświetlenie od głównego źródła zasilania. Pozostało jedynie światło o niskim napięciu, dostarczane przez źródło awaryjne. Wildheit stwierdził, że i tak było jaśniej niż przewidywał jego plan. Za pomocą metalowego pręta rozbił jeszcze trzy z pasów oświetleniowych umieszczonych przy głównym wejściu do śluzy. Zainstalowane przy wejściu urządzenia ostrzegawcze sygnalizowały przylot statku kosmicznego, jednak układ sygnałów, poza wezwaniem oddziału straży, nie mówił nic na temat typu zbliżającego się do stacji pojazdu. Nie było również żadnych informacji na ten temat, gdy układ sygnałów wskazał na dokonujące się na zewnątrz komory śluzowej mocowanie rękawa komunikacyjnego.

Był to najbardziej krytyczny moment całej operacji. Bardzo wiele zależało od tego, czy załoga cumującego statku była już zaalarmowana o sytuacji na stacji. Wildheit zakładał najgorsze i postępował tak, jak gdyby ze śluzy mieli wyjść ludzie już o wszystkim ostrzeżeni i uzbrojeni.

Drzwi przepuściły sześciu mężczyzn pod bronią, w żółtych, charakterystycznych dla żandarmerii Ra skafandrach. Wyraźnie byli przygotowani na natychmiastowe kłopoty.

Znaleźli je, choć niezupełnie tak, jak sobie wyobrażali. Żandarmi ostrożnie przeszukali wnętrze śluzy i nie znalazłszy rzekomych zbiegów, poszli w stronę magazynów. Dowódca podłączył się do ściennego komunikara i rozmawiał z kimś, kto przebywał w wypełnionej powietrzem strefie stacji. Wtedy właśnie to, co żandarmi błędnie uznali za komplet zamocowanych w ściennych uchwytach i napompowanych powietrzem skafandrow ożyło nagle za ich plecami. Wystrzelwane pociski z gazem nie musiały być wymierzone zbyt precyzyjnie, ponieważ ubrania żandarmów nie były opancerzone. Próżnia dopełniła wkrótce dzieła śmierci, którego nie zdołało zakończyć sześć pocisków.

Kasdeya wetknął wtyczkę zainstalowanego w skafandrze komunikara do tego samego gniazda, z którego niedawno korzystał martwy teraz dowódca żandarmów.

- Mamy zdrajców, ale są ofiary w ludziach - mówił szybko. - Dlatego musimy natychmiast wracać na statek. Przekaż proszę tę informację naszym zwierzchnikom.

Podszedł do Wildheita i Penemuego, którzy oglądali karabinki elektronowe wypuszczone przez żandarmów. Po dokładnym ich przejrzeniu wzięli ze sobą trzy jako dodatek do miotaczy gazu. Odczekawszy akurat tyle czasu, ile jak mieli nadzieję, trzeba było na przekazanie podanej przez Kasdeyę wiadomości, weszli do śluzy. Spodziewano się, że ktoś tu przyjdzie i śluza była tak nastawiona od zewnątrz, by mogli wejść do wnętrza rękawa komunikacyjnego. Tam czekało na nich dwóch ubranych na żółto ludzi, ale bez wyciągniętej broni. Niemal natychmiast upadli, trafieni nieoczekiwanymi strzałami z karabinków.

Trzech uciekinierów zaczęło szaleńczo gramolić się przez sprężyste miękkie rękaw, aż wreszcie wpadli do wnętrza komory śluzowej okrętu żandarmerii. Mieli wrażenie, że coś jest nie w porządku. I rzeczywiście, wewnętrzne drzwi śluzy nie chciały się otworzyć, gdy nacisnęli automatyczny przyłącznik. Penemue zaklął i chwycił ręczne pokrętło awaryjne. Wyteżał wszystkie siły, żeby przezwyciężyć opór automatycznego mechanizmu. Wystrzał, który padł przez uchylone drzwi ostrzegł ich, iż dwaj obecni jeszcze na statku żandarmi, gotowi są walczyć.

Wildheit znalazł wreszcie wyjście z tej sytuacji. Podejrzał, że żandarmi nie byli ubrani w skafandry. Odwrócił się więc i szybką serią pocisków gazowych przeszył znaczny odcinek rękawa. Dzięki temu powietrze uszło nie tylko z rękawa, lecz także przez wół otwarte drzwi śluzy, z wnętrza okrętu. Potem pomógł Penemuemu przytrzymać pokrętło, odblokowując automat zamykania włazu. W tym czasie Kasdeya, ze starannie wybranej pozycji, ostrzeliwał z ukrycia drzwi, uniemożliwiając żandarmom podjęcie jakichkolwiek decydujących kroków.

Strzały wreszcie umilkły i wszyscy trzej weszli do wnętrza statku. Zostali tam zwłoki zabitych przez próżnię żandarmów, które przeciągnęli do rękawa komunikacyjnego, po czym zamknęli za sobą drzwi śluzy. Penemue przede wszystkim zatroszczył się oto, by przywrócić na statku nadającą się do oddychania atmosferę. Na szczęście zapas powietrza był wystarczający. W tym czasie Wildheit z Kasdeya, nadal w skafandrach, przeprowadzili szybką kontrolę zdobytego

statku, aby upewnić się, że już nikogo na nim nie ma. Na koniec dotarli do sterowni, gdzie Kasdeya zaczął uważnie oglądać zupełnie mu nieznany układ sterowania.

Niebawem dołączył do nich Penemue. Ciśnienie powietrza szybko powracało do normy, mógł więc już pomóc Kasdei w rozpracowaniu układu sterowania. Systemy cumujące rękaw komunikacyjny zostały odstrzelone awaryjnie i okręt wykonał zwrot, a potem uleciał w przestrzeń, oddalając się od stacji i od Broni Chaosu.

Wildheit nie potrafił pomóc przy tych operacjach, zszedł więc aż atmosfera powróci do normy, po czym zdjął skafander. Ryk silników wzrastał coraz bardziej, w miarę jak dwóch stojących przy sterach renegatów zwiększyło tempo ucieczki na tyle gwałtownie, na ile pozwalała wytrzymałość urządzeń napędowych. Wkrótce Nad-inspektor mógł już obserwować rozjaśniające się stopniowo ekrany. W miarę, jak Kasdeya i Penemue wyznaczali kanały nawigacyjne i ożywiali resztę tablic kontrolnych, przyrządy dawały coraz lepszy obraz bezgwiazdznego styku i szybko oddalającej się Broni Chaosu.

To, co zobaczył wzbudziło w inspektorze nagły niepokój. Miał świeżo przed oczyma wycelowaną wprost w nich Broń Chaosu i nie odczuwał najmniejszej ochoty, by to zobaczyć powtórnie. Ale zanim trajektoria lotu ich statku została ostatecznie ustalona, potężna konstrukcja Broni została naprowadzona na cel i czekała na nich ustawiona tak, że Wildheit mógł spojrzeć w głąb sekcji.

Na dodatek widać było olbrzymie włókna nie splecionej jeszcze materii gwiazdnej, które na tle monotonnego sklepienia niebieskiego skręcały się w fantastyczne pętle i wiry, pożerane pospiesznie przez gigantyczny róg i przetwarzane w siłę, która powodowała tak wielkie katastrofy. Odrywano od układów całe słońca i splatano ich energię w świetlistą nić, którą skwapliwie, coraz szybciej wchłaniał gigantyczny lej.

Niepokój Nad-inspektora wzrastał się na myśl, że celownik Broni został ustawiony prawdopodobnie rękami Róźdzki, dzięki jej zdolnościom. Krzyknął, by ostrzec Kasdeyę i Penemuego lecz obaj sami już dostrzegli niebezpieczeństwo. Wyduszali z silników okrętu żandarmerii jeszcze większą moc, jak gdyby spinali konia ostrogami. Ich wysiłki zaczęły przynosić rezultaty mniej więcej w tym samym momencie, w którym odpalona została Broń Chaosu.

Tym razem nie ulegało żadnej wątpliwości, strzał z Broni ich dosięgnął. Poczuli, że jakaś siła ciągnie ich w górę. Szybkość zwiększała się tak gwałtownie, że żaden silnik, o największej nawet mocy nie zdołałby tego dokonać. Zaś śpiew maszyn nagle zasilonych dodatkową energią, przeszedł w ryk, a przyspieszenie osiągnęło bezprecedensową wielkość do granic napinającą siły pola antygravitacyjnego, dzięki któremu pasażerowie statku nie zostali rozarci na miazgę wskutek konfliktu między bezwładnością i gwałtownie rosnącą prędkością. Przejście przez styk wszechświatów znieśli jednakże bardzo ciężko, ogarnięci potężną falą przykryj ciemności. Ich nieprzytomne i bezwładne ciała runęły na pokład.

Czas mijał.

Nie było wiadomo, ile czasu upłynęło, w każdym razie gdy Wildheit się ocknął, poczuł, że jest wyczerpany i głodny, jak gdyby stan odrętwienia trwał wiele dni. Zobaczył, że Kasdeya usiłuje wstać z kłeczek, ale nogi ma niepewne i osłabione. Penemue był przytomny i starał się przeanalizować okoliczności, które odebrały jego ciało prawie całą energię. Wreszcie Kasdeya zdołał dotrzeć do apteczki i podać wszystkim miękkie kapsułki. Gdy je rozgryźli, zaczął sączyć się z nich płyn, przypominający aromatyczną dekstrozę. Okazało się, że ta cukrowa słodycz podziałała wzmacniająco. Nabrali sił, aby wstać.

- Co się stało, do diabła? - spytał słabym głosem Wildheit.

- Wpadliśmy w styk wszechświatów z taką szybkością, że musieliśmy je odkształcić - skrzywił się Penemue. - Wybrzuszenie rzuciło nas tam, gdzie prawa fizyki przestają działać, potem szybko cofnęło z powrotem.

- Przyjmijmy, że rzeczywiście stamtąd powróciliśmy - powiedział Kasdeya. - Spróbujmy więc ustalić, gdzie teraz jesteśmy.

Ekran były wciąż jasne, ale nie znajdowali na nich nic istotnego aż do chwili, gdy Kasdeya zaczął manipulować układem regulacji. Wtedy nagle pojęli, że obraz zanikł z powodu klasycznego przeciążenia. Niebawem ich oczom ukazał się niewiarygodny wprost widok - jeszcze bardziej nieprawdopodobny niż ten oglądany z pokładu statku Kasdei - zagęszczenie gwiazd i galaktyk było wprost niesamowite. Tworzyły całkowicie jednolity, rozciągnięty we wszystkich kierunkach, świetlny mur. Taka sceneria była możliwa do uchwycenia jedynie dzięki niewielkim różnicom odległości, temperatury i barwy. Stanowiła najbardziej baśniowym, najcudowniejszy i najstraszniejszy zarazem widok wszechświata. Jego zasięg i skala paraliżowały umysły i wprawiały w osłupienie.

- To z pewnością stary wszechświat - odezwał się wreszcie Penemue. - Gdzieś w pobliżu samego jądra. Wszystkie te gwiazdy przyciągają się wzajemnie. Wkrótce jakieś ich skupisko zacznie zlewać się w całość. Ta z kolei zwabi do siebie następne skupiska, a potem prosta grawitacja zmusi wszystkie pozostałe do połączenia się w jedną kaskadę, rosnącą tym szybciej, im bardziej jądro wszechświata będzie się powiększało. A wreszcie cała jego materia zewrze się w tej jednej, spójnej masie.

- Co wydarzy się potem? - spytał Wildheit.

- Nie wiemy. Możemy się tylko domyślać. Z pewnością zagęszczenie tej materii i energii stanie się tak silne, iż w porównaniu z tym czarna dziura wyda się próżnią. Powstanie tygiel nieznanymi prawami fizyki, znamionującym koniec Dziej. Można przypuszczać i żywić nadzieję, że ostatecznie nastąpi Wielki Wybuch i narodzi się nowy wszechświat.

- Odrodzony feniks - odparł ze spokojem Wildheit. - Kiedy to wszystko się stanie?

- Tego nie sposób przewidzieć. Nawet Ra, posługująca się przepowiedniami Chaosu nie potrafili precyzyjnie tego ustalić. Moim zdaniem sprawa jest taka, że zdarzenia tej skali zachodzą stosunkowo wolno, jeśli rozpatrywać je w czasie kosmicznym. Mogłoby się to zacząć jutro, a trwać milion lat. Panuje bowiem taka równowaga sił, że to, co wyzwala jakieś zdarzenie jest na tyle małe i nieznaczne, iż w warunkach kosmicznych okazuje się nieuchwytnie. To atom albo migotanie gwiazd...

...albo człowiek? - dodał pytająco Wildheit.

- Tak, myślę, że może to być człowiek - zgodził się Penemue. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Wildheita, który wpatrywał się w kant stołu. Krawędź traciła swe ostre kontury. Otaczająca ją maleńka aureola, jak gdyby niewidoczna mgła, rozszczepiała częściowo smugę światła.

- Róźdzka! - powiedział ciężko Nad-inspektor. - Powinniśmy się domyślić! W jakiś sposób mnie w to wpackowała - występuję w roli człowieka, który uruchamia mechanizm największej, najpotężniejszej, jaką można sobie wyobrazić, katastrofy. Wciąż tkwimy jak tarcza w zasięgu Broni Chaosu. Znajdujemy się w miejscu, gdzie skomasowana jest cała energia, którą przepowiedziały testy Chaosu - miliony, miliony słońc i galaktyk, które czekają tylko, aż pociągnięcie za spust da nieomylny znak nieuchronnego końca wszechświata.

- Przecież Broń jest własnością Ra - zaprotestował Kasdeya. - Nie pozwolą dziewczynie jej użyć.

- Skąd mogą wiedzieć, co ona akurat robi. Obiecała, że pomoże im zniszczyć inspektora, a oni zaprogramowali Broń tak, by się to stało. Wielka klęska inspektora jest czymś zaplanowanym, ich własna natomiast zbyt nieokreślona, by można ją niezawodnie ustalić. Tylko Róźdzka była w stanie przewidzieć, iż obie katastrofy stanowią jedno i to samo zdarzenie.

- A paradoks czasu? - spytał Kasdeya.

- Nie istnieje, pominawszy to, że inspektor plasuje się w samym środku zdarzenia, a oni są z dala od niego. Przy działaniu normalnej grawitacji granicą prędkości ruchu gwiazd będzie prędkość światła. Jak myślisz, ile stuleci musi upłynąć, aby wszystkie połączyły się w jedno?

- Okazuje się, że katalizator Sarai chyba spełni swoją rolę.

Niewątpliwie, mimo powolności procesu, wszechświat ogarniały olbrzymie naprężenia. W miarę upływu czasu obwódki w kształcie aureoli pojawiły się wokół wszystkich krawędzi i płaszczyzn statku. Wszystko stawało się śliskie, jak gdyby pokryte warstwą mokrego śluzu. Nieduże przedmioty z nie wyjaśnionych przyczyn wypadały ze sprężynowych zamocowań i zsuwały się z gwintów, na których były wcześniej solidnie umocowane. Później zanik tarcia statycznego dał się odczuć jeszcze wyraźniej. Ciężkie przedmioty zaczęły spadać z powierzchni choćby lekko nachylonych. Poruszanie się po pokładzie było równie niebezpieczne jak po wypolerowanej tafli lodu.

Siedzący na ramieniu Wildheita Coul zaczął drżeć. Nad-inspektor zszedł na niższy pokład, gdzie mogli porozmawiać, przez nikogo nie obserwowani.

- Ile to jeszcze potrwa, Coul, zanim mnie opuścisz?

- Niezbyt długo. Jednak zostanę z tobą do ostatniej chwili. - Głos symbiotycznego bóstwa brzmiał pośepnie. - Nas, bogów, bardzo to martwi. Moje odejście będzie zdradą łączącej nas więzi. Szkoda, że nie ma innego wyjścia.

- Nie uważam tego za zdradę - odparł Wildheit. - Nawet bogowie nie są nieomylni. Lepiej będzie, jeśli przynajmniej jeden z nas przeżyje.

- A gdyby odwrócić sytuację? Gdybyś ty był bogiem, a ja istotą ludzką, opuściłbyś mnie?

- Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Moje obecne myślenie kształtowane jest przez ludzkie emocje, których nie odczuwałbym, będąc bogiem.

- Zatem nie odszedłbyś. Dziękuję ci za to. Jestem w duchowej łączności z Tallothem. Chcesz rozmawiać z inspektorem Hoverem?

- Jeśli to możliwe.

- No to odpręż się...

- Jym, na miłość boską! - Głos Hovera rozległ się natychmiast i był zatroskany. - Gdzie jesteś i co teraz do diabła robisz?

- Ile czasu upłynęło od naszej ostatniej rozmowy, Cass?

- Całe dwanaście miesięcy.

- Z moich obserwacji wynika inaczej. Trzy tygodnie - to góra. Byłoby wspaniale móc podjąć te wszystkie zaległe pensje.

- Przestań się wygłupiać! Mamy wojnę. Udało ci się załatwić Broń Chaosu?

- Nie, za to ona załatwi mnie, i to zaraz. Jeśli będzie to dla ciebie pociechą, jestem tak zaprogramowany, że razem ze mną poleci wszechświat Ra. Jak ci się podoba tali finał?

- A teraz poważnie! Mam z tego wszystkiego napisać raport.

- Jeśli potrafisz przeliterować Wielki Wybuch, to nie będziesz miał problemu. Powiedz Sarai, że zaraz się zacznie. To wszystko, co będę w stanie dla ciebie zrobić. Czy dużo ich statków się przedostało?

- O wiele za dużo. Na szczęście niektóre wpadły w tarapaty - pobiły się z obcymi w pobliżu Obrzeża i dostały tęgie lanie - uratowało nas to przed koniecznością prowadzenia z nimi walki. Ich główna flotyła przyleciała z głębokiej przestrzeni. Wyruszyliśmy, żeby zagrozić im drogę. Jednak po krótkim i bardzo zaciekłym starciu oni najzwyczajniej w świecie zniknęli.

- Co zrobili?

- Zniknęli. Dodali gazu jak szaleni i po prostu dali susa z tej przestrzeni.

- No nie!

- Cóż w tym zabawnego?

- Cass, ich statki mają typowe urządzenia podprzestrzenne, jednak gdy zachodzi rzeczywista potrzeba, mogą lecieć tam, dokąd ty nie chciałbyś ich ścigać - w strefę kurczącego się czasu. Możliwe, że jednostki ich flotyli są rozproszone w następnych dziesięciu stuleciach i oczekują na posiłki i zaopatrzenie - wsparcie, które nie nastąpi.

- Wiesz, Jym, właściwie dobrze, że zgłaszasz się tylko raz do roku, gdyż zawsze po rozmowie z tobą mam mętlik w głowie. Dopiero teraz zrozumiałem twój ostatni meldunek.

- Nie przejmuj się. Saraya ma rację. Początek końca wszechświata Ra - to kwestia godzin, a najdalej dni. To, co przewidział Saraya i to, co zgodnie z planem sprowokować miał jego katalizator, wynika z Chaosu. Pozostaje mi tylko żałować, że nie będę mógł być obecny na uroczystościach z okazji zwycięstwa. Jeśli idzie o katalizator, dopiero teraz zdałem sobie sprawę z jednej rzeczy.

- Co takiego?

- Żeby okazał się skuteczny, Cass, musi znaleźć się w samym sercu reakcji.

Nawet kontury dużych przedmiotów na statku stawały się teraz zamazane. Tarcie butów Wildheita o pokład było mniejsze niż tarcie o siebie dwóch mokrych, lodowatych powierzchni. Droga powrotna na wyższe pokłady okazała się koszmarem, ponieważ palce ześlizgiwały się ze wszystkiego, co usiłował uchwycić. Jedynie wówczas, gdy zaciskał chwyt wokół słupków i zamontowanych na stałe części statku, gdy obejmował je całymi rękoma, uzyskiwał oparcie, pozwalające na zrobienie choćby kroku do przodu.

Kasdeya i Penemue siedzieli na pokładzie, zmęczeni już ześlizgiwaniem się z foteli. Zrezygnowani, obserwowali, jak odczepiały się sworznie, odkręcały śruby i odpadały zamocowania. Padał nieprzerwany deszcz niewielkich przedmiotów, za którymi - czego się zresztą obawiali - podążały wkrótce i te większe. Było wyłącznie kwestią czasu, aż jakaś śmiertelna siła wtargnie do silników lub generatorów energii i zniszczy doszczętnie cały pojazd. Wydawało się mało prawdopodobne, aby ten wybuch mógł samoistnie zapoczątkować zagładę i dlatego Wildheit spodziewał się jakiegoś innego, ostatecznego wstrząsu wszechświata, który zapoczątkuje największą w dziejach katastrofę.

Potem zaszło coś, co początkowo wyglądało na przeciwieństwo tego, czego się spodziewali - zapadła nagle cisza. Silniki statku przestały zawodzić, ustał stukot rozkręcających się drobnych przedmiotów, ucichł grad większych. Zmysły całej trójki ogarnął spokój tak absolutny, że aż nierealny. Jednocześnie powróciło wyraźne widzenie konturów i przyjemne uczucie namacalnej chropowatości wszystkich powierzchni.

Nastąpił odwrót Broni Chaosu, cofnęło się jej pole i wtedy przyszedł podmuch powrotny.

17.

Cały wszechświat zatrząsł się pod serią druzgocących skoków mocy. Potężna niewidzialna ręka zawładnęła galaktykami, gwiazdami, okrętem żandarmerii... Pochwyciła wszystko w długotrwały uścisk, gwałtownie uderzając bezgłośnymi piorunami. Wstrząs sprawił, że na statku rozpadł się i tak już nadwyreżony sprzęt.

Coul zapisał, zniknął i znów się na chwilę pojawił. Zamigotał niepewnie, co wskazywało, że pozostawał teraz w bezruchu, nieobecny w żadnym z wymiarów, w których dotychczas współistniał. Nienasycone pragnienie ujżenia wydarzeń z perspektywy istoty ludzkiej okazało się na tyle silne, że zwabiło go z powrotem na ramię Wildheita. Zrobił to, mimo że wielka, boska mądrość ostrzegła go, iż dawno minął czas bezpiecznego odejścia. Wildheit rozumiał niezdecydowanie bóstwa, ale cieszył się, że wciąż czuje ulotne, choć wpuszczone głęboko w ramię korzenie symbiozy. Wiedział, iż gdy nadejdzie chwila odejścia Coula, na swoje własne nie będzie długo czekał.

Ten początek końca był imponujący, nawet jak na wymiary kosmiczne. Gigantyczna wibracja podmuchu powrotnego. Gdyby gwiazdy były bardziej od siebie oddalone, energia rozbłyskujących kolejno "nowych" rozproszyłaby się w przestrzeni. Znajdowały się jednak tak blisko, że na skutek wybuchu każda z nich utraciła swą tożsamość, roztopiając się w olbrzymim strumieniu rozżarzonej materii. Gęstość jej była tak wielka, że przyciąganie grawitacyjne zespoliło wszystkie gwiazdy w jedno. Blask powstałej całości przyćmił wszystko, co znajdowało się w tym kwadracie przestrzeni. Pomimo, że polaryzatory w kopule usiłowały osłaniać sterownię przed nadmiernym promieniowaniem, nic prócz masywnych grodzi nie mogło przesłonić tej przeraźliwej jasności.

Przez zupełnie teraz nieprzezroczystą kopułę widać było wyraźnie wspaniałą strukturę olbrzymiej kuli plazmy, przez którą przenikały słupy światła, wiry i leje. Pozostałości byłych słońc pędziły jak oszalałe na oślep, napędzane seriami kipiących reakcji nuklearnych. Promienisty krąg świetlny wraz z językami ognia miał pięćdziesiąt milionów mil długości: Gdzieś w środku rozżarzone do białości kosmicznych rozmiarów serce biło spowolnionym pulsem konającego wszechświata.

W chwili, gdy na to spoglądali olbrzymie serce drgnęło konwulsyjnie i zamarło. Rozpoczęła się nowa seria reakcji. Gwałtownie rosła początkowo niezwykle mała, później coraz to większa kula kompletnej ciemności. Tworzył się fragment przestrzeni, w którym siły przyciągania tak straszliwie skondensowały materię, że z gorącego popiołu gwiazd zrodziła się żarłoczna czarna dziura.

Olbrzymia kula ognia połknęła sama siebie, a jej tętniąca życiem energia świetlna została wessana przez gigantyczną czarną dziurę. Słońca pospiesznie dołączyły do świetlnego kręgu i zlewały się z nim. Wkrótce napierająca ciżba samobójczych gwiazd przewyższała apetyt wygłodzonej czarnej dziury. Wewnątrz kręgu świetlnego utworzyła się druga kula promieniowania o temperaturze i właściwościach nie mieszczących się w żadnym z powszechnie przyjętych systemów fizyki. Rozszczepione atomy były w tej nowej kuli tak zagęszczone i promieniotwórcze, iż wkrótce nawet czarna dziura wchłonięta została przez ten jeszcze bardziej osobliwy twór.

Wildheit usłyszał, że Penemue traci z wrażenia oddech. Odwrócił wzrok od gigantycznego jądra, aby bacznie obserwować wirującą burzę, która siała zniszczenie w pozostałej części przestrzeni. Podczas gdy wcześniej ruch gwiazd był niedostrzegalny, teraz pochwycił je potężny wir, zdążający spiralnie i coraz szybciej w kierunku jądra. Zafascynowani widzowie dostrzegli, jak potężny wir przybiera na sile i na szybkości. Cały wszechświat zbiegł się ze wszystkich stron, a jego części przepychały się, szturchały wzajemnie, eksplodowały i rozpadały w szaleńczym, desperackim pędzie, by połączyć się w jedno w ramach tego osobliwego końca wszystkiego.

Wildheit, by przekonać się, że okręt żandarmerii dołączył do kosmicznego biegu po śmierć, nie musiał sprawdzać tego na przyrządach. Rozmiary olbrzymiej kuli wciąż rosły. Jeszcze szybciej wzmagiła się prędkość pędzącego w jego kierunku gwiazdnego tworzywa. Właczane do

spiralnego leja, zmiażdżone w procesie samozniszczenia słońca ścieśniały się coraz bardziej. Nasilenie promieniowania w przestrzeni wzrosło do tego stopnia, że urządzenia chłodzące statku nie znajdowały ujścia dla nadmiaru własnego gromadzonego ciepła. Temperatura wewnątrz osiągała niepokojące wartości. Fakt ten nie zdenerwował specjalnie Wildheita, Penemuego i Kasdei, ponieważ było rzeczą oczywistą, iż wraz z ustaniem pracy silników, coś stanie się z dopływem powietrza na statek. Powoli zaczęli pograżać się w przyjemnym nawet stanie letargu, któremu towarzyszyło silne uczucie senności.

Wildheit, spływając potem, z nadzwyczajną trudnością pozostawał nti jawie. Raz po raz zapadał w przerywany półsen, budząc się jedynie, aby odnotować nieubłagane posuwanie się statku ku potężnemu, straszliwemu przeznaczeniu. Jakaś przytomnie funkcjonująca część jego mózgu dawała mu do zrozumienia, że zaczyna majaczyć i że jego obecny stan świadomości jest w gruncie rzeczy najprzyjemniejszą formą śmierci. Mimo wszystko instynkt samozachowawczy zmusił go do powstania i przejścia w stronę nieznośnie gorącego pulpitu sterowniczego, by zbadać szansę przeżycia.

Nad-inspektor uświadomił sobie, że nie ma w zasadzie pojęcia, co chciałby osiągnąć. Nawet gdyby silniki były w dobrym stanie, wątpliwe, czy udałoby im się wyciągnąć okręt z olbrzymiej, grawitacyjnej studni, która teraz pochłaniała gwałtownie całe galaktyki. Wildheit nie znał przyrządów do tego stopnia, żeby pojąć przyczyny awarii silników. Kaseya i Penemue sprawiali wrażenie pogodzonych ze śmiercią. Wildheit zaklął i ślaniając się na nogach zszedł pod pokład z nie do końca sprecyzowanym zamiarem przyjrzenia się silnikom.

Z dala od sterowni powietrze zdawało się chłodniejsze i łatwiej było oddychać. Być może zawierało odrobinę więcej życiodajnego tlenu. Wildheit przyjął to z zadowoleniem, chociaż wiedział skądinąd, że to może jedynie przedłużyć jego męczarnie. Wielokrotnie tracił wątek myśli i w każdym zakamarku, za każdym włazem podobieństwo Unii, form i kształtów wskrzeszało w nim okruchy pamięci.

Skafander ratunkowy w ciemnym narożniku przywodził mu na myśl Sarayę - czarnego nietoperza w rozwianym płaszczu. Snop światła przez pobliski iluminator, nasuwał na myśl ogień widziany przez okno piekła. Kolejna wizja - Cass Hover, który na swoich nowych nogach spieszył, by pomóc poruszającemu się chwiejnie Nad-inspektorowi - zniknęła, kiedy podszedł bliżej. W ciemnej komorze silnika ukazała się stojąca postać Róźdzki. Twarz miała przepelnioną rozpaczą, a ramiona wyciągnięte w błagalnym geście. Widok ten był tak realny, że Wildheit niemal słyszał wypowiedane ustami dziewczyny słowa.

- Coul, proszę, nie wtrącaj się!

Wildheit, zdziwiony tym dziwnym żądaniem, uświadomił sobie, że bóstwo nadal jest obecne na jego ramieniu.

- Ile jeszcze do końca, Coul?

- Już niewiele. Dawne gwiazdy zostaną na nowo stworzone. Nawet atomy zostaną rozbite i złożone na nowo. Dla bogów nadeszły ciężkie czasy.

Obraz Róźdzki rozplynął się, po czym znów powrócił. Tym razem zwróciła się do kogoś gdzie indziej. Słowa sprawiały wrażenie rzeczywistych, nie urojonych.

- Pomóż mi. Już nadszedł czas.

Coul zeszytniał, jak gdyby to on sam reagował na twój wyobraźni Wildheita. Na statku wydarzyła się jakaś katastrofa. Pozostała i tak niewielką ilość powietrza zatrutą cierpką, duszącą płucą dym.

- Nadszedł czas... teraz...

Wybuch wstrząsnął Wildheitem. Narastający ból ramienia stawał się nieznośny. Nad-inspektor odczuwał go tak, jak gdyby Coul wrywał nić łączącej ich ciała symbiozy. Próbował zapanować nad bólem, który wzmagął się jednak tak bardzo, że Wildheit cierpiał śmiertelne męki. Krzyczał głośno, dopóki utrata przytomności nie uwolniła go od dalszych cierpień. Potem ogarnęła go wieczna ciemność, w której rozległo się przeciągłe wołanie.

- Żegnaj, Nad-inspektorze! Żegnaj!

To, co nastąpiło później, nie było dla Wildheita ani śmiercią, ani życiem. Zapadał w wielką otchłań, do której napływały i z której odpływały na pół odczuwalne, nic nie znaczące doznania. Zdawał sobie sprawę z upływu czasu, ale nie wiedział i nie dbał o to ile go minęło i na co zastał przeznaczony. Jedynym doznaniem, które czuł w pełni świadomie, był potworny ból ramienia świdrujący w dół, w kierunku serca.

Niektóre epizody pamiętał albo wydawało mu się, że pamięta. Nie mógł jednak ustalić, czy rzeczywiście miały miejsce czy też były okruchami wskrzeszonej pamięci. Przychodzili ludzie i stawali nad nim. Niewidoczne ręce poruszały białymi pałkami. Wciągał w płuca silny zapach fiołków, który ofiarował mu dni, a może i cała wieczność wypoczynku. - Spokojnie, Jym. Już po wszystkim!

- Cass?!

Nad krawędzią szpitalnego łóżka zobaczył parę krótkich służbowych szortów, z których wystawała para najzgrabniejszych męskich nóg, jakie kiedykolwiek widział. Spojrzał w górę i ujrzał strapionego Nad-inspektora Przestrzeni Hovera. Wildheit próbował usiąść, lecz ból ramienia sprawił, że opadł z powrotem na łóżka.

- Cass, gdzie ja jestem, do diabła?

- W lazarecie krążownika Wojsk Przestrzeni "Gwiezdny Skorpion", jeżeli odpowiedź ta cię zadowala. Byłeś naprawdę bardzo chory.

- Pamiętam... koniec starego wszechświata... na okręcie żandarmerii Ra... żadnej nadziei. Cass, przecież nie mogłem z tego wyjść żywy!

- Spokojnie, stary! Cały statek został wyrwany ze starego wszechświata i wprowadzony z powrotem do nowego. Nie wiemy dokładnie, jak się to stało, ale wiemy, kto to zrobił i dlaczego.

- Coul?

- Nie. Według Tallotha, Coul usiłował temu przeszkodzić. W ostatniej chwili próbował zatrzymać statek tam, na miejscu, ale mu się nie udało. Sam zginął w ognistej kuli. Dokonali tego jasnowidzowie Zmysłowców dzięki Róźdzce, która wydobyła statek zogniskowanym teleprzenośnikiem.

- Śniło mi się, że widziałem Róźdzkę, jak mówiła do Coula, żeby się nie wtrącał.

- Wygląda na to, że dotarło do ciebie coś z tego, co się teraz tutaj dzieje. Chociaż ona nie ciebie próbowała ratować. Zależało jej na okręcie.

- Dlaczego, do licha?

- Tylko brak statków kosmicznych powodował, że jasnowidzowie nie mogli opuścić Mayo. Kiedy Róźdzka znalazła się poza obszarem planety, mieli wreszcie okazję wykorzystać swoje moce duchowe ogniskując je na niej i porwać statek. Przypuszczamy, że Róźdzce zależało na tej jednostce.

- Dlaczego?

- Jest dosyć mały i łatwy w obsłudze, a poza tym udowodniłeś, że przedostaje się przez styk wszechświatów. Potrzebowała właśnie czegoś takiego. Jedynie dzięki niemu mogłaby kiedyś wrócić do swoich.

- Gdzie jest teraz?

- Powiem ci, Jym. Siedzi sobie gdzieś przy przyrządach celowniczych Broni Chaosu i rozbija doszczętnie naszą obronę, ilekroć próbujemy wejść w kontakt bojowy z flotyllą Ra, która wciąż przekracza styk.

Wildheit leżał na wznak, przyswajając sobie tę informację ze spokojem. Potem znów się nachylił.

- Cass, co się stało z okrętem żandarmerii? - spytał Hovera.

- To osobna historia. Zmysłowcy ściągnęli go na Mayo. Na szczęście strażnik Dabria czekał przygotowany na taką ewentualność. Przechwycił okręt wraz z tobą i dwoma trochę zmarnowanymi facetami na pokładzie. Kiedy uprzytomnił sobie, co znalazł, skontaktował się z Sarayą i poprosił nas, byśmy przylecieli i was zabrali.

- A sam okręt, Cass? Czy jest cały?

- Dopiero będzie. Jak go zobaczyliśmy, wyglądał jak zbiorowisko oddzielnych kawałków, bowiem jego poprzedni pasażerowie rozkręcili wszystko, co mogli. Będziesz musiał skończyć z tym przyzwyczajeniem, Jym. Demontowanie statku kosmicznego podczas lotu w przestrzeni może ci nie wyjść na zdrowie. Potrzebne były dwa statki - laboratorium i zespół montażowy przez prawie miesiąc na równinach planety Mayo, by złożyć te kawałki do kupy.

- Czy jest na chodzie?

- Specjaliści zapewniają, że tak. Bardzo dobrze się składa. Jest to jedyny pojazd, jakim rozporządzamy, który może zabrać ciebie, mnie i jeszcze paru innych do styku wszechświatów na umówione spotkanie z pewną panią, której upadek nazbyt się opóźnia.

- A Kasdeya i Penemue? Przeżyli?

- Podobnie jak i ty wymagali intensywnego leczenia, ale udało się nam ich obu wyciągnąć. W końcu przyszedli do siebie, wcześniej niż ty i nawet pomagali przy remoncie okrętu żandarmerii.

- Będą nam potrzebni do nawigacji przez styk. Żal mi Coula. Dlaczego oddał życie tylko dlatego, żeby przeszkodzić Róźdzce w porwaniu statku?

- Talloth to wytłumaczył. Razem z Coulem uważał, że

Zmysłowcy, będąc na wolności, stanowiliby znacznie większe zagrożenie dla rodzaju ludzkiego, aniżeli Ra i wszyscy obcy razem wzięci. Sarayą twierdził w zasadzie to samo. Zamierzamy zrobić coś w tej sprawie, kiedy skończy się ta cała awantura.

- Czy dadzą mi jakieś inne symbiotyczne bóstwo?

- Wątpię, Jym. I tak jesteś pierwszą istotą ludzką, która przeżyła zerwanie symbiotycznej więzi. Ponowne jej zadziergnięcie byłoby kuszeniem losu. Teraz muszę przywrócić ci twoją dawną formę i będziesz pracował jak szalony. Im wcześniej rozwalimy Broń Chaosu, tym szybciej będziemy mogli powrócić do naszych zwykłych zajęć.

- Nie mogę się tego doczekać.

- A przy okazji, sądzisz, że to się przyjmie, Jym?

- Co ma się przyjąć?

- Złota skóra. Mogłaby zapanować taka moda. Cały żeński personel jest niezwykle zaintrygowany. Trudno ci będzie uwolnić się od przydomka Złota Bestia.

- A kto by chciał? To zaleta, Cass. Za godziwą cenę powiemci, jak się to robi.

18.

Na równinach planety Mayo nawet wysokie statki - laboratoria wyglądały karłowato przy gigantycznym pojeździe naprawczym Wojsk Przestrzeni. W środku obszaru, na którym panował ożywiony ruch, przycupnął ciemny, pękaty okręt żandarmerii wywołując ogólną konsternację swym tajemniczym napędem i wyposażeniem. Ze względu na zjawisko dylatacji czasu, Federacja nawet nie rozważała możliwości skonstruowania statku kosmicznego, który zdołałby pokonać barierę prędkości światła. Wielu uważało wręcz, że osiągnięcie tak wielkich szybkości jest wprost niemożliwe. Mieli jednak przed sobą pojazd, który wprowadził w zakłopotanie teoretyków i udowadniał samym swoim istnieniem, że w fizyce hipotezy mogą poważnie zahamować postęp, jeżeli uzna się je za prawa natury.

Najzacieklejsze spory toczyli naukowcy i inżynierowie, którzy zdołali rzucić okiem na dzieło techniki Ra i teraz nie mieli najmniejszej ochoty wypuścić go z rąk. Woleliby raczej przystąpić do analiz i badań, które za kilka lat odkryłyby przed nimi wielkie tajemnice.

Saraya okazał się człowiekiem bardziej praktycznym. Uznał, że sprawą pierwszorzędnej wagi jest dotarcie do styku wszechświatów oraz przeprowadzenie rozstrzygającego ataku na Broń Chaosu i że jedyną operacją, na którą zostało jeszcze dość czasu, jest naprawa okrętu żandarmerii.

Główny Nad-inspektor Przestrzeni Delfan był jeszcze bardziej konkretny. Wysłuchał informacji Kasdei, Penemuego i Wildheita o zasięgu i budowie Broni Chaosu oraz jej potencjalnej wrażliwości na sabotaż. Zarządził zainstalowanie na statku Ra nowego uzbrojenia, które zwiększyłyby jego możliwości niszczycielskie. Znalazły się tam między innymi cztery miny wielkiej mocy - najbardziej niszcząca broń spośród wymyślonych na planecie Terra - z których każda była w stanie zniszczyć doszczętnie całą planetę. Jednakże nawet te niezwykle możliwości siania zagłady nie napawały Wildheita zbytnim optymizmem, pamiętał bowiem charakterystyczne właściwości strefy styku.

Wildheit został mianowany dowódcą grupy szturmowej, a Kasdeya i Penemue mieli obsługiwać okręt i sprzęt Ra. Uzupełnione załogi stanowili Cass Hover oraz dwóch potężnych komandosów jednostki specjalnej. Pomknęli w przestrzeń zaledwie w kilka minut po tym, jak technicy remontujący pojazd uznali go za nadający się do użytku. W chwili gdy Penemue obliczał, jak najdogodniej przedostać się do strefy styku, Kasdeya wykonywał szereg manewrów w przestrzeni i podprzestrzeni, aby przekonać się, czy rzeczywiście statkowi przywrócono pełną sprawność. Był najwyraźniej zadowolony z wyników sprawdzianu, Penemue jednak uskarżał się głośno na wyskalowanie przyrządów.

Mimo wszystko kontynuowali lot. Wybrany przez Penemuego sposób zbliżenia się do styku wymagał długiego skoku przez nowy wszechświat, manewru konwencjonalną techniką podprzestrzenną. Potem zaczął się właściwy manewr podejścia i nieprawdopodobny wzrost prędkości zatrwożył i zafascynował nawet tak doświadczonych ludzi przestrzeni, jak Hover i dwaj komandosi, którzy przeżywali to po raz pierwszy w życiu. Kiedy uderzyli w świetlny mur, Wildheit przekonał się, że związane z tym doznania odbiera równie silnie jak poprzednim razem. Musiał wczółgać się w kąt i leżeć, dopóki nie ustały rozkoszne aż do bólu wibracje. Odczuł przyływ ogromnej ulgi, kiedy wreszcie przedostali się w milczącą nieskończoność strefy styku.

W tym momencie obawy Penemuego co do wyskalowania przyrządów potwierdziły się. Otaczała ich przecież nieskończoność, w której bez trudu można było stracić orientację, a najdrobniejszy nawet błąd w nawigacji mógł sprawić, że już nigdy nie odnaleźliby Broni Chaosu. Przy jednej milionowej stopnia błędzie pomiaru na którejkolwiek z trójwymiarowych osi, szansa przypadkowego zlokalizowania Broni była mniejsza niż jedna dziesiąta do osiemdziesiątej pierwszej potęgi. Nawet i to wymagałoby odrobiny szczęścia. Penemue, nie mogąc mieć pewności, czy błąd pomiaru nie sięga dziesięciu procent na każdej z trzech osi, uznał zadanie za niewykonalne.

Wildheit przyjął do wiadomości te zastrzeżenia, ale postanowił kontynuować lot, wykorzystując wszelkie dostępne informacje. Wielogodzinne, beznadziejne przeszukiwanie strefy

styku nie naprowadziło ich na najmniejszy choćby trop Broni Chaosu. Wszyscy coraz lepiej zaczęli zdawać sobie sprawę z prawdziwego wymiaru nieskończoności. W porównaniu z nią, bezmiar przestrzeni rzeczywistej, którą daje się jednak wykreślić na mapie, wydał im się czymś małym i swojskim. Ich umysły dręczyła myśl, że mogą bez końca podróżować z prędkością światła przez styk wszechświatów i nigdy nie znaleźć niczego poza absolutną próżnią i wieczną ciemnością.

Jedyną pociechą stanowiło ograniczenie prędkości w styku. Gdyby przekroczyli, zostaliby gwałtownie strąceni do jednego z dwóch wszechświatów położonych po obu stronach styku. To umożliwiałoby drogę powrotną do domu. Takie posunięcie oznaczałoby jednak fiasko całego przedsięwzięcia - Broń Chaosu istniałaby dalej. Dla Wildheita było to nie do przyjęcia.

Znaleźli się między młotem a kowadłem. Kontynuowanie lotu nie dawało prawie żadnej nadziei na sukces. Powrót do nowego wszechświata oznaczał niechybne fiasko. Rozpaczliwie poszukiwali trzeciego rozwiązania. Wreszcie znalazł je Kasdeya. Na okręcie żandarmerii, podobnie jak na wszystkich jednostkach Ra, znajdował się podstawowy sprzęt do wykrywania Broni Chaosu. W całej strefie styku nie istniała entropia, a co za tym idzie jakikolwiek sygnał detektora Chaosu może pochodzić jedynie ze statku albo z urządzenia, zlokalizowanego w obrębie styku.

Nastąpił teraz przełomowy etap orientowania okrętu, w czasie którego ustalono go pod wszystkimi możliwymi kątami i rejestrowano Chaos. Wkrótce zaczął wyłaniać się układ współrzędnych, lokalizujących aktywność entropii, a być może i samą Broń. Załoga nie posiadała się z radości, że wreszcie mogła określić dokładnie położenie obiektu oraz właściwy kierunek lotu. Wyrównali trajektorię, biorąc kurs na nową pozycję i wstrzymali oddech do momentu, kiedy detektory znów zaczęły przekazywać sygnały, które świadczyły o potężnej aktywności w obrębie obojętnych przecież stref styku.

Wreszcie, na ekranie monitorów ukazały się słabe, ale wyraźnie widoczne zarysy Broni Chaosu. Jednakże w jej bliskim sąsiedztwie roilo się również od okrętów wojennych Ra. Wildheit chciał się wycofać, by przemyśleć taktykę, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że przecież znajduje się na autentycznej jednostce Ra i trudno przypuszczać, by Ra mogli odgadnąć charakter ich misji. Poleciał Penemuemu by zajął się urządzeniami łączności i udzielał stosownych, wymijających odpowiedzi na wszelkie pytania, Kasdei zaś rozkazał poprowadzić statek wprost do stacji sterowania Bronią, w której prawdopodobnie nadal znajdowała się Róźdzka.

Podstęp udał się. Obecność okrętu żandarmerii wywołała niewielką ilość sygnałów identyfikacyjnych, na które Penemue reagował bezzwłocznie. Ich zdecydowane podchodzenie do stacji sterowania dodatkowo rozwiewało wszelkie mogące jeszcze istnieć wątpliwości. Stosując standardową procedurę dokowania, przymocowali rękaw komunikacyjny i przeszli do służby stacji, zanim ktokolwiek mógł się zorientować, że nie jest to zwykły okręt żandarmerii.

W samej stacji, pierwsi spośród Ra, którzy zdali sobie sprawę z pomyłki, zostali zastrzeleni, zanim zdążyli ostrzec swych kolegów. Staranne przygotowania do ucieczki z poprzedniej stacji teraz się przydały. Szybko zlokalizowano i zniszczono pomieszczenia z aparaturą łączności. Podczas tej akcji Wildheitowi ogromnie zaimponowała nadzwyczajna fachowość dwóch wybranych przez Cassa Hovera komandosów. Nad-inspektor przydzielił im różne zadania, z których nie mniej ważnym było zapewnienie wolnej drogi powrotu. Następnie razem z Kasdeya i Penemue udał się na poszukiwanie Róźdzki.

Stacja, choć składała się z segmentów podobnie jak obiekt, na którym byli poprzednio uwięzieni, miała zupełnie inny układ pomieszczeń. Charakterystyczne dla stacji określenia celów obszerne sale tutaj podzielone były na kilka dodatkowych poziomów, z których każdy składał się jeszcze z licznych korytarzy i pomieszczeń. Odnalezienie Róźdzki okazało się w tej sytuacji skomplikowanym zadaniem, zarówno ze względu na stopień trudności samych poszukiwań, jak i konieczność unieszkodliwienia wszystkich napotkanych Ra, by żadna wiadomość o napaści nie przedostała się do flotylli. Cała trójka, nie szczędząc pocisków obezwładniających, oczyszczała z wrogów każde pomieszczenie, przez które przechodziła. Broni o większym zasięgu używali w

przypadku, gdy przeciwnik zaskoczył ich w korytarzu albo w większych pomieszczeniach. Staczając jedynie drobne potyczki posuwali się naprzód w kierunku kolistej części stacji.

Tam właśnie, pośród niskich pulpitych znaleźli Róźdzkę. Obserwowała jaskrawe, kolorowe krzywe, pełzające po zajmujących całą ścianę ekranach. Wokół Róźdzki, przy długich konsolach skupili się technicy Ra, słuchając pilnie, jak Asbeel i Jequn tłumaczą wydawane przez nią polecenia dotyczące jakiejś skomplikowanej operacji. Róźdzka, całkowicie pochłonięta odczytywaniem wykresów ukazujących się na olbrzymich ekranach i przetwarzaniem informacji na polecenia, nie zauważyła wchodzącej trójki. Nagle zamarła z przerażenia widząc, że jedna z linii wykresu, która zwykle znajdowała się na dole, zaczęła gwałtownie wznosić się w górę ekranów, aż do sufitu. Wildheit sprawdził czas - Cass Hover uzbroił właśnie minę umieszczoną w centralnej części obiektu, a to co odczytała przed chwilą Róźdzka, było przepowiednią o zniszczeniu całej stacji. Dziewczyna gorączkowo rozglądała się w około, próbując określić przyczynę tego zjawiska i nagle zdała sobie sprawę z obecności ich trzech.

- Jym! - krzyknęła, a jej twarz zszarzała jak popiół.

Technicy Ra na rozkaz Kasdei siedzieli nieruchomo na swoich miejscach, podczas gdy Jequn i Asbeel poprowadzili oszołomioną Róźdzkę w stronę drzwi. Gdy tylko opuścili tę część stacji, obezwładniający pocisk Wildheita zlikwidował w załączku możliwość oporu pozostawionych wewnątrz osób. Jeden z komandosów osłaniał korytarz. Wkrótce wszyscy pobiegli do komory służbowej. - Jym, ja... - usiłowała coś Róźdzka wyjaśnić.

- Biegnij, mała! Porozmawiamy później. - Wildheit był tuż za nią z granatnikiem wycelowanym tuż nad głową dziewczyny. Gdyby się zawahała, gotów był ją ogłuszyć i zanieść na okręt. Jednak informacja, którą odczytała z ekranu, stanowiła wystarczająco silną zachętę do szybkiego nawiązania współpracy.

Cass Hover wciąż zajmował się miną. Szybko policzył osoby biegnące w stronę służby, a potem nacisnął przycisk, uruchamiający system nieusuwalności.

Kasdeya wystartował, zanim Wildheit zdążył odstrzelić awaryjnie rękaw komunikacyjny. Łącze puściło jednak gładko i ich nagły odlot nie powinien zwrócić uwagi żadnego obserwatora z otaczającej ich flotylli Ra. Kasdeya wykonał gwałtowny zwrot, starając się, by olbrzymia czasza reaktora znalazła się między okrętem i stacją sterowania Bronią. Manewr ten nie miał na celu uchronić ich przed skutkami wybuchu miny. Kasdeya chciał w ten sposób zmniejszyć prawdopodobieństwo skojarzenia ich obecności z bliską już katastrofą.

Zdążyli wykonać prawie pełne okrążenie reaktora, nim mina wreszcie eksplodowała. Stacja sterowania w jednej chwili przeistoczyła się w metalową kulę, a potem rozbłysła jak słońce. Było to nader dziwne słońce. Zasięg jego oddziaływania nie przekroczył średnicy stacji, ponieważ strefa styku nie dopuszczała przepływu energii między poszczególnymi obiektami. Wyjątkiem było tylko światło. Wybuch, tak potężny, że mógłby zetrzeć na proch całą planetę, był zamknięty w kuli, która tworzyła kadłub stacji, ale implozja czystej energii stworzyła jedno z najpotężniejszych źródeł światła, jakie rozbłysło kiedykolwiek na styku wszechświatów.

Zgodnie z nadziejami Wildheita, zwróciło to uwagę okrętów Ra, z których wiele podążyło w pobliże katastrofy, by zbadać, co się stało. Brak jakichkolwiek działań ofensywnych pozwolił przypuszczać, że nikt nie kojarzył z tym wydarzeniem niewielkiego okrętu żandarmerii, który dzięki temu podążał do strefy akceleratora Broni, nie wzbudzając widocznego zainteresowania.

Zniszczenie stacji sterowania Bronią przyniosło im dodatkową informację. Wprawdzie posiadali jeszcze trzy miny, które mogły zniszczyć partiami Broń Chaosu, lecz ich użycie nastęczało niestłuchane trudności. Ze względu na brak przepływu energii między obiektami w strefie styku, umieszczona tu mina zniszczyłaby wyłącznie samą siebie, pozostawiając Broń Chaosu nietkniętą. Jej działanie byłoby skuteczne tylko w wypadku założenia ładunku we wnętrzu powierzchni topologicznej. Penemue uważał, że nawet olbrzymią przestrzeń, przez którą wystrzelivano wiązkę promieni, należało traktować jako część strefy styku, ponieważ geometrycznie nie była zamknięta w strukturze Broni.

Penemue znowu zajął się prowadzenie nasłuchu kanałów łączności Ra, podczas gdy reszta załogi obserwowała strefę akceleratora potężnej Broni. Przez dłuższy czas nie słyhać było nic godnego zainteresowania, lecz sytuacja nagle uległa zmianie.

- Zaczynają nas podejrzewać - wykrzyknął Penemue. - Słyszę, jak jakiś ich dowódca dopytuje się, co robi statek żandarmerii na obszarze bazy. Należy się spodziewać, że zażądadają sygnału identyfikacyjnego.

- Założmy, że ich podejrzewania potwierdzą się. Jakiego typu działania mogą podjąć? - spytał Wildheit.

- No cóż, nie mogą wykurzyć nas z przestrzeni promieniowaniem albo ogniem miotacza z tego samego powodu, z jakiego my nie jesteśmy w stanie użyć min. Natomiast jeżeli udałoby się im jakoś nas zablokować i uniemożliwić ucieczkę, podszliby bardzo bliski i stykając się z nami wkreśliłby nam w kadłub coś w rodzaju ładunku minerskiego.

- Wygląda na to, że zdecydowali się tak właśnie zrobić - stwierdził Kasdeya.

Jakby potwierdzając słowa Kasdei, co najmniej tuzin niedużych okrętów zaczął nurkować w ich stronę, formując po drodze zwarty szyk. Dalszy lot okrętu żandarmerii wzdłuż ciągnącego się na odległość stu pięćdziesięciu kilometrów zespołu akceleratora stał się nagle ryzykowny. Podlatując blisko jednostki Ra, z wielką precyzją zrównywały swoją prędkość oraz kierunek z prędkością i kursem ich okrętu, otaczając go z przodu i z tyłu i tym samym ograniczając swobodę manewru. Jequn wskazał na magnetyczne chwytacze, przygotowane do holowania.

Zablokowany okręt i jego eskorta kontynuowali lot wzdłuż akceleratora, aż do szczeliny między nim olbrzymią klatką, w której mieściły się uwięzione czarne dziury.

Ra mieli nadzieję, że tu właśnie dokończą dzieła zniszczenia. Dodatkowe jednostki skierowane zostały na przeciwny kraniec akceleratora, by odciąć drogę ewentualnej ucieczki. Spojrzenie, jakie śmiertelnie zaniepokojony Kasdeya rzucił na Wildheita, świadczyło, że obaj dostrzegli tę samą, jedną drogę ratunku. Renegat, nie czekając na potwierdzenie, w momencie podejścia do szczeliny rzucił okręt w jak najciaśniejszy zwrot i skierował go wzdłuż centralnych osi akceleratora Broni Chaosu.

Jednostki Ra nawet nie próbowały ścigać przeciwnika. Przyczyna ich powściągliwości natychmiast stała się oczywista. Wprawdzie kanał lufy Broni Chaosu miał gigantyczne rozmiary, ale jego światło znacznie zmniejszały umieszczone w pewnych odstępach olbrzymie przysłony, których otwory były niewiele większe aniżeli podwójna szerokość okrętu żandarmerii. Wprawdzie można się było przez nie przedostać, ale wymagało to wykonywania łagodnych manewrów i precyzyjnego ustalania pozycji, co dawało się osiągnąć tylko przy bardzo małych prędkościach. Zważywszy, że lufa liczyła sto pięćdziesiąt kilometrów długości, Ra mieli mnóstwo czasu, by zastawić pułapkę na drugim jej końcu.

Nie to jednak było największym zmartwieniem dla załogi okrętu żandarmerii. Gdzieś bardzo daleko przed nimi nagle rozbłysło jaskrawe światło. Natychmiast zrozumieli co ono oznacza. Poprzez strefę styku, w głąb wielkiego rogu Broni Chaosu, przedostawało się zasilające ją rozdrobnione gwiazdne tworzywo. Odbywało się ładowanie reaktora przed odpaleniem Broni. Wydawało się, że uwięzieni w jej wnętrznościach, ustawieni akurat na głównej osi nie mają najmniejszej szansy umknąć przed całą siłą wyładowania.

Kasdeya zawrócił w obszernej komorze między przysłonami. Zamierzał spróbować uciec z paszczy Broni, zanim wylot zostanie zablokowany, albo nastąpi odpalenie. By wykonać manewr bezpiecznie, włączył wszystkie zainstalowane w kadłubie szperacze i usilnie wyteżył wzrok, by ocenić odległość statku od olbrzymich, metalowych ścian Broni. Kiedy prawie zakończył manewr, Wildheit krzyknął, wskazując w górę na miejsce, gdzie jakiś wystający garb zakłócił gładką wszędzie powierzchnię. Kazał Kasdei zatrzymać okręt i ostrożnie podejść bliżej. Ich oczom ukazała się niewielka śluza prowadząca do jakiejś wewnętrznej komory w konstrukcji Broni. Była to szansa na założenia miny!

Nie rozporządzali żadnym rękawem komunikacyjnym i mieli najprawdopodobniej bardzo mało czasu na przeprowadzenie operacji, zanim z lufy Broni wydobędzie się piorun. Hover szybko ocenił sytuację i zaczął zakładać skafander, podczas gdy komandosi przeciągali minę do śluzy. Kasdeya centymetr po centymetrze doprowadził statek jak najbliżej włazu. Wszyscy wpatrywali się w światelko luku, które sygnalizowało, że Cass Hover opuścił statek. Pod pachą niósł minę, a w drugiej ręce trzymał zaczep cienkiej liny.

19.

Śluza okrętu żandarmerii była tak niewielka, że nikt nie mógł towarzyszyć Nad-inspektorowi Hoverowi w jego misji. Mimo że Kasdeya starał się utrzymać okręt nieruchomo przy włazie śluzy, nikt z obecnych nie miał najmniejszych wątpliwości, iż to co przedsięwziął Hover było trudne i niebezpieczne. Posługiwanie się cienką liną było nader ryzykowną metodą podchodzenia do śluzy, zwłaszcza przy masie bezwładności potężnej miny. Na domiar złego okręt znajdował się w niebezpiecznym stanie dynamicznej równowagi i nie można było mieć pewności, że Nad-inspektor bez specjalnego trudu zdoła na cienkiej linie dotrzeć do ściany i nie zostanie zmiądzony między kadłubem statku a włazem.

Jeżeli dodać do tego konieczność ucieczki z pułapki, zanim zablokuje ją ostatecznie flotylla Ra, albo odpalona zostanie Broń Chaosu, nieodłączne w tej sytuacji napięcie było zrozumiałe. Minuty płynęły. Minęło ich znacznie więcej, niż zakładali. Wildheit, już w skafandrze, nie kwapił się z zamknięciem śluzy na wypadek, gdyby Haver próbował wejść do niej z zewnątrz. Upłynęły kolejne minuty. Napięcie rosło, aż stało się nie do zniesienia. Wildheit dotknął właśnie mechanizmu sterującego służą świst powietrza oznajmił powrót Hovera.

Nad-inspektor zjawił się i jakby w stanie oszołomienia potrzasał głową.

- Wynośmy się stąd - powiedział. - Co się stało? - spytał Wildheit.

- Ktoś zapomniał mi o czymś powiedzieć. To, co jest na zewnątrz kadłuba, nie jest przestrzenią - to coś innego. Może i nie jest tam gorąco, ale wymiana ciepła również nie istnieje. Człowiek dosłownie gotuje się we własnym sosie. Spróbuj uporać się w tych warunkach ze stukilogramową masą bezwładności.

Podczas rozmowy obu Nad-inspektorów Kasdeya obrócił zgrabnie okręt i znów ustawił go na osi lufy Broni. Wystarczyło popatrzeć za siebie, w stronę reaktora, by ujrzeć świecąca jak słońce przetworzoną materię gwiazdną, która pochwyliła wydostający się z cienia wielkich przysłon statek w snop swego jasnego światła. Nie sposób było zgadnąć, kiedy nastąpi odpalenie, ale czasy na pewno było już niewiele. Kasdeya, kierując się jedynie owym snopem światła, zwiększył prędkość wprowadzając okręt w sam środek promienia. Przez wąskie prześwity przedostawał się na niebezpiecznie dużej szybkości. W tyle za nim złowrogi reaktor jarzył się coraz silniej. Gdzieś przed nimi, rój statków Ra czekał niewątpliwie na wyłonienie się przeciwnika.

W tej właśnie chwili mina eksplodowała.

Reakcja, hamowana przez niechętną prawom fizyki strefę styku ograniczała swój zasięg do akceleratora, który zapłonął na całej długości jak cylindryczna gwiazda. Okręt żandarmerii przeleciał przez rozżarzone gwałtownie przysłony na oślep, bowiem polaryzatory ochronne zaciemniały wszystkie iluminatory, ratując pasażerów przed niezwykle silnym promieniowaniem. W kilka sekund później odpaliła Broń Chaosu - tym razem w strefie akceleratora, który, zniszczony już wcześniej, przestał spełniać swoją rolę. Wybuchająca energia entropii, zamiast utworzyć jednolitą wiązkę promieni, rozproszyła się szeroko. Niewielka jej część o kształcie rozszerzającego się stożka ugodziła w statek żandarmerii, smagnąwszy go jak silny podmuch potężnej eksplozji. Jedynym skutkiem, jaki wywołała, był nagły wzrost i tak już gwałtownie rosnącej prędkości pojazdu.

Okręt żandarmerii opuścił paszczę lufy akceleratora jak pocisk wystrzelony z naddźwiękowego działa. Zanim Kasdeya zapanował nad pojazdem, okręt przemknął przez szczelinę, a następnie przez sam środek olbrzymiej, obracającej się klatki. W jego ogromnym korpusie, zamiast łożysk kulkowych, znajdowały się czarne dziury. Pasażerów okrętu żandarmerii zalewały fale promieniowania czystej entropii o niskim stopniu koncentracji. Nagłe ześrodkowanie nawet tak niewielkiego strumienia przyprawiło ich o silny wstrząs, kiedy przelatywali przez krytyczny punkt zbieżności. Hover jako pierwszy ocenił to doznanie.

- To mogłoby stać się nałogiem! - powiedział - Od co najmniej dwudziestu lat nie czułem tego wszystkiego, czego doznałem przed chwilą.

Szansa, by to doświadczenie stało się nałogiem, została natychmiast pogrzebana. Wiązka promieni z reaktora Broni zwolniona z uwięzi lufy zniszczonego akceleratora, rozchodziła się szeroko i objęła swym zasięgiem także i wirującą klatkę. Wiązka promieni wywoływała katastrofy, wykorzystując energię uwięzionych dziesięciu czarnych dziur. Tym razem jednak nie poddająca się żadnym reakcjom strefa styku musiała ustąpić. Połączone siły grawitacji czarnych dziur zaczęły w jednej chwili oddziaływać na siebie wzajemnie.

Cała konstrukcja rozpadła się i została pochłonięta przez jedną olbrzymią czarną dziurę, która zlewając się z pozostałymi, utworzyła jednolitą całość.

Nieprzerwane napromieniowanie czarnej dziury przez wiązkę z reaktora zlikwidowało z jakiegoś powodu fizyczną neutralność strefy styku. Z głębi czarnej dziury wypłynęła gwałtownie olbrzymia fala grawitacyjna i pochwyliła okręt żandarmerii, zgromadzaną naokoło flotyllę Ra, a nawet samą Broń Chaosu. Stojący przy przyrządach sterowniczych Kasdeya rozpaczliwie wyteżał wszystkie siły, by wydobyć z silników resztki energii. Najwyraźniej jednak traciły one moc, a czarna dziura ciągnęła okręt w swoim kierunku. Większość flotylli Ra miała jeszcze większego pecha. Poruszając się bez napędu, statki te natychmiast wpadły do otwierającej się w pobliżu przepastnej, grawitacyjnej studni. Żadne spóźnione manewry przy sterach nie były w stanie uchronić przed przyciąganiem tak blisko położonych dwudziestu mas słonecznych.

Najbardziej fantastycznym zjawiskiem było oddziaływanie siły przyciągania na resztki potężnej Broni Chaosu. Na początku powoli, a potem coraz szybciej, wciągała ją nieubłagannie czarna dziura, by wreszcie pożreć ją całkowicie. Reaktor przestał wysyłać wiązkę promieni entropii, co pozwoliło czarnej dziurze zapomnieć o tym, że jest w neutralnej fizycznie strefie styku. Gdy ustało oddziaływanie Broni Chaosu, strefa ta powróciła do swego normalnego stanu, a silne przyciąganie zanikło. Kasdeya mógł już zmniejszyć moc ryczących silników i poprosić Penemuego, by wyznaczył kurs powrotny do nowego wszechświata. Wkrótce przedarli się przez styk. Cass Hover zajął się łącznością przy pomocy urządzeń FTL, w które wyposażono okręt podczas remontu. Usiłował wysłać wiadomość o przebiegu ataku na Broń Chaosu przebywającym wciąż na Mayo Sarai i Głównemu Nad-inspektorowi Delfanowi. Gdy przekonał się, że nie może wywołać statków - laboratoriów, ani statku naprawczego, wezwał na pomoc stację przekaźnikową FTL, od której dowiedział się, że wszelka łączność z Mayo uległa zerwaniu.

Chwytną się ostatniej deski ratunku, nawiązał kontakt z siecią telekomunikacyjną Wojsk Przestrzeni po to tylko, by usłyszeć, że są one zbyt zaangażowane w odpieranie postępującej wciąż inwazji flotylli Ra, aby zajmować się odosobnionym przypadkiem awarii łączności gdzieś daleko na Obrzeżu. Pierwotnym celem podróży okrętu żandarmerii było Centrum Chaosu na Terrze. Jednakże Wildheit, słysząc zakłopotany głos Hovera, poprosił Penemuego o to, by na wszelki wypadek obliczył kurs w podprzestrzeni na Mayo.

Po przejściu na niższy pokład Wildheit przywołał do siebie Róźdzkę.

- Myślę, że nadszedł czas, byśmy doszli do porozumienia - powiedział.

- Już to zrobiliśmy, inspektorze Jym. Nie mieliśmy tylko okazji, by je sformułować.

- Zróbmy to teraz. Wiedziałaś, że nie trzeba uwalniać Mayo spod panowania Federacji.

Wiedziałaś również i to, że gdyby Ra zwyciężyli, nie pozwoliliby Zmysłowcom istnieć. Co cię wobec tego skłoniło do współpracy z nimi?

- A dlaczego miałabym tego nie robić? Współpracowałam również z tobą, choć także nie oferowałam Zmysłowcą niczego poza zagładą.

- Mówisz dziwne rzeczy.

- To prawda, Jym. Jeszcze o tym nie wiesz, ale plany zniszczenia jasnowidzów zostały już opracowane. Tak to widzą Dabria i Saraya. Za ich namową Federacja nie będzie tolerować jasnowidzów ani chwili dłużej niż Ra. I oni i wy jesteście naszymi wrogami. Aby przetrwać, musieliśmy wygrać jednych przeciwko drugim.

- Wygrać? W imię czego, Róźdzko?

- Wyzwolenia jasnowidzów z Mayo - prawdziwej wolności, jakiej odmawia nam Dabria. Potrzebujemy przestrzeni, Jym, by nasze nadzwyczajne zdolności mogły się rozwijać. Po to właśnie zgodziłam się opuścić z tobą Mayo. Konsekwentnie dążyłam do celu. Federacja nigdy nie zgłaszała specjalnych zastrzeżeń do mojej lojalności. W gruncie rzeczy udało mi się osłabić zarówno was, jak i Ra. Zmysłowcy potrzebują takiego klimatu, jeżeli mają się rozwijać i umacniać.

- Co umacniać, Róźdzko?

- Wszechświat należy do Zmysłowców, Jym. Są ludźmi przyszłości.

- Obawiam się, że to ułuda. Wszechświat należy do tych, którzy są dostatecznie silni, aby nim zawładnąć i utrzymać go pod swym panowaniem. Wszystkie plany oparte na ambicjach zawodzą, jeżeli zlekceważy się ten fakt.

- Nie zlekceważono go. Wiedziałaś, co robisz, wystawiając mnie przeciwko trzem Ra. Wiedziałaś równie dobrze jak ja, że sprawiedliwszą grą byłoby, gdybym zmierzyła się z dziesięcioma. Zmysłowcy, z chwilą uwolnienia się z Mayo, będą na tyle silni, że zawładną i utrzymają wszystko, co zechcą. Wiesz to dobrze, po cóż więc udajesz, że tak nie jest?

- To ty udajesz. Masz nadzieję, że wyprowadzisz swój lud z niewoli we wspaniałą, jasną, niebiańską przyszłość. Jesteś fałszywym prorokiem, gąsko. Wszystko, co możesz im ofiarować - to walka i daremny trud, no i ostateczna klęska ich ideałów.

- Do czego zmierzasz, inspektorze Jym?

- Ze wszystkich jasnowidzów Zmysłowców ty najlepiej nadajesz się do odczytywania wzorów Chaosu. No cóż, wykorzystaj ten cenny dar. Zajrzyj w przyszłość, Róźdzko. Pójdź za swoimi ambicjami. Czy jasna iskra staje się płomieniem? Czy zachodzi potężna reakcja łańcuchowa? Czy wielki ogień utrzymuje się, czy też tylko się tli, by pozostawić jedynie popiół?

- Widzę...

- Co widzisz we wzorach, Róźdzko? Brak odpowiedzi.

- Co tam widać, Róźdzko? Co sprawia, że potrzebujesz aż tyle czasu, by to zobaczyć?

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Ty wiesz, co tam jest - powiedziała. - Iskra... płomień... wybuch. Ale nie ma żadnej wielkiej pożogi. Nie zdołamy tego dokonać inspektorze Jym, ty stary łotrze! Jakim cudem wiedziałaś?

- Saraya podsunął mi kiedyś myśl, że intuicja stanowi przejaw naturalnej wrażliwości na Chaos. Ja to nazywam działaniem na domysł.

- To było sprytniejsze niż sądziłeś.

- Miało to solidne podstawy logiczne. Zmysłowcy starają się trzymać z dala od innych, aby skoncentrować się na rozwoju swych zdolności. Tak jak chemicy i fizycy oczyszczają substancję, bo niezwykle czyste postaci wykazują specjalne właściwości, jakie nie ujawniają się w mniej szlachetnych. Entropia jednak, jej złożoność lub zmieszanie, wzrasta w czasie. Poszczególne elementy tworzą związki, a te z kolei rozkładają się na przypadkowe mieszaniny. Tak samo dzieje się z ludźmi. Zmysłowcy, z chwilą opuszczenia Mayo, w żaden sposób nie mogliby uniknąć skalania rasy genami pochodzącymi ze wspólnej puli. Zresztą ich własne geny dołączą do tej samej wspólnej puli.

- Przygnębiający fatalizm.

- Niezupełnie. Zmysłowcy jako gatunek nie różnią się jakościowo od reszty ludzkości. Ich geny są zwykłymi genami, w których drogą rozmyślnej selekcji i wskutek przypadkowej izolacji po Wielkim Exodusie, udoskonalone zostały zdolności. To, czego dokonali, zasługuje na szczególną uwagę, choć nie jest czymś wyjątkowym ani niepowtarzalnym. Nie odcinaj Zmysłowców od pnia ludzkości, Róźdzko. Zostaną albo ulegną zniszczeniu. Zaprowadź ich z powrotem tam, gdzie ich ogromne zdolności mogą być należycie spożytkowane.

- Mówisz tak, jakby już opuścili planetę.

- Sądzę, że niektórzy to zrobili. Mam na myśli dwa statki - laboratorium i jeden naprawczy, które wylądowały na równinach Mayo. Dokąd jasnowidzowie zamierzają się nimi udać?

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Wiesz dobrze, do licha, o co mi chodzi. Dla wielu najlepszych jasnowidzów jest wspaniała okazja ucieczki w przestrzeń. Dokąd zmierzają?

- Nie mam pojęcia.
- Oczywiście, że masz. Podczas tych wszystkich wydarzeń udało ci się utrzymać telepatyczną łączność z innymi jasnowidzami. Ważne, byś pomogła mi odnaleźć te statki i zatrzymać je.

- Dlaczego mam to zrobić?
- Ponieważ ci ludzie znaleźli się w pułapce, Róźdzko. Wpadli w paskudną pułapkę, zastawioną przez wypróbowanych fachowców. A poza tym, jasnowidzowie są nam potrzebni.

Bez względu na to, jakiego rodzaju bitwę stoczono o statki, pozostawiła ona wiele blizn na piaszczystej równinie i wystęпах skalnych poszarpanych zdumiewającymi siłami. Nic nie wskazywało jednak na użycie materiału wybuchowego. Namioty i sprzęt porzucane były na wielką odległość. Nawet znaczne obniżenie lotu nie pozwoliło na odkrycie żadnego śladu ludzi. Wildheit przypuszczał, że ocaleni wrócili do pobliskiej stolicy. Dlatego też wylądował okrętem żandarmerii nie opodal jednego z zachowanych na rzece mostów.

Na czele idącej przez most grupy szedł Główny Nad-inspektor Delfan, z Sarayą i Dabrią, a za nimi ludzie z miasta, zmieszani z technikami i resztą załogi statku Federacji oraz z licznymi strażnikami Dabrii, Wildheit i Róźdzka spotkali ich przy pochylni prowadzącej na okręt żandarmerii.

- Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Jym! - powiedział szczerze i z uczuciem wyraźnej ulgi Delfan. - Jesteśmy w tarapatkach. Zaatakowała nas cała armia jasnowidzów i porwała nasze statki. Nie zostawili ani jednego nadajnika FTL, byśmy mogli wezwać pomoc. Będę musiał posłużyć się twoim, aby przywołać kilka jednostek Wojsk Przechylenia.

- Chwileczkę, Nad-inspektorze! - Wildheit nie zrobił żadnego ruchu, by umożliwić mu przejście. - Jeżeli Wojska Przechylenia zgodzą się wysłać okręty, jakie polecenia im wydasz?

- Zniszczyć doszczętnie jasnowidzów, jeśli się nie poddadzą - pytanie zirytowało Delfana.
- Wszyscy oni winni są zbrodni piractwa. Wykonamy wyrok na wielu, nawet jeśli będziemy zmuszeni ścigać ich aż do krańców przestrzeni. Jasnowidzowie są jeszcze bardziej niebezpieczni niż Ra. Cieszę się, że przywiozłeś ze sobą Róźdzkę. Mam przeciwko niej przygotowane oskarżenie o zdradę.

- Nic z tego - powiedział Wildheit. - Nigdy nie była poddaną Federacji. Zresztą zaciągnęliśmy wobec niej ogromny dług. Była częścią składową katalizatora Chaosu, obmyślanego przez Sarayę. Katalizator osiągnął swój cel. Czy broń tworzy się po to, by później potępiać ją za to, że strzela do ludzi?

- Przemysłu to kiedyś - odpowiedział Delfan bez przekonania. - Zejdź mi z drogi, Jym! To rozkaz!

Wildheit wzruszył ramionami i odsunął się na bok, ale przejście było nadal zablokowane przez stojącego na pochylni Cassa Hovera. Za nim stało dwóch równie niewzruszonych komandosów, których z kolei wspierało czterech renegatów Ra, zdecydowanie zagradzających wejście dosłownie.

- Co to ma znaczyć? - Delfan odwrócił się do Wildheita, groźnie marszcząc brwi.

- Wysłuchaj mnie, Nad-inspektorze - zaczął Wildheit. - Zanim coś pochopnie, ustalimy, po czyjej stronie jesteśmy. Przed przybyciem Dabrii na Mayo, Zmysłowcy byli oddzieleni, ale nie izolowani od reszty ludzkości. Moim zdaniem izolacja rozpoczęła się wówczas, kiedy Dabrią wymyślił, że uczyni z jasnowidzów narzędzie. Miało to być narzędzie wystarczająco silne, by obronić go, gdyby Ra znaleźli kiedyś miejsce jego schronienia. Wykorzystywał ich w ten sam sposób, w jaki Sarayą posługiwał się Federacją, by ratować się przed wrogami. Nie daj się zwieść, Nad-inspektorze, te typy nas wykorzystują.

Napływające myśli zdławiły wściekłość Delfana. Surowymi oczyma badał drobiazgowo twarz Wildheita. Na próżno oczekiwał reakcji Hovera. Po chwili zwrócił się do Dabrii.

- Ile w tym prawdy?

- Obawiam się, że jakiś grzyb przestrzeni wyżarł inspektorowi mózg - odparł Dabrią, wzruszając ramionami.

- Doprawdy? - nie ustępował Wildheit. - Powiem trochę więcej. Uważam, że kiedy pociągnięto za spust, dając początek zagładzie Ra, uznałeś, że moc jasnowidzów stała się dla ciebie ogromnie kłopotliwa. Dlatego pozwoliłeś im uciec, stwarzając zarazem sytuację, która dawała ci nieomal pewność, że zostaną zniszczeni.

- Nie będę słuchał tych bredni. Ten człowiek jest obłąkany.

- Pamiętaj, że widziałem twoich strażników przy pracy - powiedział Wildheit. - Sposób, w jaki hipnotyzujesz wszystkich naokoło sprawia, że nawet cała armia jasnowidzów nie zdołałaby ukraść trzech statków bez twojego pozwolenia.

- Stoisz na niepewnym gruncie, inspektorze.

- Skoro o tym mowa, od kogo wyszedł ten wspaniały pomysł z przeprowadzeniem remontu na Mayo? Z prostych zasad logistyki wynika, że łatwiej uporano by się z okrętem żandarmerii w warsztacie w ośrodku dowodzenia.

- Saraya uzgodnił to z Dabrią. - Palce Delfana ześlizgiwały się z bezpieczników broni, które miał u pasa.

- Fakt ten kryje w sobie szczególny zbieg okoliczności - ciągnął Wildheit. - Zgodnie z posiadaną przeze mnie informacją, żaden z nich nie miał podstaw, by przypuszczać, że drugi dożyje obecnego stulecia. Kiedy jasnowidzowie sprowadzili na Mayo uszkodzony okręt żandarmerii, Dabrią przypadkowo skontaktował się właśnie z Saraya.

- Co próbujesz udowodnić, inspektorze? - Czarny płaszcz Sarai zatrzepotał, jakby ze złością.

- Teza została już postawiona - ukartowana gra i manipulowanie przez ludzką rasę dla osiągnięcia własnych celów. Najpierw podjudziłeś nas do walki z twoimi wrogami, a teraz usiłujesz poróżnić nas, abyśmy walczyli między sobą. Nie możesz pogodzić się z tym, że twoja drogocenna, młoda kolonia osiągnęła dojrzałość. Tkwisz wciąż w przeszłości sprzed siedmiu tysięcy lat, manipulujesz, pociągasz za sznurki, grając Boga, usiłując oczyszczać rasę, dopóki nie dopasujesz jej do swych wymagań.

- Skończyłeś? - Saraya niemal skakał z wściekłości. - O jednym zapomniałeś, inspektorze. Kiedy zwierzęta poddaje się selektywnej hodowli, nie pyta się ich, kim chciałyby być.

W powietrzu wyczuwało się silny aromat fiołków. Kilka osób z obrzeż tłumu zaczynało słać się dziwnie. Nawet Delfan chyba miał trudności ze śledzeniem przebiegu rozmowy.

- Myślę, że popełniłeś błąd - powiedział z wyrzutem Dabrią do Sarai. - Obawiam się, że o to właśnie chodziło inspektorowi Wildheitowi.

Delfan nie powiedział już ani słowa. Nogi ugięły mu się w kolanach i osunął się na ziemię. Kilkanaście osób z tłumu także.

Trzask...

Pasażerowie statku żandarmerii stali pewnie na nogach, bez uczucia lęku.

- Nie uda się - powiedział Wildheit do Dabrii. - Już nie.

Trzask... trzask...

Na twarzy Dabrii malowało się jawne niedowierzanie, dopóki nie zauważył w ich nozdrzach niewielkich zakończeń filtrów, które wchłaniały odurzającą woń fiołków. Spozstrzegł również i to, że w uszach mieli zatyczki, które osłaniając dźwięki o niskiej częstotliwości wyciszały tubalny głos rogu. Saraya ze smutkiem pokiwał głową.

- Wygląda na to, że zostaliśmy zdemaskowani, stary przyjacielu - powiedział. - Być może wykonaliśmy swoją robotę już nas więcej nie potrzebują. Przyszłość pokaże, czy są na tyle

twardzi, by wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za własny rozwój. Proponuję, abyśmy wycofali się w miarę dyskretnie.

Było coś uroczystego w tym, jak Saraya i eks-strażnik oddalali się powoli, pozbawieni nagle całej władzy, którą przedtem dzierżyli. Wildheit patrzył na ich odejście ze współczuciem.

- Nie zamierzasz ich zatrzymać? - Cass Hover zszedł na dół i stanął obok Wildheita.

- Wiele im zawdzięczamy, Cass. Gdyby nie oni i kilku innych, Terra do tej pory byłaby jeszcze nieucywilizowana, a o Federacji nawet nie moglibyśmy marzyć. Podejrzewam, że któryś z nich ma jeszcze jakiś stary statek Ra, ukryty gdzieś w okolicy. Z tej ich całej rozmowy o wycofaniu się wnioskowałbym raczej, że polecą w strefę dylatacji czasu, aby wrócić znów za sto lub dwieście lat po to, żeby przekonać się, czy rzeczywiście sami przeprowadziliśmy krzyżowanie ras.

- Sądzisz, że to zrobimy?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, Cass. Kasdeya powiedział mi kiedyś, że nasza młoda kultura, w celu uniknięcia degeneracji, potrzebuje ustawicznej selekcji. Ciekaw jestem, czy grzeszne odstępstwa i cofanie się - to faza przejściowa, czy też wrodzona skłonność hybryd.

- Zupełnie tego nie rozumiem, stary.

- Nie przejmuj się! Kiedyś ci to wytłumaczę. - Wildheit szturchnął nogą leżące twarzą do ziemi ciało Głównego Nad-inspektora Delfana. - Saraya myślał przede wszystkim o tym, czy jesteśmy dostatecznie twardzi, aby wziąć na siebie odpowiedzialność za nasz własny rozwój. Zastanów się nad tym uważnie, Cass. Jeżeli rasa ludzka zacznie kiedyś chylić się ku upadkowi, kto wtedy dokona jej oczyszczenia?

20.

Okręt patrolowy wyprzedził znacznie towarzyszące mu jednostki i wypadł z przestrzeni, opuszczając krańce galaktyki. Z miejsca, w którym się znalazł, można było właściwie ocenić szalony kontrast między bogato ugwieżdżoną Drogą Mleczną, którą pozostawili za sobą, a pustką roztaczającą się przed nimi ogromnej próżni. Rozciągały się tu wybrzeża ogromnych oceanów przestrzeni, przez które gdzieniegdzie przeświecały wyspy galaktyk. Widok ten działał zawsze porównawczo na wyobraźnię Cassa Hovera. Zadrećzała go myśl, że bez względu na to, jak daleko człowiek może zapuścić się w przestrzeń, nigdy nie dotrze do krańców wszechświata, którego granice rozszerzają się szybciej, niż rozum może to pojąć.

Para młodych jasnowidzów z Mayo, która dotrzymywała Hoverowi towarzystwa na okręcie patrolowym, była równie oczarowana. Duszka, choć wiele już podróżowała, po raz pierwszy oglądała tajemnice przestrzeni pozagalaktycznej. Blady Bystrouch posiadał większe doświadczenie, ale był nie mniej zachwycony. Wyciągał swe cudowne uszy, by wyłowić szepty pochodzące sprzed pięciu milionów lat, kiedy to gazowy obłok skroplił się i powstała Mayo.

Jednakże dotarli do tego miejsca nie w poszukiwaniu cudu. Zameldowano im, że gdzieś w pustej przestrzeni eskadra paskudnych, wyglądających jak bloki, czarnych okrętów wojennych obcych posuwała się w kierunku Stu Światów. W czasie, gdy Federacyjne Wojska Przestrzeni zaangażowały się bez reszty w operację oczyszczania terenu z Ra, cały sektor przestrzeni został wydany na pastwę niszczycielskich ataków wroga, który prowadził raczej politykę unicestwienia, aniżeli podboju. Hover, bacznie obserwujący ekrany monitorów, odetchnął głębiej, kiedy w ślad za okrętem patrolowym z podprzestrzeni wypadły w zwartym szyku trzy korwety. Chociaż znajdujący się przed nimi nieubłagalny przeciwnik miał przytłaczającą przewagę liczebną, trzy lekkie statki były wszystkim, czego im użyczono, by wspólnie stawili czoła obcemu zagrożeniu. Nad-inspektor nie wyglądał na przerażonego, bowiem układ sił był zupełnie inny niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka. - Halo, Wykrywacz, słyszysz mnie? - wzywała korweta dowódcy.

- Tu Wykrywacz, kapitanie. Mówi Nad-inspektor Hover. Witajcie na pokazie!

- Co masz dla nas, inspektorze?

- Długoterminowe prognozy Chaosu z Mayo mówią, że cała eskadra nierozpoznanych statków jest w drodze do Stu Światów. Zamierzamy przeciąć im drogę w głębokiej przestrzeni. Zakładam, że wiesz, co robić.

- A jakże! Wszyscy jesteśmy przygotowani. Przesyłane przez ciebie dane docierają w stu procentach. Automatyczne sterowanie ogniem jest w pełnej gotowości. Możesz przejąć nad nim kontrolę. Zastanawia mnie, jak ty to wszystko uruchamiasz. Jeżeli nasze przyrządy nie zdołają zlokalizować nierozpoznanych statków poza zasięgiem rażenia broni, to jak sądzę nie mając odpowiednich przyrządów na okręcie patrolowym, również nie zdołasz tego dokonać.

- Trzeba przyznać, że nie mało o tym myśleliśmy - odparł Hover. - Skieruj na nas przyrządy i miej wolne kanały przesyłania danych. Zaczynamy poszukiwanie przeciwnika. Damy ci ustnie znać jaką broń załadować i kiedy. Sterowanie i odpalenie będzie pod naszą kontrolą.

- Zrozumiałem, inspektorze, dziękuję. Wiele wspaniałych rzeczy słyszeliśmy o Wykrywaczu. Mamy teraz okazję zobaczyć go w akcji.

Hover zostawił otwarty kanał łączności i rozejrzał się po kabinie statku patrolowego.

- Jestem do twojej dyspozycji, Duszko! Masz już jakiś pomysł?

Dziewczyna ocknęła się z lekkiego transu i z poważną miną odgarnęła ciemne włosy z twarzy.

- Chaos przepowiada szesnaście wielkich wybuchów, wszystkie zbyt silne, aby mogły być wywołane przez broń. Ustaliłam już czas poszczególnych zdarzeń, jednak współrzędne przestrzeni są jeszcze zbyt słabo określone, by mogły być użyteczne. Trzymaj obecny kurs i każ korwetom uzbroić pociski dalekiego zasięgu. Tam dzieje się coś dziwnego. Wołałabym, abyśmy uderzyli z bezpiecznej odległości.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, o ile potrafisz celnie strzelić.

- Wiem, że potrafię. Odczytując przyszłość na kilka mikrosekund przed wielkimi wybuchami, będę mogła przewidzieć eksplozje rzędu dwudziestu megaton wraz z nuklearnym czasem narastania. Czy korwety dysponują czymś o podobnych właściwościach?

- Skądże znowu - zareagował Hover, podnosząc mikrotelefon, by wydać rozkaz ładowania broni. - Nigdy nie przyzwyczaję się do tych pomysłów walki od tyłu - planowania taktyki bitwy na podstawie przewidywanych skutków. Co by się stało, gdybyśmy nie mieli broni o określonym przez ciebie kalibrze, Duszko?

- Wtedy nawet ja nie byłabym w stanie przewidzieć określonego skutku, bowiem zmianę entropii musiałby wywołać jakaś inna reakcja. Szczerze mówiąc, nie wiesz o Chaosie podstawowych rzeczy!

- Ale szybko się uczę - powiedział Hover pokornie, zorientowawszy się, że ta pogardliwa nagana pochodzi od kogoś dwa razy młodszego od niego. - A co u ciebie, Bystrouchu?

Błady, nieprzyzwoicie młody jasnowidz siedział z łokciami wspartymi na pulpicie sterowniczym i z brodą w dłoniach. Słuchał tak, jak gdyby zwyczajne, ludzkie uszy mogły istotnie odebrać dźwięki przekazywane w pustej przestrzeni.

- Słyszę je teraz. Jest ich wiele.

Palce Bystroucha zaczęły regulować zestaw wskaźników, by określić pozycję, na której skupiała się jego uwaga. Następnie, wykonując spokojnie, dokładne ruchy, zestrzajał poszczególne sygnały, aby przedstawić zmieniającą się sytuację. Komputery Hoversa reagowały na poprawki, przekazując wykresy pozycji, kierunku lotu oraz prędkości obcych obiektów. Nad-inspektor przysyłał te dane na korwety, wykorzystując je jednocześnie przy przeszukiwaniu granicznych zasięgów obrazów monitorowych.

- Nierozpoznane statki dostrzeżone! - oznajmił dowódca korwet radosnym, triumfalnym głosem. - To olbrzymia różnica wiedzieć, gdzie patrzeć!

Duszka wysunęła się z wygodnego fotela, zbliżyła do stymulatora broni w kabinie pilota i dotknęła urządzeń celowniczych.

- Broń załadowana? - spytała dowódcę korwet.

- Załadowana. Możesz odpalać - padła natychmiastowa odpowiedź. - Znajdujesz się w odległości znacznie większej niż jej zasięg. Mimo wszystko życzę ci powodzenia.

Duszka z miną świadcząca o wielkiej koncentracji, pracowała wytrwale przy przyrządach sterowania ogniem. Wysłała szesnaście pocisków dalekiego zasięgu, celując nie w statki przeciwnika, lecz w przewidywane punkty przechwycenia. Czas i miejsce planowanych wydarzeń podyktowała jej intuicja Chaosu. Przestrzeń wokół okrętu patrolowego ozdobiły długie, smugi ciągnące się za pociskami wystrzeliwanymi z luf korwet. Kanały łączności przekazywały od czasu do czasu wypowiedzi, świadczące o braku zaufania do wyboru kierunku strzałów.

Na ekranach Hoversa zaczynało być widoczne rozproszone światło - obraz wrogiej eskadry. Podchodził jeszcze ze zbyt dużej odległości, by teledetektory mogły go wyraźnie przekazać. W bezpośredniej bliskości statków wroga dało się zaobserwować szybko zanikający obraz pocisków, które zmierzały do celu przewidzianego wzorami Chaosu. Istniała jedynie nikła szansa, iż cel ten okaże się miejscem zatrzymania przeciwnika. Do takiego wniosku doszedł również dowódca korwet.

- Chyba spartolimy tę robotę! Nierozpoznane jednostki są poza linią strzału - powiedział.

Cała eskadra przeciwnika, jakby rozmyślnie na przekór stwierdzeniu dowódcy korwet, skręciła gwałtownie i lecąc w nowo obranym kierunku z niezwykłą precyzją posuwała się po krzywej wprost na pozycje, do których zdążyły pociski. Nawet bez pomocy ekranów widać było wspaniałe rozety ogromnych wybuchów, formujące się wyraźnie na tle mrocznego pustkowsia przestrzeni. Cudownie było zobaczyć Duszkę delikatnie uśmiechającą się na znak zwycięstwa.

- Do diabła! - nadajnik przekazał donośny okrzyk zdumienia dowódcy korwet. - Słuchaj, przysięgam, że wiedziałeś o tym skręceniu, zanim oni sami zdecydowali się go wykonać.

- Tak właśnie działa cały ten system - odparł Hover. - Przerażające, nieprawdaż? Ale nie rozłączaj się, kapitanie. Nie sądzę, żeby już było po wszystkim.

Duszka wykonała powolny gest ręką, co tutaj oznaczało niepewność.

- O czym myślisz, Duszko?

- Wciąż wyczuwam coś osobliwego, tam w przestrzeni. Odczytałam reakcje Chaosu i wszystkie się sprawdziły. Jednak co by było, gdyby eskadra liczyła więcej niż szesnaście statków? Jeszcze kilka, i to tak zaprojektowanych, żeby nie zdradzały swojej obecności podczas uwalniania się entropii.

Hover przyjrzał się ekranom, ale świetlne plamy jonowe po niedawnych wybuchach skutecznie przesłaniały obraz, uniemożliwiając pracującym na krańcowych zakresach przyrządom dokonanie najmniejszej nawet analizy.

- Bystrouchu, co ty na to?

- Myślę, że okrętów jest więcej niż szesnaście. Chyba około dwudziestu. Wciąż tam coś słyszę. Nie żywe istoty, ale odgłosy okrętów - okrętów bez napędu.

- Czy zachodzą jeszcze jakieś reakcje entropii, Duszko?

- Nic nie mogę stwierdzić - odpowiedziała, a jej poważna twarz zdradzała wysiłek, z jakim badała wzory, szukając choćby śladu zapowiadającego uwolnienia energii.

- Kapitanie - Hover zwrócił się ponownie do dowódcy korwet. - Uważamy, że są jeszcze cztery nierozpoznane jednostki. Wygląda na to, że okręty widma, bez napędu. We wzorach Chaosu nie ma nic, co wskazywałoby na zamiar użycia broni.

- Zdaje się, że mamy je przy obrzeżach ekranów. Chcesz, byśmy je sprzątnęli?

- Jestem przeciwny. Musi istnieć jakaś przyczyna, dla której się tam znalazły i chciałbym ją poznać. Czy możesz przeprowadzić rozpoznanie z bliska i przekazać mi kilka obrazów? Tylko nie podejmuj żadnego ryzyka. To może być podstęp.

- Zrozumiałem, inspektorze. Natychmiast zaczynamy. Przygotuj się do rejestrowania obrazu, bo polecimy bardzo szybko.

Hover włączył przyrządy i wszyscy z zapartym tchem obserwowali, jak trzy korwety udały się na wypad w kierunku dziwnych, nieprzyjacielskich kolosów przestrzeni. Pierwsza korweta przeleciała w sporej odległości nie wywołując żadnej wrogiej reakcji. Druga zbliżyła się nieco bardziej, a na ekranach ukazał się szczegółowy obraz. I w tym przypadku przeciwnik nie zareagował. Trzecia korweta odważyła się podejść naprawdę blisko. Na ekranach pojawiły się wyraziste obrazy. Następnie wszystkie trzy korwety znalazły się w bezpiecznym zasięgu, w głębokiej przestrzeni. Kopiarka natychmiast zaczęła wyrzucać całe masy odbitek, prosto do rąk Nad-inspektora.

- Co tam widać? - spytała Duszka.

- Czy dostrzegasz w tym statku coś osobliwego? - zwrócił się do niej Hover, podając zdjęcie.

- To wszystko wygląda dziwnie - odpowiedziała, marszcząc nos na widok brzydkiego, ponurego statku.

- Jest tu coś, co zadziwia bardziej niż wszystko inne. Nawet obce załogi nie udają się w przestrzeń z otwartymi śluzami.

Ponownie ożył kanał łączności.

- Halo do Wykrywacza. Czy dostałeś to, czego szukałeś?

- Nawet więcej. Dziękuję, kapitanie. Tam, w przestrzeni, mamy chyba coś naprawdę pasjonującego. Wznowisz rozpoznanie i będziesz miał na oku okręty - widma. Bądź gotów, by poprowadzić tam statek - laboratorium, kiedy tylko uda mi się jakiś zdobyć.

- Zrozumiałem, inspektorze. Zrobi się. I dziękuję za pomoc. Szesnaście nierozpoznanych statków w ciągu jednej nocy - to nowy rekord.

- Nie mnie dziękuj. Podziękuj Jymowi Wildheitowi. To on namówił jasnowidzów Zmysłowców, by przyłączyli się do nas. Właśnie on i jego żona szkołą oddziały wyszukiwania

nierozpoznanych jednostek. Jeżeli będziesz kiedyś w pobliżu Mayo, wpadnij, by się z nimi zobaczyć. Oni zawsze cieszą się z każdej informacji.

- No i jaki wynik rozpoznania, Jym? - spytał Hover

- Piekielna historia. Te okręty - widma da się zinterpretować tylko w jeden sposób. Należy przypuszczać, że zostały zawieszono w przestrzeni jako pewnego rodzaju muzeum.

- Nie rozumiem tego.

- My również początkowo nie mogliśmy tego pojąć. Na pokładzie nie było żadnych obcych, wyeksponowane zaś wewnątrz przedmioty i sprzęty świadczyły, iż jednostki te pomyślane zostały w sposób, który pozwoli nam zrozumieć charakter posługujących się nimi istot, poznać ich zwyczaje, sposób zachowania, naukę i sztukę. To jakby miniaturowy szkic kilku pozaludzkich ras, z którymi często prowadziliśmy wojny, ale tak naprawdę nigdy się z nimi nie zetknęliśmy.

- Wierzę ci, skoro tak mówisz. Jednak czy domyślasz się, dlaczego pozostawili statki w przestrzeni?

- Można wyłącznie zgadywać. Kierując się chyba prawidłowymi przeczuciami, uważamy że stworzyli pierwszy pomost, aby przekreślić lukę komunikacyjną, która ich - obcych - odgradza od nas. Przygotowali grunt pod wzajemne porozumienie, próbując rozpocząć dialog.

- Dialog? Na jaki temat?

- Na temat pokoju, Cass. Sądymy, że pragną pokoju.

- Po tylu latach?

- Nie zapomnij, że czasy się zmieniły. Odkąd rozpoczęliśmy naszą operację wyszukiwania nierozpoznanych jednostek, nie wygrali ani jednej bitwy. Tempo, w jakim tracą swoje okręty musi prowadzić aż do wyczerpania się ich zasobów.

- Czy odpowiemy?

- Nie mamy tu nic do stracenia. Zanim trafiliśmy na ich muzeum, nie wiedzieliśmy nawet, jak wyglądają, nie mówiąc już o tym, w jaki sposób rozpocząć dialog. Teraz odkrywamy całą tajemnicę, a Wojska Przestrzeni gromadzą eksponaty do naszego własnego muzeum, które mamy zamiar zostawić na jednym z ich regularnych szlaków patrolowych. To może być wielka sprawa, Cass. Porozumienie może usunąć lwia część irracjonalnego strachu, który zmusza rodzaj ludzki do wszczynania prawdziwej wojny, podczas gdy istnieje prawdopodobnie bardziej pokojowy środek osiągnięcia tego samego celu.

- Nie wierzę w to - powiedział Hover. - Zastanawiam się, jak niewiele brakowało, byśmy zaprzepaścili sprawę. Bez pomocy jasnowidzów przez całe stulecia nie zdołalibyśmy zwyciężyć wroga, a bez Róźdzki nigdy nie zyskalibyśmy współpracy jasnowidzów. A gdybyś ty i Róźdzka nie... - ... nie ma gwoźdźcia - już po podkowie, nie ma podkowy - już po koniu...

- To cytat, prawda?

- Teraz nasza technika Chaosu jest jeszcze bardziej skuteczna. Pozwala na badania łańcuchów przyczynowo - skutkowych. A skoro już mowa o Chaosie, będziemy mieli, jak sądzę, wizytę kogoś specjalnie naznaczonego.

Siedzieli w przyjemnym ogrodzie należącym do oficjalnej rezydencji Wildheita. Jego status przedstawiciela Federacji na Mayo równał się tytułowi ambasadora planetarnego. Zarówno reprezentowanie Federacji z ramienia Zmysłowców, jak mistrzowskie posunięcie tworzenia oddziałów wykrywania nierozpoznanych jednostek, dzięki czemu dokonało się tak owocne połączenie zdolności jasnowidzów z technologią Federacji dały mu pozycję człowieka wielce wpływowego w obu społecznościach. Mimo swego prestiżu, człowiek ten nie zmienił się. Mayo odczuwała wpływ jego łagodnej perswazji. Zmysłowcy nie byli już zamkniętą społecznością. Na równinach po drugiej stronie rzeki zaczął wyrastać skromny kosmodrom.

Przez nowo powstałe łukowe bramy, przebite w starym murze strażniczym, obserwowali opadające w dół zbocze. Na trawiastym stoku napępniało żołądki stado spokojnych zwierząt, wiedzione przez samotną pastuszkę z takim rozmysłem, że wszystkie brzegi ścieżek były skrzętnie wyskubane. Róźdzka szła w górę z Posiadłości Dziecięcej, trzymając za rączkę pomniejszoną kopię

siebie samej. Hover, nawet na odległość dostrzegł, że w dziecku jest coś ze stanowczości Wildheita, połączonej z obiecującą dzikością oczu, odziedziczoną po matce.

- Oto ta, na którą czekałeś, Cass - mała Róźdzka Wildheit we własnej osobie.

Hover serdecznie namawiał jasnooką dziewczynkę, by usiadła mu na kolanach. Zaskoczyło go, że odgadywała każdy jego ruch, zanim jeszcze zdecydował się go wykonać.

- Chyba to ty mi mówiłeś - odezwał się po chwili do Wildheita - że dzieci z małżeństw mieszanych podatne są na rozpraszenie zdolności jasnowidzenia.

- A przewrotność natury, Cass? Jeszcze się o tym nie przekonałeś, ale u małej Róźdzki rozwija się tyle zdolności, że nie ośmielamy się liczyć na więcej. Zamiast spodziewanego rozrzedzenia talentu, uwolnione zostały jakieś fantastyczne uzdolnienia, jakich nawet Zmysłowcy jeszcze nie widzieli. Na przykład...

- Nie mów mi! - Hover podniósł do góry rękę. - Nawet mój kompleks niższości nabywa kompleksu niższości. Jestem tylko ciekaw, czy zastanawialiście się oboje nad konsekwencjami tego, co zapoczątkowaliście.

- Co masz na myśli, Cass?

- Kiedy mała Róźdzka zacznie odczuwać swoją przewagę, kto zostanie, by pomóc nam bronić reszty wszechświata?